„Do Rzeczy" – najbardziej opiniotwórczy tygodnik w Polsce w 2020 roku

Antyklerykałowie żądają rozdziału Kościoła od... Kościoła

Alfabet powikłań po COVID-19

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 6/411 8–14 LUTEGO 2021 CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

ROWEREM DO SŁAWY – POŻEGNANIE RYSZARDA SZURKOWSKIEGO

Czego Santiago Abascal, lider hiszpańskiej partii Vox, zazdrości Polsce

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
Nakład: 57,5 tys. egzemplarzy

Zemsta na Polsce

DZIŚ PISARZE OCZERNIAJĄ TO, CZEGO BRONILI ZBIGNIEW HERBERT I HENRYK SIENKIEWICZ

ZBIGNIEW HERBERT OLGA TOKARCZUK RADEK RAK HENRYK SIENKIEWICZ

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

Tajemnica grobu gen. Iwaszkiewicza wyjaśniona!

Eugeniusz C. Król – **Rasa i Lebensraum. Chory świat Führera**
Anna Herbich – **Zbrodnia w domu Hitlera**
Tomasz Stańczyk – **Okultystyczne fascynacje nazistów**
Marek Gałęzowski – **Bohater AK w kleszczach UB**
Dariusz Tołczyk – **Moralny upadek pożytecznych idiotów**
Piotr Semka – **Wyznania goryla Honeckera**
Mikołaj Iwanow – **Szlacheckie korzenie Dzierżyńskiego**
Sławomir Cenckiewicz – **Giertych i Studnicki**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl a50b2fd290

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Musimy być surowi?

Papież Franciszek przyzwyczaił wiernych do, delikatnie to ujmując, dość niekonwencjonalnych wystąpień. Ich efektem często jest poczucie niepewności. Podobnie zapewne będzie z ostatnimi słowami papieża na temat Soboru Watykańskiego II oraz, nieco później, tradycjonalistów w Kościele. Występując przed włoskimi katechetami, Franciszek powiedział: „Albo pozostajesz z Kościołem i postępujesz zgodnie z Soborem Watykańskim II, albo, jeśli interpretujesz Sobór na swój sposób, nie jesteś w Kościele. Nie wolno negocjować z Soborem". Dodał, że „sobór to nauczanie Kościoła", to Magisterium i jeszcze bardziej stanowczo: „Musimy być w tej kwestii wymagający, surowi. Sobór nie podlega negocjacjom".

W podobnym tonie papież wypowiedział się dla Catholic News Service. Mówiąc o katolikach w USA, powiedział, że są wśród nich może niewielkie grupy tradycjonalistów, ale podobnie jest w Watykanie, i zasugerował, że owych tradycjonalistów należy leczyć. Podobne przesłanie pojawiło się w rozmowie Franciszka z belgijskim tygodnikiem „Tertio", gdzie papież uznał, że we wszystkich religiach, także w katolicyzmie, są fundamentaliści, którzy niszczą, wykrzywiają, doprowadzają do skażenia (do choroby) i podziałów. Wypowiedzi te każą zadać kilka pytań.

Po pierwsze, jak to możliwe, że papież, który przez tyle lat opowiada o powszechności miłosierdzia i o tym, że Bóg akceptuje każdego takim, jakim jest, w tym przypadku, najwyraźniej, zmienia zdanie? Czyżby miało się okazać, że jedynymi ludźmi, którzy nie mogą liczyć na bezwzględne miłosierdzie Boże, mają być katoliccy tradycjonaliści/fundamentaliści? Tym bardziej musi szokować język, którym papież opisuje te grupy: mają oni zostać uleczeni, są tymi, którzy „zarazili" swoją religię itd., itp. Trudno dostrzec w takich słowach szacunek i gotowość do dialogu.

Po drugie, nie sposób pojąć, jak mają się te surowe napomnienia – sobór nie podlega negocjacjom – do licznych papieskich wypowiedzi na temat potrzeby decentralizacji, pluralizmu teologicznego i synodalności w Kościele. Papież toleruje sytuację, w której wielu biskupów, choćby niemieckich, jawnie odrzuca doktrynę katolicką i jednocześnie surowo upomina tych, którzy są jej wierni – nawet jeśli – według niektórych – przesadnie. Coś się tu nie zgadza.

Po trzecie, kim w rozumieniu papieża są właściwie owi katoliccy fundamentaliści? Czy to ta sama grupa co tradycjonaliści? Czy chodzi o przywiązanie do klasycznej liturgii? A może o coś innego? Na czym polega konkretnie ich fundamentalizm? Na trwaniu przy wierze? Na walce o życie? Na sprzeciwie wobec ideologów LGBT? Ta krytyczna opinia na temat części amerykańskich katolików tym bardziej szokuje, że papież był jednym z pierwszych, którzy gratulowali zwycięstwa Joe Bidenowi, mimo że prezydent USA publicznie głosi poparcie dla nieskrępowanej aborcji i ideologii gender.

Po czwarte, Franciszek nigdzie nie wyjaśnił, w jakim sensie Sobór Watykański II stanowi nauczanie Kościoła. Jak wyraźnie mówił Paweł VI, opisując teologiczną rangę soboru, „zważywszy na jego duszpasterski charakter, Sobór unikał ogłaszania, w sposób uroczysty, dogmatów opatrzonych notą nieomylności". Podobnie nauczali inni papieże przed Franciszkiem, a jego poprzednik, Benedykt XVI, w grudniu 2005 r. uznał, że dla uzdrowienia kryzysu w Kościele konieczna jest „hermeneutyka ciągłości", a więc odczytanie soboru w zgodzie z Tradycją. Samo to jednak wskazuje, że ciągłość jest problemem. Jest to oczywiste: tam, gdzie chodzi o duszpasterstwo, tam chodzi o praktykę, nie doktrynę, a praktyka zawsze może być niedoskonała i zmienna. Dokumenty soboru mają różną rangę i wagę. Podobnie są w nich różne treści – jedne powtarzają stałą doktrynę, inne ją interpretują. Wydaje się zatem rozsądne, że ta nowa interpretacja podlega krytyce, a więc badaniu.

Po piąte, co równie uderzające, to właśnie papież Franciszek przyznał księżom Bractwa św. Piusa X, które z zasady zachowuje dystans wobec soboru, kilka lat temu szersze uprawnienia – do sprawowania sakramentu pokuty i udzielania sakramentu małżeństwa – niż jego poprzednicy. Skąd zatem teraz ta nagła zmiana tonu?

Może to być przypadek. Może być to jednak początek medialnej kampanii skierowanej przeciw nie do końca określonym „fundamentalistom" i „tradycjonalistom". Być może chodzi o to, że jak wyraźnie widać, właśnie tradycyjne wspólnoty katolickie w najlepszym stanie przetrwały pandemię i to one przyciągają coraz większą liczbę gorliwych wiernych, często rozczarowanych uległością i kunktatorstwem oficjalnego, mainstreamowego Kościoła. Słowa papieskie byłyby zatem dowodem zaniepokojenia Watykanu i znakiem, że tradycyjni katolicy są znacznie silniejsi, niż mogłoby się to wydawać. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl a50b2fd290

TEMAT TYGODNIA

16 KRZYSZTOF MASŁOŃ
A TO POLSKA WŁAŚNIE
Przywódca rabacji galicyjskiej na piedestale

20 PIOTR DARIUSZ URBAN
PRZEPIS NA REWOLUCJĘ

KRAJ

22 KAMILA BARANOWSKA
CO ZACHWIAŁO WŁADZĄ?
Spadające poparcie

24 PIOTR SEMKA
MACIEJ GDULA – SOCJOLOG NA WOJENNEJ ŚCIEŻCE

26 TOMASZ ROWIŃSKI
SZKOLENIA Z TĘCZY

28 MACIEJ PIECZYŃSKI
ROZDZIAŁ KOŚCIOŁA OD KOŚCIOŁA

30 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
ŚWIAT WEDŁUG ZUCKERBERGA

32 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
SZCZEPIONKI – NADZIEJA, KTÓRA ZAWODZI

34 ŁUKASZ ZBORALSKI
ALFABET POWIKŁAŃ

KULTURA

36 PIOTR GOCIEK
PRZYPADKI PANI ROWLING
Nowa powieść brytyjskiej pisarki

38 JERZY MIZIOŁEK
ZAKOCHANY CHOPIN

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 ŁUKASZ WARZECHA
FAŁSZYWA NUTA W ORKIESTRZE
WOŚP gra z aborcjonistkami

48 ROZMOWA Z JACKIEM JAŚKOWIAKIEM
NIE JESTEM OPOZYCJĄ TOTALNĄ

HISTORIA

50 TOMASZ LENCZEWSKI
JAK HRABIA PLATER CHCIAŁ ZOSTAĆ ŻYDEM
Ucieczka arystokratów z PRL

54 PIOTR ZYCHOWICZ
PRAWDZIWY AUTORYTET

ŚWIAT

56 ROZMOWA Z JOY PULLMANN
BIDEN TO TYLKO ZASŁONA DYMNA
Publicystka The Federalist: Skrajnie lewicowa rewolucja pędzi zbyt szybko

58 WITOLD REPETOWICZ
NASTĘPNA WOJNA NA UKRAINIE?

60 ROZMOWA Z SANTIAGO ABASCALEM
SPRZECIW PATRIOTÓW MUSI WYGRAĆ

EKONOMIA

64 JACEK PRZYBYLSKI
STARCIE GIGANTÓW
Amazon, AliExpress i Allegro walczą o portfele Polaków

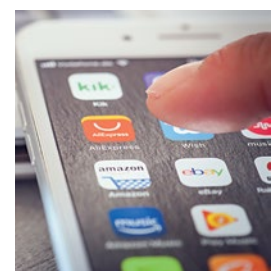

68 JAKUB WOZINSKI
BIDENOMIKA

SPORT

72 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT
ROWEREM DO SŁAWY
Ryszard Szurkowski 1946–2021

O ZDROWIU

74 RAPORT: CUKRZYCA W DOBIE COVID
CHORZY WYSOKIEGO RYZYKA

FELIETONY:
SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (14), ZYCHOWICZ, KOPER (53), PRZYBYLSKI (62), GABRYEL, WARZECHA (70), KOMUDA (78), ZALEWSKI, MAKOWSKI (80), NOWAK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl a50b2fd290

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie listy i e-maile. Przypominamy, by pocztę elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Szczepionka – ju-jitsu mikrobiologii", Maciej Rosalak, „DRz" 3/2021

W interesującym artykule „Szczepionka – ju-jitsu mikrobiologii" Macieja Rosalaka znalazło się kilka błędów [...].

Bakteriofagi nie są „obronnymi komórkami organizmu zabijającymi zarazki", lecz wirusami atakującymi bakterie! Być może Autorowi pomyliły się bakteriofagi z fagocytami będącymi takimi właśnie „komórkami żernymi". Trudno więc też mówić, że „zadaniem bakteriofagów jest zabicie niebezpiecznego patogenu", gdyż jest to nie tyle ich zadanie, ile ich podstawowa funkcja, istota. O zadaniu można by mówić tylko w przypadku bakteriofagów używanych do celów terapeutycznych, ale jest to wciąż metoda eksperymentalna stosowana w przypadku niektórych infekcji bakteryjnych.

Błędne jest też stwierdzenie, że „koronawirus umiera" (według Autora używane w telewizji, choć nigdy tego nie słyszałem). Koronawirus nie może umrzeć, ponieważ – tak jak wszystkie wirusy – nigdy nie był żywy! Poza komórką-żywicielem jest martwą, niezdolną do metabolizmu strukturą białka i kwasu nukleinowego, czyli materiału genetycznego, a dopiero we wnętrzu komórki wykazuje pewne podobieństwo do istoty żywej – zdolność reprodukcji.

W oczekiwaniu dalszych interesujących artykułów serdecznie pozdrawiam Autora i Redakcję.

Adam Piechowski, Warszawa

Od autora:

Szanowny Panie,
mimo dwóch krytycznych uwag miło mi, że uznał Pan mój tekst za interesujący. A uwagi z wdzięcznością przyjmuję. Pierwsza polega na zbytnim uproszczeniu funkcji bakteriofagów (sama ich „istota", a nie „zadanie"), a druga dotyczy „umierania" koronawirusa. Określenie to usłyszałem w telewizji (zapewne w TVP Info) z ust samego prof. Włodzimierza Guta jeszcze w początkach epidemii. Pańskie uściślenie także tego sformułowania rzeczywiście byłoby jednak pożądane. Zapamiętam, list Pański zachowam, i może dane mi będzie uwagi te wykorzystać w ewentualnej publikacji, kiedy ta zaraza nareszcie ustąpi.

Z poważaniem i sympatią
Maciej Rosalak

„Alfabet oporu", Łukasz Zboralski, „DRz" 5/2021

Dzień dobry,

w artykule Pana Łukasza Zboralskiego pt. „Alfabet oporu" znalazł się wielokrotnie powielony wcześniej w innych mediach fake news w haśle „Z – jak zawody". Autor pisze tam o przebywających w hotelu na zawodach we Władysławowie 300 uczestnikach turnieju szachowego jako dowodzie na obchodzenie restrykcji. Otóż po pierwsze, było to nie we Władysławowie, tylko w Jastrzębiej Górze, nie w „jakimś" turnieju, tylko w dozwolonych prawem w ramach współzawodnictwa dzieci i młodzieży Półfinałach Mistrzostw Polski w Szachach Klasycznych (zawodnicy to juniorzy do lat 19 z licencjami, niektórzy z nich to mistrzowie Polski) oraz dodatkowo wszystko odbyło się w reżimie sanitarnym. Wszystko zgodnie z literą prawa, co potwierdziły policja, sanepid i prokuratura, odmawiając wszczęcia postępowania w tej sprawie.

Pozdrawiam
Przemek Zawal

Od autora:

Bardzo dziękuję za wskazanie tego błędu. Dałem się zwieść publikacjom lokalnych oraz krajowych mediów. Wynika więc z tego, że sposób omijania zasad lockdownu na „zawody szachowe" okazał się nieistniejący.

Łukasz Zboralski

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także „Super Express"), **Paweł Zdziarski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **D.B. ŁOMACZEWSKA/EAST NEWS, A. Szmigiel/REPORTER, J. Włodek/Agencja Gazeta, Biblioteka Narodowa; oprac. graf. Pegaz/JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA — spółka notowana na GPW — POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Ilona Weiss, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

FIRMA RODZINNA

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doroś**, tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 57,5 tys. egzemplarzy

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl a50b2fd290

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Deklaracje i dziwne sygnały

W czwartek 4 lutego prezydent USA Joe Biden wygłosił przemówienie zapowiadające szeroki reset amerykańskiej polityki zagranicznej. „Dałem jasno do zrozumienia prezydentowi Putinowi, jak bardzo różnię się od swojego poprzednika, że czasy, gdy USA przewracają się w obliczu agresywnych działań Rosji, takimi jak wpływanie na nasze wybory, cyberataki, otruwanie obywateli, te czasy się skończyły" – mówił. Gospodarz Białego Domu potwierdził wstrzymanie redukcji liczby amerykańskich żołnierzy w Niemczech. Ogłosił, że Ameryka „przeciwstawi się nadużyciom gospodarczym Chin". Dodał jednak pojednawczo, że USA są gotowe do współpracy z Pekinem.

Biden podkreślał, że Ameryka wróciła. Tak, wróciła do epoki Obamy. Z ukłonem wobec Niemiec i zaklęciami wobec Rosji i Chin.

Niedługo przed mową Bidena ukazały się dwie publikacje nakazujące ostrożność w braniu za dobrą monetę gromkich tyrad Bidena na temat polityki Kremla.

„USA proponują Niemcom zniesienie sankcji na Nord Stream 2, choć nie za darmo" – doniósł „Handelsblatt". Zdaniem niemieckiej gazety administracja Bidena zasygnalizowała gotowość do uznania Nord Stream 2 za fakt dokonany. Według dziennika jeden z amerykańskich urzędników biorących udział w rozmowach z Berlinem miał powiedzieć, że „Niemcy muszą położyć na stole pakiet rozwiązań" dotyczących zapewnienia bezpieczeństwa energetycznego w Europie. Chodzi przede wszystkim o powstrzymanie wzrostu uzależnienia od rosyjskiego gazu i ewentualnego odłączenia Ukrainy od europejskiej infrastruktury.

A teraz drugi sygnał. To najnowszy raport Atlantic Council, wpływowego think tanku zajmującego się amerykańską polityką atlantycką dotowanego przez Facebook i rząd brytyjski. Raport przewiduje, że Rosja musi zderzyć się z Chinami na tle sprzecznych interesów. W związku z tym autorzy raportu proponują „rebalancing" w relacjach Ameryki z Moskwą. Ubolewają, że polityka sankcji wobec Rosji po zagarnięciu Krymu bardzo zaszkodziła we wzajemnych relacjach. A Ameryka winna zrobić wszystko, aby relacje chińsko-rosyjskie nie szły w kierunku trwałego aliansu.

Wspólnym elementem w sensacjach „Handelsblatt" i raporcie Atlantic Council jest przyjęcie za coś oczywistego, że to Ameryka musi osłabić presje na Kreml, ale już Rosja nie musi nic robić, tylko czekać na gesty Waszyngtonu.

Jeśli wskazania obu tekstów się sprawdzą, wówczas pozwolą Moskwie przyjąć jej ulubioną pozę potencjalnego sojusznika, ale żądającego za swą życzliwość ustępstw. A jednocześnie tak sprytnie balansującego, by nie zrazić do siebie Pekinu. Donald Trump podkreślał, że finalizacja Nord Stream 2 to absurdalna sytuacja, w której Zachód zasila Putina strumieniem pieniędzy, jednocześnie żądając od Ameryki, by ta nie szczędziła dolarów na utrzymywanie w europejskich bazach swojego na tyle silnego potencjału, aby zapewnić Niemcom i reszcie Europy bezpieczeństwo przed Moskwą.

Medialny przeciek i raport ekspercki nie muszą zamienić się w fakty polityczne. Jednak jakoś dziwnie oba sygnały pasują mi do tradycyjnej już bezsilności polityki zagranicznej demokratów. ©℗

Pierwsza dziesiątka najbardziej opiniotwórczych tygodników i dwutygodników w 2020 r. (liczba cytowań)

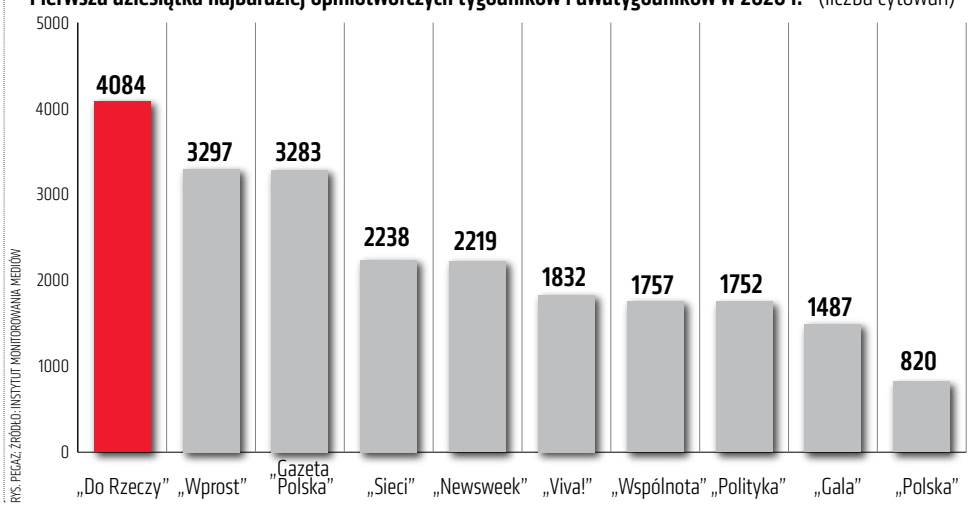

RYS. PEGAZ; ŹRÓDŁO: INSTYTUT MONITOROWANIA MEDIÓW

SUKCES TYGODNIKA „DO RZECZY"

W 2020 r. „Do Rzeczy" było najbardziej opiniotwórczym pismem wśród polskich tygodników i dwutygodników – tak wynika z najnowszego rankingu Instytutu Monitorowania Mediów. W zeszłym roku nasz tygodnik był cytowany aż 4804 razy, dzięki czemu wyraźnie wyprzedził zarówno „Wprost", jak i „Gazetę Polską" czy „Sieci". W rankingu wszystkich polskich mediów w czołówce znalazły się: Onet.pl, RMF FM, TVN24, „Rzeczpospolita" oraz portal WP.pl.

(jap) ©℗

eprasa.pl a50b2fd290

Broń razem z nami życia, rodziny i wolności

KRĄG PRZYJACIÓŁ
INSTYTUTU ORDO IURIS

Dzięki zaangażowaniu Przyjaciół możemy działać skutecznie.

Wspólnie tworzymy realną siłę i mamy wpływ na rzeczywistość.

Instytut na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris to nasz wspólny wysiłek włożony w obronę naturalnego ładu społecznego i najważniejszych wartości. Działalność Ordo Iuris możliwa jest tylko dzięki hojności osób, które rozumieją, że osiągnięcie tego celu wymaga regularnego wsparcia finansowego z ich strony.

Z myślą o nich powołaliśmy Krąg Przyjaciół – specjalny program dla Darczyńców szczególnie zaangażowanych w misję Instytutu. Krąg Przyjaciół to jeden z filarów Ordo Iuris.

Tworzą go Darczyńcy, którzy swoimi regularnymi, comiesięcznymi darowiznami, umożliwiają naszym prawnikom skuteczne i profesjonalne działanie. Wspólne zaangażowanie – wspierających Przyjaciół i działających ekspertów – stanowi realną siłę mogącą efektywnie kształtować otaczającą nas rzeczywistość. Świadomie rezygnujemy z grantów i dotacji publicznych, których pozyskanie mogłoby ograniczać naszą niezależność. Hojność naszych Darczyńców pozwala nam kontrolować poczynania władzy bez obaw o możliwość dalszego funkcjonowania Instytutu.

Adw. Jerzy Kwaśniewski
Prezes Instytutu na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris

Dołącz do Kręgu Przyjaciół

przyjaciele.ordoiuris.pl

INSTYTUT NA RZECZ KULTURY PRAWNEJ ORDO IURIS

eprasa.pl a50b2fd290

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Człowiek bez początku

Profesor Magdalena Środa, dociskana przez red. Beatę Lubecką w sprawie aborcji – a konkretnie: dlaczego płód w ciele matki ma być uważany za człowieka na przykład od 21. dnia życia, a do 20. nie? – odpaliła, że kiedy zaczyna się ludzkie życie, w ogóle nie można ustalić, i już.

Jest to dobitne podkreślenie faktu, że w świetle ustaleń nauki, wcale zresztą nie tak nowych, postawa zwolenników aborcji jest czystym obskurantyzmem i ciemnotą, porównywalną z upieraniem się, że Ziemia jest płaska. Początek życia następuje w momencie, kiedy z połączenia jaja i plemnika, komórek szczególnych, przeznaczonych wyłącznie do tego jedynego celu, tworzy się zarodek, posiadający nowe, unikalne DNA, odmienne od DNA rodziców i wszystkich ludzi żyjących kiedykolwiek wcześniej i później. Jest to proste jak dwa plus dwa: zarodek ten przechodzi potem fazy rozwojowe, które możemy różnie nazywać: płodem, niemowlęciem, nastolatkiem, starcem, ale na wszystkich tych etapach swego istnienia jest unikalną, niepowtarzalną istotą. Aż do zgonu. Mały człowiek wyrasta jak część organizmu matki i dopiero w pewnym momencie, oderwawszy się od niego, staje się nowym osobnikiem, jak bywa to z pączkującymi roślinami czy bakteriami – pojawia się w momencie zapłodnienia, i jest.

Pani Środzie chwali się, że, mądrzejsza od „dziewuch" ryczących na ulicach, nie próbuje się upierać, że płód staje się człowiekiem dopiero arbitralną decyzją organów administracyjnych, władnych zalegalizować jego zabicie dla wygody rodziców. Ale prawdy też przyznać nie może, z powodów psychologicznych: nikt po latach służenia jakiejś idei nie lubi przyznać się przed samym sobą, że idea ta jest głupia i zbrodnicza. Stąd próba wyparcia, argumentem tak głupim, że właściwie nie sposób go traktować poważnie. Jeśli życie nie ma początku, czy też nie jest on możliwy do ustalenia, to wszystko, co dotąd o człowieku napisano, nie ma za grosz sensu.

No, może poza wstrząsającym opowiadaniem Philipa K. Dicka „Przedludzie". Tam granicą, do której można człowieka zabić, jest wiek 12 lat. Bo, jeśli pani Środa miałaby rację, dlaczegóż by nie? ©℗

OD POCZĄTKU

Pewny wyróżnik komunizmu

MAREK JUREK

Aleksandra Sobczak, wicenaczelna „Gazety Wyborczej", która niedawno z dumą proklamowała narodowy pornosukces na Netflixie, mimo takich krótkich momentów radości na sytuację tego kraju patrzy z powagą i troską. Są według niej „dwie drogi dla Polski – albo postępujący faszyzm", albo „bunt i legalna aborcja". Nie wolno się łudzić, że pod władzą panującego dziś w Polsce faszyzmu da się jakoś przeżyć. „Postępujący faszyzm" nie zatrzyma się na obecnym etapie! Jeśli nie nastąpi „bunt i legalna aborcja", to groza i okrucieństwo faszyzmu będą rosnąć każdego dnia.

Można się śmiać, można się obrażać, lepiej jednak te enuncjacje potraktować poważnie. W języku komunizmu „faszyzm" nigdy nie był kategorią opisu, ale piętnem do naznaczania przeciwników przeznaczonych do likwidacji. Taką funkcję bolszewicki antyfaszyzm spełniał na wszystkich etapach swej historii. W latach 20. XX w. „faszyzm" był epitetem do propagandowego zwalczania oponentów, również na lewicy („socjal-faszyzm"). Od lat 30. „faszyzm" przypisywano wszystkim przeciwnikom współpracy z komunistami. Po drugiej wojnie światowej miał być piętnem antykomunistów, występujących przeciw agresji sowieckiej. Zarzut „faszyzmu" sam w sobie był dowodem upoważniającym do fizycznego i moralnego niszczenia politycznych przeciwników. Dziś jeszcze na „zwycięstwo nad faszyzmem" powołuje się Putin dla uzasadnienia narzucenia rządów kolaboracyjnych krajom Europy Środkowej.

Postępujący faszyzm" „Wyborczej" objął dziś „Evangelium Vitae" i demokrację europejską sprzed rewolucji lat 60. Jak widać – zachowując istotę, poszerza ciągle zakres. Epitet ten najwięcej jednak mówi o tych, którzy go używają. Szermowanie „faszyzmem" stanowi bowiem pewniejszy wyróżnik komunizmu niż nawiązywanie wprost do jego skompromitowanej nazwy czy historii. I zawsze jest zapowiedzią przemocy, nawet jeśli na początek jest to „tylko" gwałt na języku. ©℗

eprasa.pl a50b2fd290

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Fatalne wybory Włochów

Włosi, zapewne w desperacji, popełnili kapitalny błąd osądu, oddając w wyborach 2018 r. co trzeci głos na kontestacyjny Ruch 5 Gwiazd. Ruch powstał na blogu znanego komika Beppe Grillo i rządził tragikomicznie. Italia wpadła z deszczu pod rynnę.

Gdy pytałem prof. Rocco Buttiglionego o sekret sukcesu Ruchu, powiedział, że naród postąpił tak jak dawniej królowie, którzy aby upokorzyć swoich wasali, stawiali nad nimi swego błazna. Innymi słowy, naród zdegustowany swoją klasą polityczną postawił na obiecujących permanentną rewolucję błaznów. Nikomu nie przeszkadzało, że Ruch w swoich założeniach programowych pełnymi garściami czerpał z teorii ekonomicznych Robin Hooda z Loxley.

Reszty dopełnił katastrofalny brak kompetencji i deficyt elementarnej wiedzy, o którym już pisałem. Doszło do scen jak z kabaretu. W rozmowach z cynicznym, chytrym lisem Putina ds. polityki międzynarodowej Siergiejem Ławrowem Italię reprezentował minister spraw zagranicznych Luigi Di Maio, którego jedynym doświadczeniem zawodowym była sprzedaż napojów na stadionie w Neapolu. Języki obce – zero. Włoski słabiutki jak bawarskie piwo.

Ruch, zamiast reformować i rewolucjonizować, zmimetyzował się i przedzierzgnął w polityczny establishment. Co więcej, to całe panoptikum niedouków połączyło się w koalicję rządzącą z Partią Demokratyczną kawiorowej lewicy. Ta z kolei cierpi na gigantyczny kompleks wyższości. Uważa się za dar Pana Boga dla Italii i całego świata. I, broń Boże, się z tym nie kryje. Poucza i naucza. Brakuje jej tylko jednego – głosów (ostatnio najgorszy wynik w historii lewicy – 18 proc.). Ale w końcu wszyscy się śmiertelnie ze sobą pokłócili i tragikomiczny rząd upadł.

Teraz to wszystko będzie się starał trzymać za twarz Mario Draghi, były szef Banca d'Italia i Europejskiego Banku Centralnego. Człowiek niewielu słów, pragmatyczny i konkretny, cieszący się szacunkiem w kraju i w Europie, czyli idealny na nasze ciężkie czasy. Może się uda... ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Atak paniki

Opublikowanie wyroku Trybunału Konstytucyjnego dotyczącego aborcji raz jeszcze uaktywniło Strajk Kobiet. Z jakim skutkiem? Spójrzmy okiem analityka. „Moc protestów można mierzyć ilością postów celebrytów na Instagramie. No i szczerze mówiąc, nie najlepiej. Połowa siedzi na Zanzibarze, druga połowa nie ma czasu na te herstorie, bo musi reklamować szminki i świeczki. Drugiej jesieni nie będzie" – stwierdziła Zuzanna Dąbrowska.

Nie wszyscy jednak protestowali w ciepłych krajach. Przejdźmy zatem na polskie ulice. „Policja stosuje taktykę na wyniszczenie: zimno, głód, spragnienie, potrzeby fizjologiczne. W kotle wiele młodych, niewinnych osób. Przykre, że policja podejmuje wobec nich takie działania, ale cóż: od roku trwa sukcesywne rujnowanie swojego wizerunku" – relacjonował Adrian Kleć. „Na skutek działań policji legitymowana osoba dostała ataku paniki. Policja utrudnia filmowanie" – dodał portal OKO.press.

Z godziny na godzinę sytuacja gęstniała. „Dlaczego protestujący są wywożeni do Pruszkowa, Mińska czy Grodziska Mazowieckiego? Jak później mają wrócić kilkadziesiąt kilometrów do domu? W nocy? Przecież to zwykłe represje" – zapytał Mateusz Obłudka. „Idą i krzyczą »to jest wojna«, a wystarczy, że ich policja z centrum wywiezie do Pruszkowa i biedni nie wiedzą, jak wrócić na miejsce bitwy. Strach pomyśleć, co by było, jakby im policja dodatkowo pozabierała smartphony" – odpowiedział mu anonimowy internauta. Prawdziwą konkluzją był chyba jednak inny tweet. „»Twarz Marty Lempart stała się nieco kłopotliwa«. Czy Strajk Kobiet jest największym wrogiem... strajku kobiet? " – zastanawiało się Radio TOK FM.

Co w takim razie? „Jeśli chcemy poradzić sobie z PiS-em, musimy zmienić nasz sposób reagowania. Przestać reagować zgodnie z ich oczekiwaniami. Wyjść z przewidywalnego schematu. To klucz" – zasugerowała Anna Mierzyńska. „Zgadzam się. Tylko co to praktycznie oznacza? " – dopytała dziennikarka, Eliza Michalik. „To nie jest, niestety, temat do publicznego dzielenia się konkretami" – odparła Mierzyńska, kończąc tę krótką burzę mózgów. ©℗

eprasa.pl a50b2fd290

FOT. PAWEŁ GROMADA

CO ZA DZIADOSTWO!

Paulina Młynarska nazwała Jurka Owsiaka dziadersem! Nie poparł bowiem aborcji na życzenie z entuzjazmem, jakiego życzyłyby sobie feministki. Co gorsza, opowiedział się za aborcyjnym kompromisem.

– Nie jesteśmy świrami, wariatami, którzy mówią, że aborcja ma być na pstryknięcie. To jest absolutnie nadużycie. Myślenie o tym jest absolutnym nadużyciem – powiedział Owsiak, deklarując wsparcie dla strajkujących kobiet.

„Jurku Owsiaku, jesteś dziadersem. Kochanym, uwielbianym, za którego wiele z nas dałoby się pokroić. Ale jesteś dziadersem. Świadczy o tym łatwość, z jaką w czasie, gdy Polki masowo protestują przeciw sadystycznej ustawie antyaborcyjnej, rzucasz hasło »aborcja na pstryk« i opowiadasz się za zgniłym kompromisem" – napisała do Owsiaka Paulina Młynarska. I dodała protekcjonalnie: „Można odnieść wrażenie, że swojego stanowiska w tak ważnej, dramatycznej sprawie nie przemyślałeś". Poglądy można bowiem mieć albo słuszne, czyli takie jak Paulina, albo niesłuszne i wtedy zostaje się dziadersem. Taka to alternatywa. Dziadowska, chciałoby się rzec.

CENNE RELACJE

Małgorzata Rozenek, przebywając na urlopie w Meksyku, nie próżnuje. Ciągle wrzuca jakieś zdjęcia do Internetu i zachwala jakieś rzeczy, które są najwspanialsze na świecie i które każda dziewczyna musi mieć. Ostatnio rozpływała się nad biżuterią z kamieniami, które mają przynosić szczęście. – Te kamienie noszą w sobie pozytywną energię i jeżeli macie ochotę, jak w przypadku różowego kwarcu, wzmocnić swoją relację miłosną, to ten kwarc podobno pomaga – zachęca Rozenek. Nie wiadomo, czy ów kwarc pomoże zwykłym dziewczynom wzmocnić miłosne relacje, ale na pewno już pomógł wzmocnić relację pani Rozenek. Tę na Instagramie.

MODA STRAJKOWA

W ostatnim wydaniu „Wysokich Obcasów", dodatku kobiecego do „Gazety Wyborczej", ukazał się poradnik, w co należy się ubrać i co warto mieć, wybierając się na strajk proaborcyjny. „Trzeba mieć porządne buty z grubą podeszwą, na tyle wygodne, żeby móc szybko biegać, nieprzemakalną kurtkę, plecak z wieloma kieszeniami i butelkę z wodą, żeby w razie czego przemyć oczy. Nie życzymy, żeby wam się to wszystko przydało, ale lepiej bądźcie gotowe" – radzi gazeta. I proponuje m.in. trampki za 159 zł, trapery za 409 zł, pasek za 589 zł, kurtkę za 1299,90 zł i koniecznie zegarek za 796,50 zł. Bez tego nie ma sensu pokazywać się na strajku. Z tym też nie, ale to już zupełnie inna kwestia.

A JEDNAK NIEPOROZUMIENIE

Jako że strajkowe porady modowe „Wysokich Obcasów" nie wszystkim feministkom przypadły do gustu, redakcja postanowiła za nie przeprosić. „Przepraszamy tych, którzy poczuli się naszą publikacją urażeni" – napisała redaktor naczelna pisma. I przyznała: „Prezentacja produktów wybranych przez redakcję miała być wyrazem ciepła i wsparcia, w żadnym wypadku reklamą drogich gadżetów. Wiemy, że większość czytelniczek traktuje pokazywane w pismach przedmioty bardziej jak inspiracje niż konkretne rzeczy do kupienia. Ta sytuacja to nieporozumienie". Żeby tylko ta jedna!

SZCZĘKA DO WZIĘCIA

Aktorka Anna Mucha, tak jak wiele jej koleżanek i kolegów z show-biznesu, także zaangażowała się w Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy. Na aukcję na rzecz chorych dzieci postanowiła przekazać swoją sztuczną szczękę, która była elementem charakteryzacji w filmie Patryka Vegi, w którym Mucha zagrała. Na filmiku Anna Mucha zaprezentowała, jak wyciąga sztuczne zęby z ust, i w ten sposób ogłosiła, że oto przekazuje ten cenny rekwizyt do licytacji. „Gramy! Moje serce jest z Orkiestrą! Moja szczęka także! To wyjątkowy rekwizyt filmowy! Przekazuję do licytowania szczękę z diastemą mojej bohaterki z najnowszego filmu Patryka Vegi. Szczęka, która pomogła mi stworzyć tę postać, nadać jej charakteru i wyjątkowości! Pięknie opakowana w ramkę, eksponat. Licytujcie! Wspierajmy Orkiestrę! Niech gra do końca świata i o jeden dzień dłużej!" – napisała na Instagramie. Nie wiemy nawet, jak to skomentować. Wiemy natomiast, że chcielibyśmy kiedyś poznać tego szczęśliwca, który zdecyduje się zakupić szczękę Anny Muchy. Z ciekawości, co też taki ktoś musi mieć w głowie. ©℗

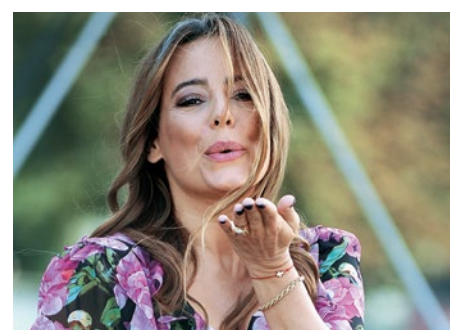

FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

eprasa.pl a50b2fd290

REKLAMA

Obowiązkowa lektura dla polityków i tych, których oni bałamucą

Barwny, literacki język, na dodatek świetne ilustracje – piękna i mądra książka. „Między nieładem a niewolą" – historia, ale jak zwykle u Profesora, pełna refleksji nad współczesnością. Résumé różnych szkół i kierunków politycznego myślenia na przestrzeni dziejów. Wnioski i komentarze Autora powinny być obowiązkową lekturą dla współczesnych polityków oraz dla każdego, kto chce zrozumieć, o co w naszym świecie chodzi.

150 ILUSTRACJI, 384 STR., 16,5 X 24 CM,
TWARDA LAKIEROWANA OPRAWA.

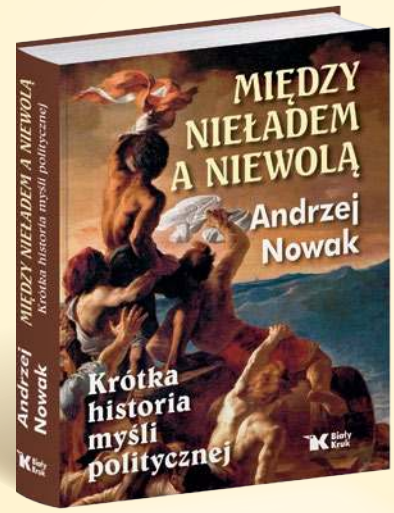

Dla czytelników „Do Rzeczy" 35% taniej!
Wejdź na stronę bialykruk.pl i wykorzystaj kod rabatowy WPIS35

ZAMÓWIENIA: 12/260 32 90, 12/254 56 04, 12/254 56 31 lub e-mail: handlowy@bialykruk.pl
Przy zamówieniu powyżej 200 zł koszty przesyłki (16 zł) ponosi wydawnictwo.

REKLAMA

DLA STAWÓW

Choroby stawów obejmują coraz szerszą i młodszą grupę osób. Preparaty stosowane w ich terapii są przyczyną połowy działań ubocznych wszystkich leków. Dlatego poszukuje się bezpiecznej alternatywy. Pomoc może przynieść suplement diety Rheumafort+ został opracowany w USA dla stawów. Dzięki ulepszonemu składowi i technologii Rheumafort+ działa jeszcze skuteczniej. Wspomaga wytwarzanie mazi stawowej, co zmniejsza tarcie powierzchni stawowych, poprawia odżywienie chrząstki stawowej, a w konsekwencji funkcję stawów. Badania w poznańskiej Klinice Reumatologii i Rehabilitacji wykazały, że przyniósł on dużą i bardzo dużą poprawę aż u 80% osób z chorobą zwyrodnieniową stawów i był przez wszystkich badanych dobrze tolerowany.

Rheumafort+ 120 kapsułek kosztuje w aptece ok. 90,- zł.
Phytomedica Polska, tel. 22 651 75 40, http://rheumafort.pl, info@phytomedica.pl

eprasa.pl a50b2fd290

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, rząd postanowił dokonać zamachu na wolność w mediach społecznościowych i pracuje nad ustawą, na mocy której nie będą one mogły blokować użytkowników i usuwać publikowanych przez nich treści, jeśli te nie łamią polskiego prawa.

Rząd przy tym nie chce pamiętać, iż za mediami społecznościowymi stoją ludzie, którzy też mają swoje granice cierpliwości, a bycie narażonym w sposób ciągły na prawicowe treści może być szkodliwe dla komfortu psychicznego takiej osoby moderującej.

Poza tym musimy być ostrożni, bo wolność słowa wolnością słowa, ale nie może być tak, że każdy będzie sobie publikował, co zechce i gdzie zechce, może to prowadzić do skonfundowania, braku poczucia stabilizacji i pryśnięcia bańki, co dla wielu będzie bardzo dotkliwe.

Dotarła do nas przerażająca informacja, iż ten kraj jednak zdecydował się na pozyskiwanie energii atomowej, zamiast postawić na energię płynącą z serc i uśmiechów wyborców Wiosny i Polski 2050.

Projekt nazywa się „Polityka Energetyczna Polski do 2040 r.", więc o tyle dobrze, że pewnie nie powstanie przed rokiem 2060. Nie rozumiemy tego rządu, który z jednej strony wprowadza restrykcje epidemiczne, bo naczytał się magazynu „Nature", ale za to nie miał już hajsu na subskrypcję HBO GO, bo ewidentnie nie obejrzał serialu „Czarnobyl" i chyba nie wie, jakie konsekwencje niesie ze sobą energia jądrowa.

Zwróćcie też przy okazji uwagę, iż znów mamy do czynienia, nawet przecież przy – zdawałoby się – neutralnym temacie atomu, z maskulinizmami, które wpływają na nasz ogląd świata. Dlaczego mówimy tylko o tym, iż atom ma jądra? Dlaczego nie zredefiniujemy pojęć i nie nazwiemy go „cząstką z jądrem"?

Skupiamy się, kochani, na didaskaliach, a poważne problemy dostrzegamy jedynie mimochodem :(

Zastanawiamy się nad wystąpieniem o obywatelstwo Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Raz, że zawsze pociągały nas odmienne kultury i z życzliwością myśleliśmy o islamie jako religii mniejszości, a dwa, że pojawiła się ostatnio taka możliwość.

Otósh ZEA ogłosiły, iż o obywatelstwo mogą się starać inwestorzy, lekarze, wynalazcy i artyści. Jako iż nasze zasoby chwilowo nie pozwalają nam na inwestycje w Dubaju, nie zostaliśmy lekarzami i niczego nie wynaleźliśmy (of kors z powodu tego, iż społeczeństwo nam w tym nie pomogło), postanowiliśmy się zakwalifikować jako artyści.

Warunek jednak jest taki, iżby być pionierem w swojej dyscyplinie. Dlatego teraz gorączkowo myślimy, jak unowocześnić sztuki performatywne, jako że w ogóle nie mamy talentu manualnego i jedyne, co potrafimy narysować, to osobogłowonoga na poziomie bąbelka z przedszkola.

Naszą główną motywacją jest fakt, iż jeśli się nie uda, to pozostaniemy z obywatelstwem polskim, co jest nie tylko niemodne, lecz także ostatnio coraz bardziej przygnębiające w tym kraju. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Tylko dla mimów

Adam, o co chodzi z tymi mimami w hotelach?
Czekaj, Mateusz, nie rozumiem.

Chciałem się zorientować, jakie są aktualne obostrzenia, bo się już trochę sam w tym gubię. Wszedłem w Internet, a tam jest coś takiego: „Hotele dostępne są tylko dla mimów, myślicieli, rzeźbiarzy oraz Patryka Vegi". Vegę to rozumiem, pewnie jakiś film kręci. Myśliciele i rzeźbiarze – to sobie pewnie jakoś Gliński wylobbował. Ale mimowie?

Pokaż to... Sam nie wiem. Ja też nad tym wszystkim nie panuję. A może na tym wykresie z „Nejczer" byli mimowie, że mało zakażają?

Myślisz, że ja ten wykres pamiętam? Raz mi mignął na naszej konferencji i tyle.

No to nie rozumiem...
Może błąd jakiś? Ale nie, moment, to nie jest nasza strona.
To jakaś podpucha, zobacz, jaki adres ma. I tytuł: „Generator obostrzeń".

No faktycznie. Ale w sumie to nie takie głupie, można by użyć. Zobacz to: „Obowiązuje zakaz organizacji rekonstrukcji bitew oraz hackathonów".
Ty, co to są te hackathony?
Może warto to opodatkować? ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Nie wiem, co robić, bo nie mogę latać na wykłady, a muszę jakieś pieniądze zarabiać, bo żona wydaje więcej, niż mamy"

***LECH WAŁĘSA**, były prezydent, o swojej sytuacji materialnej w rozmowie z „Super Expressem"*

eprasa.pl a50b2fd290

Już 15 lutego w „Do Rzeczy” dodatek

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

eprasa.pl a50b2fd290

Z ostatniej chwili: nikt nic nie wie! Czy to Jarosław Gowin jest szefem Porozumienia? A może od trzech lat nie? Więc może to Adam Bielan jest szefem Porozumienia? A może nie może nim być, gdyż może jest zawieszony? Niech te trudne pytania nie przesłaniają nam najważniejszego: Czy coś takiego jak Porozumienie w ogóle istnieje? Widzimy tylko jedną drogę uporządkowania tego bałaganu – wzywamy Orlen do zakupu Porozumienia.

Żegnamy Krzyśka Szczerskiego. Wiewiórki z MSZ informują, że kwity w jego sprawie już zostały wysłane. Zgodnie z naszymi zapowiedziami Krzysiek przenosi się do Nju Jorku, gdzie będzie piastować odpowiedzialną funkcję ambasadora Polski przy ONZ. Zazdrościmy. Jogging w Central Parku, nowojorskie bajgle i to cudowne uczucie, że ma się wszystko w…, no wiecie, w nosie, oczywiście.

Transfer Krzyśka oznacza, że nie pobudował sobie nazbyt długo biura spraw międzynarodowych dla prezydenta Andrzeja Sebastiana. Pozostaje pytanie: Kto za Krzyśka? Wiewiórki opowiadają, że mógłby to być Witek Dzielski. Jest jednak pewien problem. Otóż to właśnie Witek nie popisał się, kiedy do Andrzeja Sebastiana dzwonili ruscy pranksterzy.

Z kolei Jacek Czapa-Czaputowicz, były minister spraw zagranicznych, ubiega się o prestiżową funkcję specjalnego wysłannika Unii Europejskiej ds. Libii. Zazdrościmy. Jogging na plaży, libijskie kebaby z romantycznych budek na ulicach i to cudowne uczucie, że w każdej chwili ktoś może zacząć do ciebie strzelać.

Z ostatnią wiadomością związana jest zabawna historia. W konkursie na stanowisko, o które ubiega się Czapa, wystartował tylko jeden konkurent. Jakiś trzeciorzędny urzędniczyna z Holandii. Wydawać się więc mogło, że Czapa ma robotę w kieszeni. Nic z tego. Z niewiadomych przyczyn po przeczytaniu CV Czapy i Holendra konkurs został przedłużony.

Z Paryża wraca tymczasem ambasador Tomasz Młynarski. Niczym specjalnym się nie wyróżnił, może poza upodobaniem do dobrego jedzenia na koszt naszej dyplomacji. Podobno jedną z najważniejszych osób w ambasadzie był kucharz. Obiady przygotowywane dla Talleyranda przez Antoine'a Carême podczas kongresu wiedeńskiego ocaliły Francję po klęsce Napoleona. Niestety to nie ten przypadek.

Częstym gościem w gmachu MSZ bywa ostatnio Piotr Jegliński, zasłużony wydawca. Wieść gminna niesie, że chce zostać następcą Młynarskiego. Nawiasem mówiąc, polska ambasada mieści się przy ulicy noszącej imię Talleyranda, a ambasador rezyduje w uroczym Hotel de Monaco. Przy czym hotel to w tym przypadku pałacyk. Uroczy. Dla Jeglińskiego nie będzie to jakaś duża zmiana, bo w Warszawie też rezyduje w pałacyku.

COVID-19 nie oszczędza szefów służb. Niedawno rozplenił się w Agencji Wywiadu. Teraz zaraza dopadła szefa CBA. Wcześniej zaś koronawirus odbył przechadzkę po przepastnych korytarzach Prokuratury Krajowej. Cóż, jak głosi stare powiedzenie – co cię nie zabije, to cię wzmocni. Służby i prokuratura wychodzą zatem wzmocnione.

Skoro wróciliśmy do spraw krajowych – złe języki opowiadają, że premier Mateusz ma nieprzyjaciół w PiS, ale to wcale nie szeregowy wicepremier Jarosław Kaczyński im patronuje. W każdym razie to pewne osoby z PiS podjudziły tefaueny, żeby jechać do Pcimia w poszukiwaniu ludzi, którzy mogliby obsmarować Daniela Obajtka, dziś szefa Orlenu, kiedyś wójta Pcimia. Nic z tego. Lud Pcimia okazał się zdyscyplinowany i nic złego na Obajtka powiedzieć nie chciał.

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Tymczasem spotkanie gigantów zakończyło się remisem. Chodzi o debatę Michnik-Tusk zorganizowaną przez „GazWyb". W dodatku był to remis 0:0, bo żadna z drużyn nie miała niczego ciekawego do zaprezentowania na boisku. Jedyny zabawny moment to ten sprzed debaty, kiedy wicenaczelna „GazWybu" Sobczak ogłosiła, że chce zapytać Michnika, jak obalić dyktaturę. Nie ten adres, pani Aleksandro. Michnik nie ma doświadczenia w obalaniu dyktatury, tylko w dogadywaniu się z nią.

Użytkownicy portalu Tvp.info mogli w ostatnich dniach zauważyć na hompejdżu przeprosiny za nieprawdziwą informację podaną przez tę znaną telewizję informacyjną. Zanim wykształciuchy zakrzykną: „Ha! Telewizja Kurskiego kłamie!", proponujemy wczytanie się w szczegóły. Przeprosiny dotyczą materiału z czerwca 2015 r. Zatem wznoszone okrzyki powinny brzmieć: „Telewizja Juliusza Brauna kłamie!". Co nas nie dziwi, bo dobrze pamiętamy telewizję z czasów PeŁo.

Wygląda na to, że w powyższym przypadku rozgrzane sądy zdradziły PeŁo i jej Juliusza. To nie koniec, zdrada lęgnie się wszędzie. Autorytet moralny Andrzej Rzepliński, kiedyś prezes Trybunału Konstytucyjnego, ogłosił w tefauenach, że Julia Przyłębska jest legalnym prezesem TK. A sędzia Igor Tuleya przyznał publicznie, że PeŁo nie miała prawa w 2015 r. na zapas wybierać sędziów Trybunału. Ciekawe, czy zuchy (zuchinie?) ze Strajku Kobiet powybijają im szyby w oknach.

Apropos sędziego Igora Tulei. Klementyna Suchanow podobno przestała się wreszcie oglądać za młodymi chłopakami (?) o niezdecydowanej tożsamości płciowej zwanymi „Margotem". Swoją drugą połówkę znalazła właśnie w osobie sędziego Igora Tulei. „A gdy się zejdą, raz i drugi, kobieta po przejściach, mężczyzna z przeszłością, bardzo się męczą, męczą przez czas długi, co zrobić, co zrobić z tą miłością". Wiwat, walentynki! ©℗

eprasa.pl a50b2fd290

High Class Racing

Kubica na długim dystansie

Robert Kubica po wyjątkowo krótkiej zimowej przerwie udał się za Atlantyk, gdzie w ostatni weekend stycznia na Florydzie odbywa się prestiżowy całodobowy wyścig 24h Daytona. Cel był prosty: poznać od podszewki specyfikę takich maratonów, z myślą o ewentualnych regularnych startach właśnie w zawodach długodystansowych

Mimo że w tej misji zabrakło najważniejszego – samochód, którym startował Kubica i jego trzej zespołowi koledzy, uległ awarii już po paru godzinach wyścigu – to przynajmniej udało się zdobyć pierwsze doświadczenia w tej wyjątkowej odmianie wyścigów. Wbrew pozorom różnic jest sporo i nawet zawodnik o ogromnym doświadczeniu w Formule 1 czy innych wymagających seriach musi się dostosować do zupełnie nowej rzeczywistości. Konieczność dzielenia kokpitu z kolegami, ekspresowe zmiany za kierownicą podczas pit stopów, strategia i przygotowanie fizyczne do całodobowej walki, jednoczesna obecność na torze samochodów kilku różnych klas, o różnych prędkościach i osiągach – to są nowości, z którymi trzeba się oswoić.

Daytona skupia na starcie śmietankę kierowców: mistrzowie i legendy amerykańskich wyścigów NASCAR czy IndyCar, zawodnicy z Formuły 1 czy DTM, a także wybitni specjaliści od zmagań długodystansowych walczą samochodami aż pięciu różnych kategorii. Wśród nich ta, w której barwy duńskiej ekipy High Class Racing reprezentował Kubica – czyli LMP2 – jest drugą najszybszą w stawce.

– Przyjazd tutaj to dla mnie nowe doświadczenie, sprawdzenie pewnych elementów – mówił Kubica podczas przygotowań na Florydzie. – Nie mówię tutaj o jeździe samym autem, ale o charakterystyce takich wyścigów. Jest dużo aspektów, które kierowca musi poznać. Trzeba po prostu się tu zjawić, żeby zobaczyć, jak to wygląda, i przeżyć to doświadczenie. Głównym powodem mojego startu jest sprawdzenie, jak to wszystko wygląda.

Podczas treningów Kubica szybko wszedł w rytm, mimo że czasu spędzonego na torze było niewiele – samochód trzeba wszak dzielić ze zmiennikami: znanym z DTM Ferdinandem Habsburgiem oraz duńskimi zawodnikami Andersem Fjordbachem i Dennisem Andersenem. Pozytywną atmosferę w High Class Racing podbudowywały czasy okrążeń: regularne pozycje w czołówce, wsparte drugimi lokatami w kwalifikacjach i 100-minutowym wyścigu kwalifikacyjnym, zwiastowały walkę o najwyższe cele w kategorii LMP2.

Śmiało można było celować w pierwszą trójkę, ale w wyścigach decydujący wpływ na końcowy wynik ma wiele składników. Tempo kierowców i samochodu było na miejscu, zabrakło za to niezawodności. Marnym pocieszeniem jest to, że równie wcześnie walkę w 24h Daytona zakończyły dwa inne samochody ze ścisłej czołówki LMP2.

Motorsport opiera się także na sprzęcie, który bywa zawodny – nawet mimo ciężkiej pracy i doświadczenia mechaników oraz inżynierów. Kapryśna technika niejednokrotnie pozbawiała szans na zwycięstwa czy mistrzowskie tytuły, nawet gdy te były już na wyciągnięcie ręki. Kierowcy świetnie zdają sobie sprawę, ile różnych czynników może przeszkodzić w walce o sukcesy.

Główny cel Kubicy na ten wyścig nie został zrealizowany, ale mimo gorzkiego zakończenia przygody z Daytoną można się spodziewać, że prędzej czy później polski kierowca wróci za kierownicę prototypu LMP2. Jak sam podkreśla, takie samochody – startujące także w cyklu Długodystansowych Mistrzostw Świata i 24h Le Mans, jednym z najsłynniejszych wyścigów świata – zachowują czysto wyścigowe DNA. Dzięki dociskowi aerodynamicznemu ich prowadzenie jest bardziej zbliżone do maszyn Formuły 1 niż do samochodów GT oraz innych kategorii – daje zatem frajdę kierowcy, a wysoki poziom w stawce sprawia, że sukcesy będą miały swoją wartość i swój smak. Jednak by je odnosić, wszystkie najdrobniejsze elementy wyścigowej układanki muszą być na swoim miejscu. Podczas 24h Daytona zabrakło tylko jednego z nich, ale to wystarczyło, by walka na torze dobiegła końca, zanim jeszcze właściwie się rozpoczęła.

eprasa.pl a50b2fd290

Jakub Szela, przywódca antyszlacheckiego powstania w Galicji

FOT. DOMENA PUBLICZNA

A to Polska właśnie

Krzysztof Masłoń

W ramach redefiniowania polskości, a co za tym idzie – wymiany bohaterów, nie wątpię, że Jakub Szela znajdzie się w nowym panteonie obok hochsztaplera Jakuba Franka z „Ksiąg Jakubowych"

Mało które wezwanie pisarskie zrobiło taką karierę, jak domaganie się przez Szczepana Twardocha redefinicji polskości. To, że w jego wydaniu okazać się miało w końcu odrzuceniem tejże i bluźnięcie: „Pierdol się, Polsko", jest tu drugorzędne. Autor zapewnił przecież naszych sąsiadów z Zachodu, że nie traktuje Niemców jako zagranicy, choć w ostatniej powieści („Pokora") ustami ojca tytułowego bohatera przekonuje, że „Niemcy to w ogóle gówno, a Polska jeszcze gorsze gówno".

Z drugą częścią tej prawdy objawionej Twardochowi zgadzają się i inni mistrzowie pióra, jakże chętni do poddania naszej historii i literatury rewizji, i to zasadniczej, jako że gloryfikowały one przez długie lata, a nawet przez wieki, kolonializm, religianctwo i antysemityzm. Że tak się działo, przekonują choćby sławne „Księgi Jakubowe" samej Olgi Tokarczuk.

U PANA BOGA ZA PIECEM

Dlatego też absolutnie nie do przyjęcia okazuje się np. Henryk Sienkiewicz. Ze wszystkim, co napisał, bo i z „Quo vadis", i z „W pustyni i w puszczy", i z „Krzyżakami", ale może najbardziej z „Trylogią" ze szczególnym uwzględnieniem „Ogniem i mieczem", gdzie – co od dawien dawna wiadomo naszym demokratom – pisarz gloryfikował strasznego księcia Jeremiego Wiśniowieckiego, kata zgnębionych mas chłopskich i kozactwa dowodzonego przez bohatera Ukrainy – Bohdana Chmielnickiego. Swoją drogą, mało kto zdaje sobie sprawę, że leżący krzyżem w kościele (prawosławie porzucił dopiero jako 20-latek) książę etnicznie był Rusinem, za to Polakiem, co począć, Chmielnicki. Ojciec tego ostatniego zginął bohatersko pod Cecorą, a on sam jako dziecko dostał się do niewoli, gdzie poznał języki turecki i tatarski.

pl a50b2fd290

Rusińskim jednak nie władał, natomiast polskim i łaciną – owszem. Odnośnie do języka ukraińskiego, którym przemawia do nas z filmów, to był nie tylko jemu nieznany, jako że powstał dopiero półtora wieku później. Ale jakie to ma znaczenie dla uczonych postępowców, dla których Wiśniowiecki był warchołem i okrutnikiem, kolonizatorem Zadnieprza i pacyfikatorem Ukrainy, zaś Chmielnicki wcale nie przystał do Kozaków rejestrowych, będących zresztą na żołdzie królewskim, by upominać się o to, co było mu przynależne, lecz o zlitowanie nad biednym ludem?

A ludowi powodziło się, istotnie, źle, co najmocniej podkreślali i podkreślają nadal światli cudzoziemcy. Dość przeczytać to, co trzydzieści parę lat temu napisał Daniel Beauvois o relacjach pomiędzy polską szlachtą a ukraińskimi chłopami. Jego książkę po przełożeniu na polski wydał Jerzy Giedroyc, a dziś ustalenia francuskiego naukowca uchodzą nad Wisłą za niepodważalne.

Warto tu przypomnieć, że już w XVII w. fryzyjski szlachcic Ulryk von Werdum, wykonujący zresztą w Polsce misję szpiegowską, w opisie Rzeczypospolitej, jaki sporządził, odnotowywał m.in., że „polscy panowie z chłopami swymi obchodzą się gorzej niż z niewolnikami albo psami", a naród polski jest „w ogóle niedbały i leniwy". Podobny poziom refleksji Niemców przybywających do Polski utrzymywany jest po dziś dzień.

Buntami, wojnami i powstaniami chłopskimi, które przetaczały się przez Europę, straszono u nas przez lata, widząc w nich kataklizm zagrażający polskiej, z definicji, wsi spokojnej i wesołej. Straszono skutecznie, gdyż w naszym kraju, choć chłopom źle się działo, to jednak do takiej „wojny chłopskiej" jak, w wysoce cywilizowanych – też z definicji – Niemczech nie doszło. Co nie znaczy, że w „Polszcze, na Litwie i na świętej Żmudzi" żyło się jak u Pana Boga za piecem. Przeciwnie, do tego pieca co i rusz rozmaite diabły drew dokładały.

MISTYK W SIERMIĘDZE

Diabłów, wiedźm, zaklętych węży, rzucanych uroków i czarów znajdujemy co nie miara w nagrodzonej w zeszłym roku Nagrodą Literacką Nike powieści Radka Raka „Baśń o wężowym sercu albo wtóre słowo o Jakóbie Szeli".

Chociaż postać tytułowego bohatera tej książki jest całkiem nieźle osadzona w polskiej historii, tradycji i literaturze, to warto ją tu przypomnieć, przy czym celowo cytować nie będę wcale któregoś z dzieł pisanych w Okopach Świętej Trójcy, lecz jak najbardziej postępową, postmodernistyczną, a politycznie najsłuszniejszą ze słusznych pracę Adama Leszczyńskiego „Ludowa historia Polski". Nie „historia Polski Ludowej" ale „ludowa historia Polski", choć w tym wypadku niemal na jedno wychodzi. W każdym razie od Leszczyńskiego dowiadujemy się, że erupcję chłopskiej przemocy, która miała miejsce w Galicji w roku 1846, roku Wiosny Ludów, spowodował szczególny splot okoliczności. „Nałożyła się na niego – czytamy – polityka władz austriackich, które nie zapobiegły (celowo, jak się wydaje) masakrze, wymierzonej w niepewną politycznie szlachtę. Zaborca wykorzystał chłopów, aby ukarać dziedziców, którzy w lutym 1846 r. próbowali wszcząć powstanie przeciw Austriakom. Konflikt dodatkowo podsycił trwający już kolejny rok nieurodzaj. Zapalnikiem »rabacji galicyjskiej« (sama ta nazwa, zauważmy, nadana przez publicystykę szlachecką, jest degradująca; nie zasłużyła nawet na nazwanie jej »buntem«) okazał się tlący się od dziesięcioleci spór pomiędzy szlachecką rodziną Boguszów a wsią Smarzowa, w której głównym przeciwnikiem dziedzica był chłop Jakub Szela (1787–1866)".

Był Szela jednym z zamożniejszych chłopów we wsi, a wyróżniał się temperamentem, zarówno pieniacza, czego dowodzą jego dziesięciolecia trwające spory z Boguszami, jak i brutala. Swoje kolejne żony bił tak mocno, że umierały jedna za drugą. „Przypisywano mu później – cytuję dalej – zabójstwo parobka, jednego z miejscowych Żydów, a także zagłodzenie dziesięcioletniego chłopca, którego miał wziąć na służbę. Wszystko to jednak wypada uznać za pomówienia". Wszystko, a niby dlaczego? Leszczyński odsyła w tym momencie do przypisu, powołując się na artykuł Tomasza Szuberta w „Kwartalniku Historycznym". Z całym szacunkiem dla autora, nie głosi on prawd objawionych, ale przedstawia tylko swoją opinię, niejedyną.

Nie jest pewne, czy Szela potrafił pisać i czytać. Niemniej jednak, jak powiada Adam Leszczyński, „charyzma, temperament i okoliczności – oraz, być może, kontakty z władzami, chociaż brakuje dowodów, że był formalnie austriackim agentem, uczyniły z niego na dwa miesiące przywódcę chłopskiej rebelii". W czasie rabacji chłopi spalili 150 dworów, zabijając ok. 2 tys. ludzi. I tak „20 lutego 1846 r. chłopi ze Smarzowej wymordowali 23 osoby, w tym pięć z rodziny dziedziców. Stanowisko administracji austriackiej wobec masakry było dwuznaczne; z jednej strony – starosta tarnowski podsycał wystąpienia chłopskie, a nawet rzekomo płacił za zabitych szlachciców, z drugiej – ziemia dworska nie została jednak podzielona pomiędzy chłopów, a pańszczyzna pozostawała nienaruszona. Po internowaniu przez Austriaków Szela użył zresztą swojego autorytetu do tego, aby skłonić chłopów do odrabiania pańszczyzny; Smarzowa też wróciła do niej jako pierwsza".

W napadzie na dwór w Siedliskach kosami zakłuto dwóch głównych wrogów Szeli – Nikodema i Wiktora Boguszów. Inne ofiary zatłuczono cepami na dziedzińcu. „Wszystko to odbywało się – komentuje Leszczyński – na oczach żon i dzieci zabitych, którym jednak Szela darował życie; zabito tylko czternastoletniego (a więc prawie dorosłego) syna jednego z Boguszów, rozpruwając mu brzuch". Ten „prawie dorosły" czternastolatek po prostu poraża, dla równowagi więc oddam głos Antoniemu Tessarczykowi, który w 1848 r. tak opowiadał o najściu na Siedliska, gdzie akurat szlachta miło się bawiła: „Gdy ta dzika tłuszcza nagle wpadła do sali tańców uzbrojona w kosy, pałki i okropne narzędzia męczeństwa, w cepy, całe oniemiało towarzystwo, a wiele dam wpadło w omdlenie. Szela podniósł swoją prawicę i groźnym głosem następujące do towarzystwa przemówił słowa: »Wasza godzina już wybiła, panowie, wszyscy śmierć poniesiecie […]«".

Adam Leszczyński ocenia, że „relacje świadków na temat temperamentu i usposobienia Szeli są skrajne; jedni widzieli w nim sadystę żądnego krwi i napawającego się cierpieniem, inni – »mistyka i sekciarza w siermiędze«". Po stłumionej rabacji Austriacy internowali go, a po dwóch latach osiedlili na Bukowinie, dając mu gospodarstwo. Tam też zmarł, ponoć do końca wnosząc rozmaite skargi do miejscowej administracji.

ZŁO TOLEROWANE

Baśniowa opowieść Radka Raka o Jakubie Szeli obfituje w całkiem realistyczne opisy galicyjskiej rzeczywistości z połowy XIX stulecia. I odpowiednie do niej

eprasa.pl a50b2fd290

Radek Rak za powieść „Baśń o wężowym sercu albo wtóre słowo o Jakóbie Szeli" zdobył nagrodę Nike 2020

FOT. JAKUB WŁODEK/AGENCJA GAZETA

komentarze: „Chłop jest chłop i iść musi, gdy pan każą. Może być bez ziemi, może być szabesgojem – i tak pozostaje własnością dziedzica, jak trzoda albo drzewko owocowe"; „Przy robocie chłop musi sobie pojeść i tylko jeden pan dziedzic uważali inaczej"; „Zawsze to lepiej robić u Żyda niż u pana, bo Żyd za robotę płaci, a przy niedzieli daje niekiedy antałek wódki. Przede wszystkim jednak Żyd nie bija. Pan bowiem dekretem Jego Miłości Kajzera z Wiednia może chamowi wymierzyć dwadzieścia i pięć kijów za dowolną przewinę, a babie i dziecku nie mniej, tyle że baby i dzieci należy bić nie kijem, lecz brzozową witką"; „Tylko taki język cham zna: kija, batoga, a czasem stryka. Cham po ludzku nie zrozumie, bo to bydlę, nie człowiek".

Żeby nie było wątpliwości i nikomu nie przyszło do głowy, że Żydzi ręka w rękę z sadystycznymi panami ciemiężyli chłopów, ich położenie oddają takie uwagi, np. pana Dominika Reya (z rodziny Mikołaja Reja, rzekomo twórcy literatury polskiej, też znanego antysemity): „Ledwie za próg wyjdziesz, już w nosie wierci czosnek i cebula. Żydówki to jeszcze rozumiem, niektóre urody są zacnej, ale po jaką chorobę potrzebni nam Żydzi, to nie pojmuję Niedzieli nawet nie uszanują, tylko w kółko by handlowali, na zgubę dusz chrześcijańskich". Wreszcie stanowczo brzmi konstatacja: „Żydy nie mają duszy".

Kobiety dusze raczej miały, ale los ich był niemal równie podły jak Żydów. Ze wsi uciekały do miast, a tam czekały je nędza, praca ponad siły lub prostytucja. Ta ostatnia, zdaniem znawców tematu, osiągała rozmiary gigantyczne, przy czym oficjalne statystyki nie oddawały skali zjawiska. Tak przynajmniej wynika z „Ludowej historii Polski" Adama Leszczyńskiego, w której doczytałem się, że „w latach 1894–1904 w Łodzi było średnio zaledwie 276 »tolerowanych« prostytutek – podczas gdy faktyczną liczę kobiet utrzymujących się z nierządu szacowano wówczas na 20–25 tys. (na 300 tys. ludności; w Warszawie nawet 50 tys. na 600 tys. mieszkańców na początku XX w.)". Ośmielam się zauważyć, że jeśli tak, to Warszawa z przełomu stuleci XIX i XX była monstrualnym burdelem, w którym prostytuowała się co szósta żyjąca w tym mieście kobieta. Jest to prawdziwe w tym samym stopniu, w jakim „Król" Szczepana Twardocha odzwierciedla życie w przedwojennej Warszawie. A autor cytowanej obłędnej

eprasa.pl a50b2fd290

statystyki powołuje się na materiał źródłowy, którym jest wiekopomna praca dr Jolanty Sikorskiej-Kuleszy „Zło tolerowane. Prostytucja w Królestwie Polskim w XIX wieku". Nauka polska, jak widać, wspomaga literaturę jak może.

A tej ostatniej wzorców nie brakuje. Do zobrazowania przedwojennej nędzy przydatne okazują się nawet felietonowe grepsy Antoniego Słonimskiego, traktowane ze śmiertelną powagą. Takie jak ten: „W dziedzinie wynalazków możemy poszczycić się przyrządem nieznanym dotąd w świecie. Wprowadziliśmy do dorobku ludzkości maszynkę służącą do rozdzielania zapałki na cztery części. Dzieci wiejskie, aby zdobyć zeszyt za pięć groszy, zbierają kasztany. Za trzydzieści kilo kasztanów, dostarczonych do miasteczka, pięć groszy […]". Stefan Niesiołowski dopowiedział, że dziatwa ta (i młodsza od niej także) odżywiała się szczawiem i mirabelkami.

WYŻYNY HEROIZMU

Do swojej powieści Radek Rak wśród postaci historycznych wprowadził m.in. Józefa Dietla wieszczącego, że jeśli Polacy nie pójdą czeską drogą i pod łaskawą cesarską władzą nie zadbają o swą pomyślność, „to wasz kraj zaczną tworzyć inni. Przyjdzie jakiś Pohl, Staff, Lesman czy Lehm, może spolszczy nazwisko, a może nie, i napisze wam Polskę, bo sami nie potraficie, boście dzieci krnąbrne i głupie. […] A jak wam już tę nową Polskę stworzą Niemcy, Czesi i Żydzi, to będziecie o nich uczyć dzieci w szkołach, że to byli wielcy Polacy".

Żarty żartami, ale w ramach redefiniowania polskości, a co za tym idzie – gruntownej wymiany naszych bohaterów – nie wątpię, że Jakub Szela znajdzie się w nowym panteonie obok – absolutnie koniecznego – hochsztaplera wprawdzie, ale natchnionego mistyka – Jakuba Franka z „Ksiąg Jakubowych" Olgi Tokarczuk. Wcześniej, o czym przypomnę, tego nazywanego reformatorem religijnym Żyda, który w połowie XVIII w. nakłonił wielu swoich współplemieńców do przyjęcia chrztu, usiłował wypromować Andrzej Żuławski w niedocenionej „Moliwdzie".

Obecność Szeli w panteonie narodowym oznacza równoległe usunięcie „Wesela" z kanonu literatury polskiej. W tym dramacie Wyspiańskiego ociekający krwią chłop ze Smarzowej występuje bowiem jako Upiór. Na listę szkolnych lektur zamiast „Wesela" wpisze się „Słowo o Jakubie Szeli" Brunona Jasieńskiego, co uraduje lewaków wszelkiej maści, bo autor był, za jednym zamachem, Żydem, Polakiem i Sowietem, futurystą i komunistą, międzynarodowym awanturnikiem, Kominternowską szychą i ofiarą stalinowskiego terroru. I uczniacy, a zwłaszcza uczennice, zastanawiać się będą nad strofami takimi jak ta:

Przywiózł Szela wódki z miasta,
roków miałaś już piętnasta.
Radził wujek, radził ksiądz:
nie idź za mąż, jeszcześ brzdąc.

I wkuwać będą prorocze zdanie z przedmowy do „Słowa…" wydanego w roku 1926: „Gdyby Szela istniejący nie był bohaterem, to i wówczas, w imię męczeńskiej epopei krzywdy chłopskiej, należałoby go dźwignąć na wyżyny heroizmu".

Tak też się dzieje; w następnej kolejności – proponowałbym, co kładę na serce literatom – odkurzenie postaci Aleksandra Kostki-Napierskiego, przywódcy buntu na Podkarpaciu z połowy XVII w. Uhonorowano go pięknie w 1951 r., w czasie rozkwitającego stalinizmu, w 300. rocznicę „powstania mas ludowych przeciw obszarnikom", kiedy rzewne stronice prozy poświęciła mu nawet sama Wanda Wasilewska („Królewski syn"). Upłynęło już jednak sporo lat i nadeszła pora, by przypomnieć żywot człowieka, który przez krótką chwilę był panem na zamku w Czorsztynie, „powstanie" szybko jednak stłumiono, a samego Kostkę-Napierskiego wbito na pal. Jako męczennik do zrewitalizowanego narodowego panteonu nadaje się w sam raz. A w ogóle śmiało trzeba sięgać do prawdziwych skarbnic wiedzy, którymi są PRL-owskie podręczniki historii i literatury, a także powstałe w tamtym okresie poematy i powieści. Gdzieśmy zagubili Hankę Sawicką i Janka Krasickiego? Dlaczego w szkołach nie omawia się takich utworów dla młodzieży jak „Gdy inni dziećmi są" Janiny Dziarnowskiej, piętnującej czarne lata sanacji, chyba nawet bardziej ponure niż te, w których przyszło nam cierpieć pod faszystowskimi rządami Kaczyńskiego i jego wspólników? Zatem, pisarze do piór!

TRUP UKRYTY W SZAFIE

W pisaniu „Ksiąg Jakubowych" Olgę Tokarczuk najbardziej pociągało – jak mówiła – „zetknięcie dwóch obcych sobie kultur i nieudana próba negocjowania własnego miejsca pomiędzy nimi. Zwłaszcza że teraźniejszość zaczęła tworzyć nowy kontekst dla tej historii i znowu pojawiły się pytania o obcość, asymilację i ksenofobię w kontekście uchodźców. W jakimś sensie to bardzo współczesna opowieść. Miałam też poczucie, że wokół niej nagromadziło się przez lata wiele tajemnic i niedomówień, że historia ta jest jak trup ukryty w szafie, o którym najpierw nie mówiono, a dzisiaj o jego obecności już zapomniano. Żadna ze stron uczestniczących w tej historii nie chciała do niej wracać. Pisząc powieść, przeczuwałam, że przywracam zbiorowej pamięci ważną kartę w polsko-żydowskiej historii".

Bardzo być może, ale to jest tak samo jak z tradycją judeochrześcijańską, o której ględzi się na okrągło, ale jak palcem się poskrobie, to wychodzi na to, że „pełno nas, a jakoby nikogo nie było". Stworzenie polsko-żydowskiej historii to pewnie cel sam w sobie szlachetny, sęk w tym jednak, że niewykonalny. I nic tu nie da dorabianie Szeli żydowskich kochanek, co Radek Rak czyni z uporem godnym lepszej sprawy.

Podobnie utyskiwanie na poziom dzisiejszej literatury polskiej jest zajęciem raczej jałowym. Jej upolitycznienie niewątpliwie przybiera na sile, w związku z czym uprawniona wydaje mi się taka przeróbka znanego tekstu Michała Zabłockiego wykonywanego przez Grzegorza Turnaua:

Na ulicach drą ryja
Na chodnikach zadyma
Ni ma Sienkiewicza
I Lechonia ni ma
Samozwańców przybywa
Dla Tokarczuk Nobel
Zapomniany Herbert
Przewraca się w grobie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a50b2fd290

Piotr Dariusz Urban

Przepis na rewolucję

W kontekście protestów, które przetoczyły się niedawno przez ulice polskich miast, można uznać opowiadanie polskiej noblistki za realizujący się na naszych oczach scenariusz rewolty społecznej, o jakiej marzy od dawna lewa strona sceny politycznej

W jednej ze swych licznych wypowiedzi na temat roli poety i poezji Zbigniew Herbert wyraża przekonanie, że historia nie zna ani jednego przykładu, aby sztuka czy artysta kiedykolwiek czy gdziekolwiek zdołali wywrzeć bezpośredni wpływ na losy świata. Według autora „Raportu z oblężonego Miasta" niewielu jest takich poetów, pisarzy czy dramaturgów, którzy gotowi byliby bronić zarozumiałej tezy o dziele literackim, które przekształca świat i dokonuje nagłych przewrotów w świadomości społecznej. Nie znaczy to jednak, że koncepcja literatury zaangażowanej obca jest twórcom w ogóle, a dzieła podejmujące aktualne tematy i reprezentujące określone wobec nich stanowisko artysty nie istnieją. Przemawia za tym dobitnie nie tylko literatura polskiego oświecania czy pozytywizmu, lecz także niechętnie dziś wspominana spuścizna tych twórców, którzy w latach 50. XX w. nawoływali w swych utworach do przebudowy Polski w duchu idei realnego socjalizmu.

Do literatury zaangażowanej zaliczyć można niewątpliwie również twórczość Olgi Tokarczuk, o czym świadczy choćby opowiadanie „Kalendarz ludzkich świąt" (jedno z tzw. opowiadań bizarnych), stanowiące gotowy scenariusz rewolucji społecznej, o której dokonaniu od dawna marzą w Polsce środowiska libertyńsko-lewackie.

Z fabuły tego dziwnego („bizarre" z języka francuskiego znaczy dokładnie tyle) opowiadania z tezą dowiadujemy się, że po ekologicznej katastrofie, która nawiedziła Ziemię, i kolejnej wojnie światowej wybawienie przyszło z zaświatów pod postacią Monodikosa – swego rodzaju

FOT. ALEKSANDRA SZMIGIEL/REPORTER

eprasa.pl a50b2fd290

boga-człowieka. Aby ocalić świat od zagłady, Monodikos, w którego żyłach płynie uzdrawiająca krew, dał się pojmać ludziom i zabić. Trzeciego dnia po śmierci ożył jednak w cudowny sposób, a doprowadzony przez rekonów, czyli kapłanów-fizjoterapeutów, do względnie stabilnego stanu, pozwolił obwieźć się ulicami miasta, w którym toczy się fabuła opowiadania, by pobłogosławić wiwatujące na jego cześć tłumy. Po to, by zło na nowo nie opanowało naszej planety i niejako na pamiątkę dokonanego przezeń wybawienia ludzi, tę nadziemską istotę poddaje się teraz co roku rytuałowi pojmania i ukamienowania. Za każdym też razem, dokładnie w 44 godziny po śmierci, Monodikos, zwany również Niosącym w Przyszłość, „powstaje z martwych" i ulega przeistoczeniu, „wracając powoli do świata" z większym lub mniejszym uszczerbkiem na zdrowiu.

Zgodnie z „cyklem wegetatywnym" tej niebiańskiej istoty i dopasowanym do niego rytuałem kapłani ułożyli kalendarz liturgiczny, któremu podporządkowali bieg ludzkich spraw. Tym samym przejęli też władzę nad światem i ludźmi, czemu wyraźnie przeciwstawiają się Filipa – teraz zagorzała feministka, wcześniej ofiara agresywnych zachowań swego męża – oraz jej kochanka Oresta – córka Ilona – osobistego masażysty Monodikosa. W celu obalenia istniejącego porządku społeczno-prawnego i etyczno-moralnego obydwie kobiety organizują spisek, do którego wciągają strażników pilnujących sparaliżowanego boga-człowieka i wykradają go z kliniki-pałacu z zamiarem całkowitego unicestwienia.

RELIGIA NA CELOWNIKU

Jakkolwiek opowiadaniu Tokarczuk daleko do tak doskonałych paraboli jak „Legenda żeglarska" Henryka Sienkiewicza czy „Folwark zwierzęcy" George'a Orwella, to jednak nie sposób nie dostrzec aluzyjnego charakteru omawianego tekstu. Pierwowzorem Monodikosa jest Jezus Chrystus, obchodzony w okolicach przesilenia zimowego Wielki Dzień winien kojarzyć się z Niedzielą Zmartwychwstania, wiosenne Święto Okazania – z Bożym Ciałem, zaś Dzień Powagi, Przejścia i Ciszy – z Triduum Paschalnym. Na marginesie należy powiedzieć, że zmiana kolejności celebrowania wzorowanych na katolickich tradycjach świąt przez mieszkańców tej antyutopii w stosunku do kalendarza liturgicznego chrześcijan nie jest przypadkowa. Dokonując prefiguracji, Tokarczuk zadbała o to, by opowiadaniu jej nie przypięto łatki paszkwilu, a jej samej nie posądzono o bluźnierstwo. W tym samym celu kreując Monodikosa, autorka „Ksiąg Jakubowych" nie zezwoliła na ukrzyżowanie Niosącego w Przyszłość, a jedynie na jego ukamienowanie. Rozmyciu jednoznacznych skojarzeń służyć miało również pokazanie tej nadziemskiej istoty jako boga-człowieka o „falującej", czytaj: zmieniającej się ku uciesze feministek co kilkadziesiąt lat płci.

Z kolei upodobnienie pod względem wyglądu i zachowania Monodikosa sprzed porwania do schorowanego Jana Pawła II, jakiego pamiętamy z przekazów telewizyjnych docierających do nas na kilka dni przed śmiercią papieża, miało na celu ukazanie religii chrześcijańskiej jako apoteozy cierpienia, na które nie godzą się ludzie o „postępowych poglądach".

To właśnie religia jest przedmiotem ataku Tokarczuk. Autorka powieści „Prowadź swój pług przez kości umarłych" doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że podważenie zasad i prawd religijnych jest równoznaczne z obaleniem zbudowanego na ich kanwie porządku społeczno-prawnego i etyczno-moralnego oraz daje możliwość kreacji odmiennej od istniejącej dotąd rzeczywistości, i do tego namawia swym opowiadaniem. Z tego to właśnie powodu, choć pod pozorem zaprzestania wojen toczonych na peryferiach, równości dla kobiet i zatrzymania katastrofy ekologicznej, Filipa i zakochana w niej Oresta, której ulubioną lekturą jest książka „Świat do zmiany, czyli filozofia łagodnej rewolucji", decydują się wykraść ciało Monodikosa.

UDERZENIE W POLSKOŚĆ

Trzeba jednak pamiętać, że tu nie chodzi o atak na każdą religię. Tutaj nawet nie chodzi o atak na chrześcijaństwo – tu chodzi o katolicyzm, będący dla Tokarczuk synonimem polskości, która zdaniem środowisk libertyńsko-lewackich „blokuje postęp", ponieważ przeciwstawia się aborcji na życzenie, legalizacji małżeństw tej samej płci, ideologii gender i z tego powodu kreowana jest na ciemnogród lub intelektualny zaścianek o homo- i ksenofobicznych poglądach.

Czytając „Kalendarz ludzkich świąt", można dojść co najmniej do kilku wniosków i postawić jedno pytanie. W kontekście protestów, które przetoczyły się niedawno przez ulice polskich miast, można uznać opowiadanie Tokarczuk za realizujący się na naszych oczach scenariusz rewolty społecznej, o jakiej marzy od dawna lewa strona sceny politycznej. Jeśli ma się – jak powiedziałby Herbert – „odrobinę smaku / w którym są włókna duszy i chrząstki sumienia", to można jedynie powtórzyć za Gałkiewiczem – bohaterem „Ferdydurke" Gombrowicza – że opowiadanie to „ani nie przewierca, ani nie zachwyca". Jeżeli posiada się odwagę i gotowym jest się niczym Monodikos wystawić na ukamienowanie przez czytelników i widzów mainstreamowych mediów oraz bardziej lub mniej uczone

Katolicyzm dla Tokarczuk jest synonimem polskości, która zdaniem środowisk libertyńsko-lewackich blokuje postęp

głowy, które po przyznaniu Tokarczuk Nagrody Nobla w dziedzinie literatury przez Szwedzką Akademię „biją pianę" nad jej twórczością, można zaryzykować stwierdzenie, że autorka opowiadania nie odrobiła zadania domowego z historii najnowszej Europy i świata, gdyż namawiając swym tekstem do przeprowadzenia „łagodnej rewolucji", nie wzięła pod uwagę konsekwencji wcześniejszego eksperymentu socjologicznego, który zapoczątkowany w Rosji w 1917 r. spowodował śmierć blisko 150 mln niewinnych ludzi na całym świecie. Natomiast jeśli czuje się chociaż odrobinę odpowiedzialności za to „całe duchowe dziedzictwo, któremu na imię Polska", to wypada zapytać słowami papieża Polaka, wypowiedzianymi w Krakowie 10 czerwca 1979 r.: „Jaki argument rozumu, jaką wartość woli i serca można przedłożyć sobie samemu i bliźnim, i rodakom, i narodowi, ażeby odrzucić, ażeby powiedzieć: »nie« temu, czym wszyscy żyliśmy przez tysiąc lat?! Temu, co stworzyło podstawę naszej tożsamości i zawsze ją stanowiło?".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest filologiem i literaturoznawcą.

eprasa.pl a50b2fd290

Co zachwiało władzą?

Kamila Baranowska

O ile jesienne protesty były dla obozu władzy poważnym problemem, o tyle tymi ostatnimi PiS się specjalnie nie przejął. Czy rzeczywiście partia rządząca nie ma się czym martwić?

Protesty, które wybuchły po publikacji orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego, nie były dla nikogo w PiS zaskoczeniem. W przeciwieństwie do tych jesiennych, które rozlały się po polskich miastach po ogłoszeniu wyroku, a których skala zaskoczyła rządzących. Owszem, spodziewali się wówczas jakichś protestów, ale z racji choćby trwającej pandemii nie tak masowych. Kiedy okazało się, jak bardzo się przeliczyli, rozpoczęła się próba minimalizowania strat. Jednym z jej elementów było odłożenie publikacji wyroku w czasie, co pomogło ostudzić emocje i pozwoliło wybrzmieć najbardziej radykalnym hasłom i postulatom liderek Strajku Kobiet, które nie marnowały czasu i chętnie udzielały wywiadów.

Kiedy 27 stycznia Trybunał opublikował uzasadnienie wyroku, usuwającego przesłankę eugeniczną, część protestujących kobiet znów wyszła na ulice. Nie da się jednak porównać emocji, które towarzyszyły tamtym protestom, i tym, które obserwujemy dzisiaj. Liderkom strajku nie udało się również po raz drugi zmobilizować tak dużej rzeszy protestujących kobiet. Wśród przyczyn pewnie była radykalizacja formy protestu, jego haseł i żądań, ale także skierowanie agresji w kierunku kościołów. Widząc, jak strajk się wypala i jak niszczą go swoim radykalizmem same jego liderki, politycy PiS odetchnęli z ulgą, licząc na to, że straty polityczne będą niższe, niż początkowo przewidywali. Lekkim optymizmem napawały także sondaże, które pokazywały, że z miesiąca na miesiąc PiS odrabia październikowe straty. Teraz jednak średnia sondaży ze stycznia pokazała wyhamowanie tego procesu. Co pokazuje, że skutki polityczne wyroku Trybunału i jego publikacji mogą być odłożone w czasie i nie będą łatwe do odrobienia. Zwłaszcza że sprawa aborcji nakłada się na zmęczenie Polaków trwającą pandemią i związanymi z nią obostrzeniami. Wojna ideologiczna plus niezadowolenie społeczne to dla rządzących zabójcze połączenie.

PROBLEM W SŁUPKACH

Dobrze pokazują to także badania CBOS dotyczące ogólnej oceny sytuacji politycznej w Polsce. Jej postrzeganie zdecydowanie pogorszyło się właśnie w ostatniej dekadzie października, w okresie dużego wzrostu zachorowań na COVID-19 oraz po ogłoszeniu wyroku Trybunału Konstytucyjnego. I choć w listopadzie i grudniu była niewielka poprawa, to cały rok 2020 zakończył się ze znacznie gorszymi ocenami sytuacji politycznej, niż się rozpoczął. A to przekłada się na poparcie dla tych, którzy rządzą.

– Słupki sondażowe pokazują, że PiS nie odbudował pozycji z września czy października ubiegłego roku. W grudniu był wzrost, lekkie odbicie, ale w styczniu ono stanęło w miejscu. Jeśli w ciągu najbliższych trzech–czterech miesięcy PiS nie wróci do poziomu poparcia 40 proc. i więcej, to będzie oznaczało, że przy takim poparciu nie ma co myśleć o samodzielnej

eprasa.pl a50b2fd290

FOT. WOJTEK STRÓŻYK/REPORTER

większości w wyborach w 2023 r. – prognozuje w rozmowie z „Do Rzeczy" Marcin Palade, socjolog polityki, analityk preferencji społeczno-politycznych. I dodaje: – Nie procenty są tu ważne, lecz liczba mandatów. Przy poparciu 38–39 proc. istnieje jeszcze pewna szansa, że przy odrobinie szczęścia uda się zdobyć 231 mandatów, czyli samodzielną większość. Od listopada nie było sondażu, w którym PiS ocierałby się o wynik 220–221 mandatów.

Nie wiadomo, czy to się prędko zmieni. W ciekawym badaniu CBOS podsumowującym rok 2020 i jego najważniejsze wydarzenia Strajk Kobiet uplasował się na trzecim miejscu, za pandemią oraz wyborami prezydenckimi. To oznacza, że dla wielu wyborców było to jedno z najważniejszych wydarzeń minionego roku. Trudno oczekiwać, by o nim szybko zapomnieli.

W PiS dominuje jednak przekonanie, że ta sprawa długofalowo nie wpłynie na preferencje partyjne, że z perspektywy wyborów w 2023 r. ważniejsze będzie to, jak oceniona zostanie skuteczność walki z pandemią i to, co PiS zaproponuje po niej niż sprawy światopoglądowe. Popularne jest twierdzenie, że w przypływie emocji związanych ze Strajkiem Kobiet niektórzy wyborcy mogli chwilowo cofnąć swoje poparcie, ale później do PiS powrócą. Politycy, z którymi rozmawiamy, zwracają uwagę, że ci, którzy w sondażach od PiS się oddalają, nie odchodzą do innej partii, lecz zasilają szeregi niezdecydowanych. – Jest to do odrobienia, choć nie będzie łatwo, bo za dużo mamy frontów, problemów – narzeka nasz rozmówca z rządu.

Marcin Palade mówi, że fakt, iż wyborcy umiarkowani wracali do PiS po rozmaitych zawirowaniach politycznych, nie oznacza, że będą wracać zawsze. Sytuacja i okoliczności się zmieniają. – Tak jak Platforma Obywatelska diagnozowała sytuację w latach 2013–2015 na podstawie oglądu sytuacji z roku 2007, gdy wygrywała z PiS, tak dzisiaj PiS ocenia rzeczywistość przez pryzmat lat 2015–2016 i tego, co wówczas było dla ludzi ważne – ocenia.

WŁADZA W PANDEMII

Nie jest tajemnicą, że premier Mateusz Morawiecki i jego otoczenie, w przeciwieństwie do części polityków PiS i Solidarnej Polski, nie byli zachwyceni tym, że Trybunał w ogóle zajął się tematem aborcji, a już zwłaszcza tym, że zrobił to akurat w momencie, gdy trzeba walczyć z pandemią. Dlatego premier ogłosił, że dopóki nie będzie uzasadnienia wyroku, dopóty nie będzie też jego publikacji, a co za tym idzie – nie wejdzie on w życie.

Ludwik Dorn, były polityk PiS, zastanawiając się na łamach „Gazety Wyborczej", dlaczego wyrok TK opublikowano właśnie teraz, stwierdził: „Bo teraz był najmniej zły czas na to". Dorn tłumaczy to m.in. chęcią oddzielenia w czasie protestów proaborcyjnych i ewentualnych rozliczeń rządu za zarządzanie pandemią, do czego jego zdaniem dojdzie po zluzowaniu obostrzeń, czyli wiosną. Dodatkowym bonusem jest to, że partie opozycyjne rzucą się sobie do gardeł i zajmą licytacją, kto jest za aborcją, a kto przeciw niej, co utrudni im współpracę.

I tak się dzieje. Lewica chce całkowitej liberalizacji prawa i złożyła już projekt ustawy w tej sprawie, PSL proponuje powrót do kompromisu z 1993 r. i referendum, a Koalicja Obywatelska nie może się zdecydować. Jest jeszcze Szymon Hołownia, który choć zawsze był przeciwnikiem aborcji, teraz popiera protestujących. W przypadku Zjednoczonej Prawicy sytuacja jest niejednoznaczna. Z jednej strony mamy publiczne deklaracje posłów Porozumienia, takich jak Iwona Michałek czy Andrzej Sośnierz, że żałują, iż podpisali się pod wnioskiem do Trybunału, z drugiej jakiekolwiek ustępstwo w tej sprawie (choćby powrót do pomysłów zawartych w projekcie prezydenta) zostałoby odczytane jako kapitulacja.

– Analizujemy uzasadnienie wraz z wyrokiem TK. W niedługim czasie będziemy komunikować o działaniach. Kilka tygodni. To dosyć spory dokument, trzeba to dokładnie przeanalizować. Sprawa jest dosyć delikatna – mówił w Radiu Zet poseł Krzysztof Sobolewski, przewodniczący Komitetu Wykonawczego PiS. – Wyrok nie zakazuje w Polsce aborcji. Pozostały dwie przesłanki, w tym głównie zagrożenie życia i zdrowia kobiety. W uzasadnieniu są przesłanki, że wady letalne też mogą stanowić zagrożenie dla zdrowia i życia kobiety – dodał.

To znaczące słowa, bo coraz częściej z ust polityków PiS można usłyszeć, że w uzasadnieniu Trybunał Konstytucyjny pozostawił pewną furtkę, umożliwiającą przeprowadzenie zabiegu w przypadku zagrożenia zdrowia kobiety, z uwzględnieniem zdrowia psychicznego. Ile w tym prawdy? Czy rzeczywiście po wyeliminowaniu przesłanki eugenicznej możemy się spodziewać większej liczby aborcji ze względu na psychiczny stan matki? „Dziennik Gazeta Prawna" przeprowadził sondę wśród lekarzy ginekologów. Większość z nich odpowiedziała, że nie zamierza szukać żadnej furtki w wyroku Trybunału, bo to zbyt duże ryzyko w obecnej sytuacji prawnej. Kara za pomoc w przerywaniu ciąży to nawet trzy lata więzienia.

W podobnym tonie wypowiadają się także prawnicy, którzy analizowali wyrok TK. – Przepis, o którym mowa, istnieje od połowy lat 90. i dla wszystkich jego interpretacja była jasna. Nie ma żadnych przesłanek, by teraz miało się to zmienić – tłumaczy dr Tymoteusz Zych z Instytutu Ordo Iuris. – Ten wyrok nie tworzy nowego stanu prawnego w tym zakresie – dodaje. Instytut Ordo Iuris przekazał do dyrekcji placówek medycznych memorandum, mające na celu rozwianie wątpliwości interpretacyjnych w tej sprawie. Możemy w nim przeczytać, że przesłanka umożliwiająca dokonanie aborcji ze względu na stan zdrowia kobiety dotyczy „sytuacji stwarzających poważne niebezpieczeństwo utraty przez kobietę życia lub zdrowia. Nie obejmuje natomiast przypadków pogorszenia zdrowia psychicznego matki".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a50b2fd290

Piotr Semka

Socjolog na wojennej ścieżce

Maciej Gdula przybiera pozę politycznego zagończyka. Ostatnio jeszcze bardziej szokuje agresywnymi i wyzywającymi wypowiedziami. Co się stało z socjologiem badającym niegdyś życie polskich miasteczek?

Maciej Gdula na jednej z demonstracji Strajku Kobiet FOT. LIDIA NIZIOŁ/ARTSERVICE/FORUM

Maciej Gdula, poseł Lewicy, właśnie fetuje drugą rocznicę powstania partii Wiosna. Chociaż ugrupowanie, które współtworzył z Robertem Biedroniem, samo nie odniosło większych sukcesów, a w końcu roztopiło się w Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Gdula długo był uważany za spokojną, ekspercką twarz nowej lewicy. Oszczędny w słowach, opanowany w reakcjach, nawet na prawicy uważany był za „lewaka, z którym można dyskutować".

Od dłuższego czasu Maciej Gdula przybiera jednak pozę politycznego zagończyka.

GAZ DO DECHY

17 stycznia 2021 r. O rocznicy zajęcia spalonej Warszawy przez Armię Czerwoną pamięta w stolicy już niewiele osób, ale jest wśród nich właśnie Maciej Gdula. „76 lat temu wojsko polskie i radzieckie wyzwoliło Warszawę, doszczętnie zniszczone miasto dwóch powstań. Już kilka tygodni później rozpoczęło pracę Biuro Odbudowy Stolicy. Wypędzenie okupantów i odbudowa to było podwójne zwycięstwo nad nazizmem". Tweet wywołuje wzburzenie po prawej stronie. Publicysta Jerzy Jachowicz pisze: „Rodzinna tradycja kontynuowana. Poseł Gdula idzie śladami swego ojca, szefa zespołu doradców prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego".

24 stycznia 2021 r. Telewizyjny program „Strefa starcia". Wśród gości audycji jest Maciej Gdula. Gdy dyskusja schodzi na temat Polaka, któremu w Plymouth grozi odcięcie od dokarmiania i podawania płynów, w studiu wybucha ostra dyskusja, czy karmienie w stanie terminalnym jest czymś naturalnym. Gdula oskarża prawicę o „tortury wobec ludzi w śpiączce". Pytany, dlaczego popiera odłączenie Polaka od pożywienia, mówi: „Jeżeli to jest sytuacja naturalna [dla chorego – przyp. P.S.], to postawmy jedzenie obok jego łóżka i zobaczmy, czy będzie on w stanie zjeść". Wypowiedź wywołuje oburzenie, zyskuje rozgłos w mediach.

26 stycznia 2021 r. Gdula w czasie wizyty w Radiu RMF FM zderza się z pytaniem Roberta Mazurka na temat akcji SB „Hiacynt", która polegała na tworzeniu list czynnych homoseksualistów. Pytany, czy rozmawiał ze swoim ojcem Andrzejem Gdulą (wiceszefem MSW za rządów Czesława Kiszczaka) o tej akcji, odpowiada: „Rozmawiałem, tak". Dociskany dodaje, że ojciec niewiele o tym wiedział, bo zajmował się wtedy innymi sprawami. Bagatelizuje całą sprawę, mówiąc, że ojciec w tym czasie odszedł z MSW. Na to Robert Mazurek uściśla, że Gdula senior przeszedł wtedy do sekretariatu KC PZPR i był jednym z doradców gen. Wojciecha Jaruzelskiego. Gdula niechętnie przyznaje, że tak właśnie było.

27 stycznia 2021 r. Trybunał Konstytucyjny publikuje uzasadnienie wyroku w sprawie aborcji, a po nim werdykt zostaje ogłoszony w Dzienniku Ustaw. Gdula tweetuje: „Chcą torturować, ale ich czas u władzy jest policzony. Wspierajmy się!".

Tego samego dnia wieczorem podąża wraz z uczestniczkami demonstracji Strajku Kobiet pod dom lidera PiS. Z marszu tweetuje: „Publikując ten wyrok, Kaczyński zamienia Polskę w komnatę tortur. Będziesz przeklęty, Prezesie!".

29 stycznia 2021 r. Kolejny raz tweetuje z demonstracji Marty Lempart: „Byliśmy, jesteśmy, będziemy, a PiS i to nieludzkie prawo trafią na śmietnik historii tam, gdzie jest ich miejsce". Kolejny wpis brzmi: „Prezesie, idziemy! Chcemy ci powiedzieć, jak niszczysz ludziom życie". I wreszcie trzeci apel: „Śmierć jest mistrzem z Żoliborza".

UJMUJĄCY UŚMIECH

Maciej Gdula uzyskał od losu coś, co nazywane jest łaską późnego urodzenia. Przyszedł na świat w 1977 r., to umożliwiało mu bardzo wyraźne dystansowanie się od dziedzictwa PRL. Gdy ogłoszono stan wojenny, miał cztery lata, gdy rozwiązano PZPR, miał lat 13. Dwadzieścia lat skończył w 1997 r., a w 2001 r. został absolwentem Wydziału Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Został asystentem i zaczął robić ciekawą karierę naukową. Trafił na okres największego rozkwitu „Krytyki Politycznej", która chętnie uczyniła go jedną ze swoich twarzy. Młody wiek chronił go przed zbyt jednoznacznymi powiązaniami z jego ojcem Andrzejem Gdulą, który był wzorem aparatczyka partyjnego epoki Jaruzelskiego, a jednocześnie w latach 1996–2005 doradzał prezydentowi Kwaśniewskiemu. Z racji swego umiarkowania nawet prawica uważała za coś mało stosownego wypominanie mu ojca.

W 2006 r. otrzymał doktorat i działał w lewicowym Stowarzyszeniu im. Stanisława Brzozowskiego. Głośno zrobiło się o nim w 2018 r., gdy opublikował swój „Raport o Miastku". Nie był on poświęcony

eprasa.pl a50b2fd290

miejscowości o tej nazwie na zachodnim Pomorzu, ale miasteczku na Mazowszu, w którym wiele osób rozpoznawało Białobrzegi koło Radomia. Opracowanie wzbudziło zainteresowanie, bo wymykało się standardom opinii po lewej i po prawej stronie. Z jednej strony Gdula odrzucał częstą wówczas w kręgach opozycji opinię, że poparcie wyborców dla PiS jest wynikiem kupienia ich za „500+". Gdula wskazywał, że ich poparcie dla rządzącej partii wynikało z chęci porządkowania świata i uznania wartości silnej władzy, którą Gdula nazwał neoautorytaryzmem. Z drugiej strony Gdula na podstawie swoich badań postawił tezę, że małe miasteczka nie są naturalnym rezerwuarem głosów prawicy, ale wbrew powszechnym opiniom tamtejszy elektorat jest skłonny poprzeć hasła antyklerykalne lub np. otwarcie państwa na osoby w związkach homoseksualnych.

Jeden z działaczy lewicy, który woli zachować anonimowość, opowiada: „Gdy Gdula ogłosił swój raport, był jeszcze niezdecydowany, w którą stronę iść. Około 2013 r. miał bardzo dobre kontakty ze środowiskiem ruchów miejskich i zwolennikami »demokracji sąsiedzkiej«, takimi jak Jan Śpiewak czy Jan Mencwel". Mało kto pamięta, że w 2013 r. Gdula poparł referendum mające zadecydować o odwołaniu Hanny Gronkiewicz-Waltz, ówczesnej prezydent Warszawy oskarżanej o tolerowanie układu korupcyjnego w mieście. Jak się zdaje, Gdula jednak z czasem rozczarował się lewicą spod znaku Śpiewaka i Mencwela. Swoje ambicje na wejście do polityki przekierował na Roberta Biedronia. Tym bardziej że raport Gduli zrobił duże wrażenie na Biedroniu, który szykował się do stworzenia swojego własnego ruchu politycznego. Ponieważ Biedroń kokietował wówczas wszystkich swoją karierą burmistrza Słupska, tezy o istnieniu elektoratu małomiasteczkowego, ale otwartego na hasła zmian obyczajowych, niezwykle go zainteresowały. Dlatego gdy w lutym 2019 r. inauguruje istnienie partii Wiosna, Gdula zostaje przedstawiony jako jeden z dość wąskiej grupy jego doradców. „Wszyscy byli przekonani, że Gdula junior bez najmniejszych problemów dostanie się do europarlamentu. Wiosna wydawała się wówczas czymś świeżym i przebojowym. Było dla nas ogromnym zdziwieniem, że Biedroń w ciągu paru miesięcy roztrwonił cały ten kapitał. Nawet życzliwa zwykle nowym inicjatywom lewicy »Polityka« pisała o kompromitacji, totalnej klęsce".

Maciej Gdula mimo porażki nie zniechęcił się. Dość słusznie uznał, że służy mu kalendarz wyborczy. Owszem, startując w Krakowie, przegrał wybory do europarlamentu w maju, ale już w październiku były wybory do Sejmu. Był tylko jeden problem. Trzeba było startować z SLD, który łaskawie wziął na swoje listy rozbitków z Wiosny. – Byłem wtedy bardzo naiwny i martwiłem się, jak Maciek odnajdzie się wśród starych czerwonych repów w rodzaju Włodzimierza Czarzastego – mówi jedna z osób życzliwych Gduli, działająca w warszawskich ruchach miejskich. – Zauważałem, że mimo pozorów Maciek bardzo szybko doszlusował do poglądów swego ojca. Tylko my dość naiwnie chcieliśmy widzieć w nim kogoś, kto będzie budował nową lewicę dla zrehabilitowania idei postępowej, której nadużywał jego ojciec.

Ci, którzy kojarzyli Gdulę z wyciszonym, niewdającym się w awantury socjologiem, musieli nieco zmienić zdanie po tym, jak 2 lutego 2020 r. doszło do scysji w studiu Polskiego Radia w trakcie prowadzonej przez Katarzynę Gójską cotygodniowej audycji „7 x 24" z udziałem polityków różnych opcji. W pewnej chwili Gdula zaproponował, by Unia Europejska karała za łamanie zasad praworządności polityków PiS, a nie Polskę jako kraj. Zaproponował, by eurodeputowani PiS byli wykluczeni z frakcji parlamentu lub poddani karom finansowym. Mówił: „Jeżeli jest ktoś, kto narusza reguły, podkłada ładunki wybuchowe pod fundamenty [UE – przyp. P.S.], to nie może być tak, że cierpi cały kraj".

Dziennikarka przerwała mu, wyrażając sprzeciw wobec używania takich określeń. Wtedy zirytowany Gdula zagroził wyjściem ze studia. Gójska ripostowała, że nie będzie jej straszył, a wtedy poseł wstał od stołu.

Ten bardzo emocjonalny występ kontrastował z zachowaniem Gduli na sejmowych komisjach. Uczestnicząca w posiedzeniach komisji Joanna Lichocka z PiS oświadczyła, że poseł z Krakowa zachowuje się zazwyczaj bardzo spokojnie. Jak mówi: „Na tle Joanny Senyszyn, która zachowuje się jak stalinistka, Gdula wypowiada się jak zrównoważony Europejczyk. Jest bardzo uprzejmy, miły i układny. Platformersi biją go na głowę w dziedzinie agresji i awanturnictwa". Tę zagadkę próbuje rozwikłać Rafał Woś, publicysta lewicowy. Jak mówi: „Maciej Gdula zdecydował się być politykiem i zachowuje się politycznie, a nie analitycznie. Jak się powiedziało »A«, to trzeba powiedzieć »B«. Kiedyś myślałem, że będzie reprezentował ten nurt lewicy, który reprezentuje troskę o biednych i wykluczonych. Ale w dzisiejszej Polsce o wiele łatwiej skoczyć na falę konfliktu ideologicznego".

NA FALI

Gdula skupia się obecnie na dwóch głównych wektorach, które są ze sobą powiązane. Pierwszy to bardzo aktywne wsparcie dla Strajku Kobiet. Należy do tych posłów lewicy, którzy bezwarunkowo udzielają kredytu zaufania przywództwu Marty Lempart. 29 stycznia pisał na Twitterze: „Czytam i słucham, że Marta Lempart coś zrobiła lub powiedziała nie tak. Najwięcej uwag mają mężczyźni nijak niekojarzeni z ruchami społecznymi. Szczerze? Jak wam nie pasuje, to postarajcie się zrobić lepiej. Miejsca na ulicy jest sporo".

Bezwarunkowe poparcie dla Lempart jest dlatego godne uwagi, że ocierająca się o wulgarność aktywistka z Wrocławia coraz częściej postrzegana jest przez polityków PO lub nawet lewicy jako kula u nogi. Stosunkowo słaby zasięg demonstracji po ogłoszeniu werdyktu TK wiązany jest właśnie z odstraszającym stylem Lempart. Natomiast Gdula wyraźnie przyjął politykę bronienia szefowej Ogólnopolskiego Strajku Kobiet do upadłego. Ostro sprzeciwia się referendum w sprawie aborcji. Żąda wprowadzenia aborcji na żądanie drogą decyzji politycznej.

Drugi wątek ostatniej działalności Macieja Gduli to bardzo wyrazisty antyklerykalizm. W listopadzie zeszłego roku wsparł akcję zebrania podpisów na rzecz odebrania kard. Stanisławowi Dziwiszowi honorowego obywatelstwa Krakowa. Był to efekt głośnego reportażu TVN24 „Don Stanislao". W styczniu Gdula zaatakował abp. Marka Jędraszewskiego. W jego opinii „ma dwie namiętności: nienawiść do LGBT i nieruchomości". Niechęć do Kościoła nie sprowadza się tylko do postaci byłego i obecnego metropolity krakowskiego. 28 stycznia zacytował na Twitterze sentencję filozofa Lukrecjusza: „Zbrodnię rodzi zbyt często właśnie religia zdrożna".

Poseł PiS Arkadiusz Mularczyk, który rywalizował z Gdulą w wyborach sejmowych w październiku 2019 r., tak próbuje wyjaśnić metamorfozę socjologa: „Gdula zrozumiał, że na eksperckości w polityce trudno daleko zajechać, i uznał, że musi szokować. A gdy się już raz nabrało nawyku do sięgania po drastyczne opinie, to trudno się tego wyzbyć".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a50b2fd290

FOT. ADOBE STOCK

Szkolenia z tęczy

Tomasz Rowiński

Sieć szkoleń antydyskryminacyjnych oplata kraj i formuje ludzi na narzędzia w rękach homoseksualnej propagandy

Portal „Gazety Wyborczej" musiał ogłosić przeprosiny po tym, jak opublikował list od czytelniczki, żalącej się, że w środowisku jej córki panują coraz bardziej zamknięte ideologicznie poglądy. Autorka podpisana jako „Tosia", opisując doświadczenie swojej córki, pisała, że w kręgach tzw. postępowej młodzieży „albo przyjmujesz paczkę poglądów zawierającą niebinarność, »poczucie płci«, albo jesteś klasyfikowana jako przeciwniczka, »terfka« [trans-exclusionary radical feminists – transwykluczająca radykalna feministka – przyp. T.R.], »transfobka« (mimo że przecież ani ja, ani córka nie wykluczamy osób trans!) i nie ma możliwości rozmowy pomiędzy tymi dwoma grupami".

Po reakcjach „aktywistów społeczności LGBT+" redaktor naczelna portalu Wyborcza.pl, a jednocześnie wicenaczelna „Gazety Wyborczej" Aleksandra Sobczak nie tylko przeprosiła, lecz także ogłosiła pospiesznie, że już 14 stycznia – trzy dni po publikacji listu – odbędzie się szkolenie zorganizowane przez Fundację Trans-Fuzja dotyczące tego, jak należy pisać o transseksualistach.

„Wizją Fundacji Trans-Fuzja jest absolutne poszanowanie praw człowieka osób transpłciowych w Polsce, zapewnienie im całkowitej równości społecznej oraz brak dyskryminacji w jakichkolwiek obszarach życia, szczególnie w kwestii poszanowania tożsamości i ekspresji płciowej" – czytamy na stronie organizacji. Po panicznej reakcji Aleksandry Sobczak można się domyślić, na czym ma polegać absolutny charakter poszanowania np. ekspresji, które proponuje Trans-Fuzja. Zapewne „szkolenie", które przeszli dziennikarze z Czerskiej, miało ich przekonać, że kwestia LGBT ma naprawdę stać się nowym społecznym tabu i lepiej, by się nie wychylali.

SIEĆ HOMOSEKSUALNYCH „SZKOLEŃ"

Można by się jedynie śmiać z ideologicznego zafiksowania dziennikarzy z Czerskiej, gdyby nie to, że sieć „szkoleń" politycznego ruchu homoseksualnego coraz szerzej opasuje Polskę. Wchodzi on ze swoją ideologią do kolejnych instytucji pomimo sprzeciwu państwa na poziomie centralnym. Często są to instytucje pracujące bezpośrednio z ludźmi i ich problemami. Szkolenia Trans-Fuzji czy Grupy Stonewall dają im do ręki proste schematy szybkiego reagowania zgodnie z ideologią gender. Odpowiednio sforma-

eprasa.pl a50b2fd290

towani nauczyciele czy urzędnicy sami stają się narzędziami ideologicznego wirusa.

Poznań w roku 2020 przeznaczył 23 tys. zł dla stowarzyszenia Grupa Stonewall, które miało zorganizować – jak czytam w lokalnych mediach – „wykład otwarty dotyczący przeciwdziałania homofobii i transfobii" o charakterze „szkolenia dla nauczycieli i pedagogów szkolnych". Tytuł wykładu: „Homofobia i jej konsekwencje dla dzieci i młodzieży. Metody przeciwdziałania na terenie szkoły". Do tego dodano „warsztat antydyskryminacyjny, podczas którego szczególny nacisk zostanie położony na problemy pojawiające się w szkołach. Zakłada się, że w tych działaniach weźmie udział minimum 50 pedagogów i nauczycieli" – relacjonował „Głos Wielkopolski". Współpraca Poznania i Stonewall ma zresztą charakter bardziej trwały. W ostatniej dekadzie stycznia ukazała się sfinansowana z publicznych pieniędzy broszura „Poznań w kolorach tęczy".

Stowarzyszenie nie pisze na swojej stronie wiele o sobie. O oferowanych szkoleniach dowiadujemy się, że „stanowią przestrzeń do wymiany doświadczeń, dzielenia się przemyśleniami i odczuciami oraz szukania odpowiedzi na własne pytania i wątpliwości w bezpiecznej przestrzeni" lub że „dokładny zakres tematyczny jest uzgadniany przed spotkaniem, w zależności od potrzeb i oczekiwań danej grupy".

„Jednym z priorytetowych elementów naszej działalności jest dzielenie się wiedzą o tym, jak walczyć z dyskryminacją i nierównością. Wśród nas są doświadczeni prowadzący i prowadzące, którzy w przystępny i jasny sposób opowiadają o takich zagadnieniach, jak: orientacja psychoseksualna i tożsamość płciowa, istota i przesłanki dyskryminacji, język równościowy, coming out, dyskryminacja wśród uczniów i uczennic, równe traktowanie w miejscu pracy" – czytamy na stronie stowarzyszenia. Może i brzmi to niewinnie, ale ten zestaw haseł tworzy typową siatkę pojęciową propagandy ideologii gender, która przekonuje, że kwestie dotyczące ludzkiej płciowości to tylko konstrukty społeczne. Według tej ideologii parafilie oraz stany zaburzeń tożsamości płciowej i budowany wokół nich styl życia nie mogą podlegać ocenie moralnej ani medycznej. Za to muszą być one bezdyskusyjnie akceptowane jako „tożsamości".

W opisie wydarzenia zatytułowanego „Warsztat antydyskryminacyjny ze szczególnym uwzględnieniem sytuacji w placówkach oświatowych" znajdujemy za to promocję stereotypów na temat ludzi sprzeciwiających się ekspansji subkultury LGBT, których argumenty sprowadza się do nieracjonalnych odruchów: „[...] Uprzedzenia w dużej mierze wynikają z niewiedzy oraz powtarzania obiegowych, często fałszywych, opinii na temat różnych grup mniejszościowych".

Cele Grupy Stonewall w obszarze edukacyjnym odsłania używana na ich stronie kategoria „młodzież LGBT+". Łatwo pojąć, że chodzi o pogłębianie, a nie rozwiązywanie problemów związanych z zaburzeniami tożsamości płci, jakich nieraz doświadczają nastolatkowie. Organizacje LGBT przemilczają, że ich celem jest wciąganie ludzi do swojego ruchu, a nie pomaganie im w zwalczaniu zaburzeń. Przekaz jest prosty: problemy „osób LGBT" wynikają ze złego urządzenia świata i braku akceptacji dla ich stylu życia, który z kolei jest tematem zakazanym i powinien być tylko gloryfikowany.

TĘCZOWI URZĘDNICY W GDAŃSKU

Po dziennikarzach i pedagogach zerknijmy do pewnego urzędu. „Model ds. Równego Traktowania jest w Gdańsku wdrażany. Obecnie trwają m.in. szkolenia antydyskryminacyjne dla urzędników miasta, trwają też prace nad powołaniem centrum antydyskryminacyjnego. Miasto rzeczywiście pracuje nad wdrażaniem kolejnych rekomendacji. Ale wprowadzenie ich wszystkich to zadanie nie tylko na tę kadencję, ale także i na kolejne" – mówił w 2018 r. Jacek Jasionek ze stowarzyszenia Tolerado. Obecnie na stronie głównej stowarzyszenia widnieją słowa Pawła Adamowicza o pożytkach wynikających z różnorodności. Sześć osób związanych z Tolerado było ekspertami przy powstawaniu „Modelu". Można powiedzieć, że symbioza miasta i przedstawicieli tęczowej organizacji trwa.

W „Modelu", który jest podstawą wewnętrznych i zewnętrznych działań antydyskryminacyjnych miasta, czytamy, że „zgodnie z dzisiejszą wiedzą orientacja heteroseksualna, homoseksualna i biseksualna są traktowane jako prawidłowe warianty rozwojowe seksualności człowieka". Ponieważ nie da się tego samego powiedzieć o transseksualistach, dokument orzeka, że ich sytuacja jest trudniejsza. Próżno też w „Modelu" szukać choćby słowa o tym, że działacze politycznego ruchu homoseksualnego nie reprezentują wszystkich osób homoseksualnych. Zatem można się spodziewać, że przeszkolony gdański urzędnik każdą osobę oznaczoną jako LGBT będzie kierował do zideologizowanych organizacji, które jedyne, co ostatecznie mają do zaproponowania, to różne odmiany gejowskiego stylu życia.

System szkoleń nie tylko kształtuje sposób myślenia jednostek, lecz także wytwarza mechanizmy instytucjonalne. Gdański model równościowy łatwo przechodzi od uwrażliwiania na pojawiającą się przemoc do postulatów edukacyjnych relatywizujących uprzywilejowany charakter naturalnej rodziny, płci biologicznej, a także do postulatów wolności wyboru tożsamości płciowej.

Szukając śladów obecności tęczowych materiałów szkoleniowych w instytucjach publicznych, trafiłem na numer wydawanego przez słupską Szkołę Policji branżowego „Przeglądu Prewencyjnego". Znalazłem tam artykuł pt. „Przestępstwa z nienawiści wobec osób LGBT" napisany przez Ewę Pietruczuk, ówczesnego pełnomocnika komendanta szkoły ds. ochrony praw człowieka. Znajdziemy w nim oprócz oczywistych wątków uwrażliwiania na sytuacje przemocy cały zasób stereotypów oraz haseł politycznego ruchu homoseksualnego. Poczynając od „homofobii", które to słowo ma stygmatyzować nie tylko osoby przemocowe, lecz także tych, którzy krytykują gejowski styl życia z perspektywy moralnej czy społecznej. Tekst stygmatyzuje osoby religijne, starsze, gorzej wykształcone, wyznające „konserwatywne ideologie". Padają słowo „faszyzm" oraz zbitka „nieuzasadniony lęk". Jeśli chodzi o transfobię, to policjat-czytelnik dowie się, że to „lęk odczuwany wobec danej osoby", która „określa się jako osoba płci innej niż płeć przypisana". Tekst jest wyróżniony na tle całego numeru ciągnącą się u dołu stron tęczową flagą aktywistów ideologii LGBT, przypisy odnoszą jedynie do materiałów takich organizacji jak Kampania Przeciw Homofobii.

Rzeczywistość treści szkoleniowych, które przejrzałem, jest co do zasady prosta. Mamy niezrozumiane ofiary społeczeństwa, które tylko pragną realizować swój sposób na szczęście, i homofobów, niebezpiecznych mentalnych troglodytów oraz przemocowców obciążonych przesądami. Czy redaktorzy portalu Wyborcza.pl, po swoim szkoleniu, mogli się choć chwilę wahać, jakiego wyboru dokonać?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a50b2fd290

FOT. ADOBE STOCK

Maciej Pieczyński

„Prawem człowieka", wypisanym obok aborcji na sztandarach antyklerykałów, może być dziś nawet prawo do przyjęcia bierzmowania przez niewierzących. Środowiska lewicowo-liberalne walczą już nie tylko o świeckie państwo. Świecki ma być również Kościół

Rozdział Kościoła od Kościoła

Oświadczam, że nie popieram tzw. »strajku kobiet«: postulatów i żądań sprzecznych z treścią i zasadami naszej katolickiej wiary, na co mogły wskazywać obecne na moim koncie na fejsbuku przez dłuższy czas i rozpowszechniane wśród kolegów i koleżanek materiały pochodzące ze stron strajku kobiet i moje osobiste zdjęcie. Usunąłem już ze swojego konta powyższe treści bądź uczynię to w dniu … …" – deklarację o takiej treści musieli podpisać kandydaci do Sakramentu Dojrzałości Chrześcijańskiej z parafii pw. Miłosierdzia Bożego w Ropicy Polskiej. Oświadczenie wieńczy wyraz samokrytyki: „Proszę Pana Boga o przebaczenie moich nierozsądnych zachowań i postanawiam przy pomocy Ducha Świętego być dzielnym świadkiem i apostołem CHRYSTUSA, PANA MOJEGO".

Podpisanie dokumentu było warunkiem przystąpienia do sakramentu. O sprawie poinformował w alarmistycznym tonie lokalny portal gorlice24.pl. Autor artykułu, Jarosław Rozpłochowski, twierdzi, że z redakcją skontaktowali się oburzeni rodzice dzieci, nie cytuje jednak ich wypowiedzi, nie wymienia ich z nazwiska. Tekst kończy kuriozalnie brzmiącą refleksją: „Zastanawiamy się, czy naruszenie przez księdza Konstytucyjnych praw do wolności poglądów ma miejsce także w innych parafiach naszego powiatu. Zapraszamy do kulturalnej dyskusji".

Autorzy większości komentarzy zamieszczonych pod artykułem nie utożsamiają się z jego wymową i solidaryzują się z proboszczem. Pojawiły się też głosy rzekomych rodziców, którzy nie zgadzają się z krytyką pod adresem księdza. Komentarze są jednak anonimowe.

WEWNĘTRZNA SPRAWA KOŚCIOŁA

Tak czy inaczej, pomysł ks. Stanisława Makowieckiego, proboszcza parafii, wywołał wielkie oburzenie. „Kontrowersyjne oświadczenie warunkiem przystąpienia do bierzmowania" – brzmi tytuł artykułu na Onecie. Wirtualna Polska z kolei pisze o „oburzających oczekiwaniach księdza", który „każe podpisać pewien dokument". Patrycja Krzymińska z Radia Zet nazywa oświadczenie „skandalicznym", „szokującym", a portal gazeta.pl – „zaskakującym". Do tematu na swoim facebookowym profilu odniósł się Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych: „Dziękujemy księdzu, że tak wcześnie uświadamia dzieci, jakimi metodami posługuje się kościół katolicki – szantaż, ograniczanie wolności, straszenie. Oby jak najwięcej młodych ludzi jak najwcześniej poznało się na hipokryzji kleru". Lewicowa organizacja wykorzystała oryginalną inicjatywę proboszcza jako wygodny pretekst do ataku na Kościół. Z kolei posłanka Lewicy Monika Falej, komentując sprawę, wystosowała na Twitterze patetyczny apel do młodzieży: „Macie rozum i nie bójcie się go użyć! W Waszych rękach Wasze życie i żaden ksiądz nie ma prawa Wam niczego takiego podsuwać do podpisywania. Walczcie o siebie".

Można odnieść wrażenie, że ks. Makowiecki dokonał zamachu na wolności obywatelskie, że brutalnie wchodzi z butami w życie młodych ludzi. Tymczasem przedmiotem rzekomego „szantażu", dobrem, którego małopolski proboszcz pozbawia nastolatków, popierających Strajk Kobiet, jest jeden z sakramentów. Czyli wewnętrzna sprawa Kościoła. – Bierzmowanie jest sakramentem dojrzałości chrześcijańskiej, a więc wyrazem tożsamości młodego katolika, którą w kontekście tzw. aborcji można określać albo w sposób pozytywny, albo negatywny. Pierwszy sprowadza się do deklaracji „Jestem za życiem, zgodnie z nauką Kościoła". Drugi można streścić w stwierdzeniu: „Odcinam się od wszelkich ideologii, które są wymierzone przeciwko życiu poczętemu". Nikt nikogo nie zmusza do przyjęcia bierzmowania. Jeżeli młody człowiek dobrowolnie postanawia przystąpić do sakramentu, to powinien liczyć się z konsekwencjami – komentuje w rozmowie z „Do Rzeczy" ks. prof. Paweł Bortkiewicz, teolog moralny.

W obronie ks. Makowieckiego wystąpiła rzeszowska kuria, której podlega. „Jednym z ważnych elementów przygotowania do sakramentu bierzmowania jest weryfikacja spójności między deklarowa-

eprasa.pl a50b2fd290

ną wiarą kandydatów a podejmowanymi decyzjami i ich zachowaniem. Proboszcz parafii w Ropicy Polskiej w związku z wątpliwościami, czy owa spójność występuje u trzech osób z grupy przygotowującej się do przyjęcia bierzmowania, poprosił je o złożenie pisemnych deklaracji potwierdzających ich wybory moralne. Dzięki temu pomógł im podjąć decyzję o przystąpieniu do sakramentu bierzmowania nie tylko w sposób wolny, ale także bardziej świadomy, co zasługuje na uznanie" – czytamy w oświadczeniu rzecznika kurii.

OBUDZIĆ SUMIENIE

Podobne oburzenie wywołała twarda postawa księdza z Mławy, który miał odmawiać pierwszej komunii świętej tym dzieciom, których rodzice na Facebooku deklarują poparcie dla Strajku Kobiet. Parafia przed falą krytyki broniła się, używając argumentów abp. Raymonda Burke'a, cytowanego przez Katolicką Agencję Informacyjną: „Nie istnieje prawo do otrzymania Komunii św., zaś udzielający jej szafarz powinien jej odmówić do czasu, gdy proszący o nią zwolennik aborcji »zmieni swoje życie«".

– Kościół stawia kandydatom do sakramentów określone wymogi. Przecież gdyby narzeczeni przyznali, że nie chcą mieć potomstwa, ksiądz mógłby, a nawet powinien odmówić im udzielenia ślubu. Na tej samej zasadzie bierzmowanie, jak sama nazwa wskazuje, wymaga od kandydata dojrzałości chrześcijańskiej, czyli uznawania prawd głoszonych przez Kościół zarówno w sferze wiary, jak i moralności. Przyjęcie sakramentu przez zwolennika aborcji to wręcz świętokradztwo – zauważa Sławomir Olejniczak, prezes Stowarzyszenia Kultury Chrześcijańskiej im. Piotra Skargi. – Jednym z celów Kościoła jest pomoc w odnalezieniu drogi do zbawienia. Jeśli ktoś świadomie i dobrowolnie tkwi w błędzie, to popełnia grzech i naraża się na potępienie. Wyrazem miłości Kościoła do młodego człowieka nie jest więc akceptacja jego błędnych poglądów aprobujących grzech, ale walka z nimi. Nie ma też co liczyć na to, że jeśli bezwarunkowo otrzyma bierzmowanie, to za jakiś czas sam się zmieni. To podobnie naiwna postawa jak w przypadku kobiety, która ma nadzieję, że wady jej przyszłego męża znikną automatycznie po ślubie – dodaje.

Ksiądz dr Janusz Chyła, teolog, proboszcz parafii pw. Matki Bożej Królowej Polski w Chojnicach, nie podchodzi entuzjastycznie do pomysłu ks. Makowieckiego. – Nie mam żadnych wątpliwości, że kto popiera aborcję, ten popełnia grzech ciężki i nie powinien przystępować ani do eucharystii, ani do bierzmowania – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy". – Uważam jednak, że zamiast zbierać podpisy, wymagać deklaracji, lepiej po prostu wysłuchać, porozmawiać, spróbować obudzić sumienie. Podczas przygotowań do bierzmowania w mojej parafii wprost mówiłem kandydatom: „Jeśli ktoś identyfikuje się ze Strajkiem Kobiet, to powinien sam przed sobą przyznać, że nie jest jeszcze gotowy na przyjęcie sakramentu. Powinien odłożyć tę decyzję, przemyśleć, przemodlić, przedyskutować". Podobnie gdy przychodzą do mnie młodzi ludzie prosić o możliwość zawarcia sakramentu małżeństwa, namawiam ich, by najpierw sami sobie odpowiedzieli na pytanie: Czy na pewno są gotowi na życie w zgodzie z wiarą? Głoszenie Ewangelii w Kościele jest punktem wyjścia. Co z tego, że będziemy mieć całe masy ochrzczonych, bierzmowanych, żonatych i zamężnych katolików, jeśli nie będą to katolicy świadomi – wierzący?! Sakramenty są darem łaski, ale wymagają współpracy.

SZYKANOWANIE KATOLIKÓW

Wydawałoby się, że spór dotyczy wewnętrznej sprawy Kościoła. Nawet patrząc ze świeckiej, pozbawionej duchowości perspektywy, odmowę bierzmowania zwolennikom Strajku Kobiet można racjonalnie wyjaśnić. Kościół jest organizacją kierującą się konkretnymi zasadami. Kto do niej należy, ten musi ich przestrzegać, a na kolejnych etapach „kariery" (czyli przyjmując kolejne sakramenty) udowadniać, że żyje zgodnie z tymi zasadami. Zarówno członkostwo w organizacji, jak i „kariera" w jej szeregach są dobrowolne. Kto nie akceptuje zasad, ten może się wypisać. Wbrew antyklerykalnej narracji w Polsce panuje wolność i tolerancja religijna.

Tymczasem kolejne fale protestów Strajku Kobiet pokazują skalę społecznej niechęci lewicowo-liberalnych środowisk do Kościoła. Wydawałoby się, że głównym celem jest pełna sekularyzacja państwa. Kościół miał się „nie mieszać" do polityki, nie wpływać na ustawodawstwo. Nawet jako grupa obywateli, reprezentująca określony światopogląd i lobbująca na rzecz jego wprowadzania w życie na poziomie państwa. To, co wolno lewicowym organizacjom, zdaniem samej lewicy jest niedopuszczalne w przypadku organizacji katolickich (nawet świeckich). Jednak nawet odebranie Kościołowi roli aktora na scenie społeczno-politycznej to za mało. Lewica chce ingerować w sprawy wewnętrzne Kościoła. Wyraźnie tę tendencję było widać już podczas jesiennych protestów Strajku Kobiet. Symptomatycznym przykładem była akcja „Słowo na niedzielę", w ramach której feministki wchodziły do kościołów podczas mszy św. i „wyrażały swój sprzeciw". W jednej ze świątyń pojawił się obrazoburczy transparent o treści: „Módlmy się o prawo do aborcji".

Problemem nie jest więc już to, że Kościół wpływa na politykę, ale to, że katolicy mają swoje poglądy, sprzeczne z poglądami lewicy. Trudno sobie wyobrazić, jaka byłaby reakcja, gdyby w środku marszu Strajku Kobiet pojawił się ksiądz, wykrzykujący hasło: „Módlmy się o zakaz aborcji"…
– Środowiska prawicowe czy katolickie są prześladowane, szykanowane, cenzurowane. Lewica w ten sposób, nie mając racjonalnych argumentów, próbuje zakrzyczeć przeciwnika – mówi Sławomir Olejniczak. – Katolicy kierują się zasadami moralnymi. Lewica nie chce tych zasad przestrzegać. Jednak nawet w sercu najbardziej zatwardziałego antyklerykała czasem odzywa się głos sumienia. Kościół, głosząc zasady Dekalogu, tylko wzmacnia ten głos, co wywołuje wściekłość lewicy. I właśnie dlatego antyklerykałowie chcą doprowadzić do sytuacji, w której katolicy nie tylko nie będą działać w przestrzeni publicznej, lecz także sami przestaną kierować się swoimi własnymi zasadami, bo wtedy przestaną też nimi „zarażać" innych – dodaje.

Do podobnych wniosków dochodzi ks. dr Janusz Chyła. – Jednym z zadań Kościoła jest budzenie sumienia, a to wywołuje sprzeciw, bo ludzie nie lubią, kiedy przypomina się im o ich grzechach. Szczególnie w dzisiejszych czasach, gdy dominuje postawa odległego od ducha Ewangelii relatywizmu. Stąd opór – zauważa.

Zdaniem ks. prof. Bortkiewicza naciski na Kościół, by zmienił swoje nauczanie, wynikają z niezrozumienia istoty tej organizacji. – Nie można deklarować się jako katolik, a jednocześnie postępować wbrew moralności chrześcijańskiej. Kościół nie jest instytucją demokratyczną. Nie musi ulegać presji opinii publicznej. Nie może też rezygnować ze swoich zasad. W ich obronie Kościół jest wyjątkowo konsekwentny. Dlatego podlega tak zdecydowanym atakom. Nie można jednak im ulec. Kościół nie powinien iść z duchem czasu, tylko z duchem prawdy – dodaje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a50b2fd290

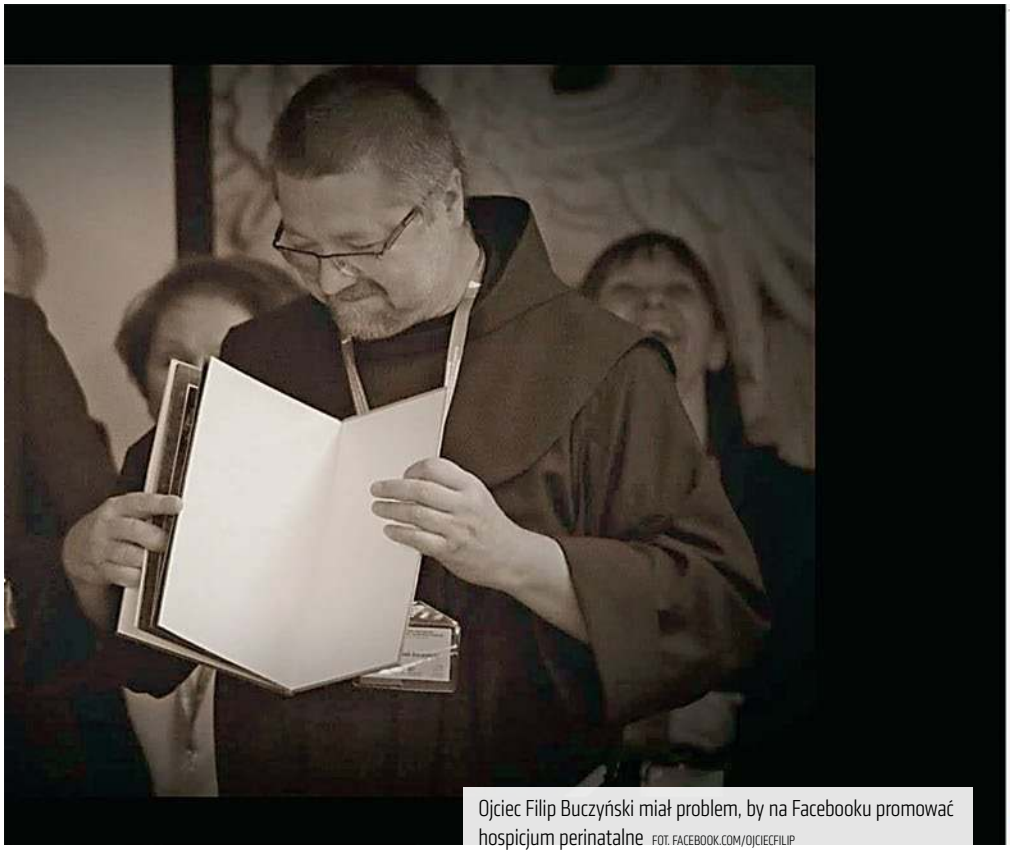

Ojciec Filip Buczyński miał problem, by na Facebooku promować hospicjum perinatalne FOT. FACEBOOK.COM/OJCIECFILIP

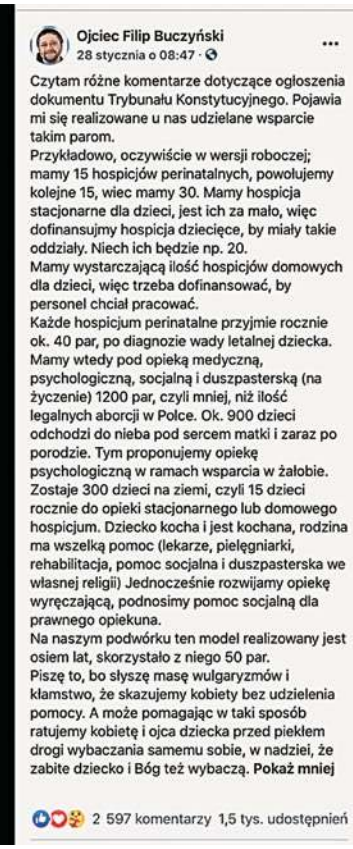

Ojciec Filip Buczyński
28 stycznia o 08:47 ·

Czytam różne komentarze dotyczące ogłoszenia dokumentu Trybunału Konstytucyjnego. Pojawia mi się realizowane u nas udzielane wsparcie takim parom.
Przykładowo, oczywiście w wersji roboczej; mamy 15 hospicjów perinatalnych, powołujemy kolejne 15, wiec mamy 30. Mamy hospicja stacjonarne dla dzieci, jest ich za mało, więc dofinansujmy hospicja dziecięce, by miały takie oddziały. Niech ich będzie np. 20.
Mamy wystarczającą ilość hospicjów domowych dla dzieci, więc trzeba dofinansować, by personel chciał pracować.
Każde hospicjum perinatalne przyjmie rocznie ok. 40 par, po diagnozie wady letalnej dziecka. Mamy wtedy pod opieką medyczną, psychologiczną, socjalną i duszpasterską (na życzenie) 1200 par, czyli mniej, niż ilość legalnych aborcji w Polce. Ok. 900 dzieci odchodzi do nieba pod sercem matki i zaraz po porodzie. Tym proponujemy opiekę psychologiczną w ramach wsparcia w żałobie. Zostaje 300 dzieci na ziemi, czyli 15 dzieci rocznie do opieki stacjonarnego lub domowego hospicjum. Dziecko kocha i jest kochana, rodzina ma wszelką pomoc (lekarze, pielęgniarki, rehabilitacja, pomoc socjalna i duszpasterska we własnej religii) Jednocześnie rozwijamy opiekę wyręczającą, podnosimy pomoc socjalną dla prawnego opiekuna.
Na naszym podwórku ten model realizowany jest osiem lat, skorzystało z niego 50 par.
Piszę to, bo słyszę masę wulgaryzmów i kłamstwo, że skazujemy kobiety bez udzielenia pomocy. A może pomagając w taki sposób ratujemy kobietę i ojca dziecka przed piekłem drogi wybaczania samemu sobie, w nadziei, że zabite dziecko i Bóg też wybaczą. **Pokaż mniej**

2 597 komentarzy 1,5 tys. udostępnień

Świat według Zuckerberga

Agnieszka Niewińska

Ojciec Filip Buczyński chciał dotrzeć z informacją o hospicjum perinatalnym do jak największej liczby osób, więc zlecił promowanie posta na Facebooku. Portal początkowo odmówił. Promocja okazała się możliwa dopiero po tym, jak o sprawie zrobiło się głośno w sieci

Dziecko kocha i jest kochane, rodzina ma wszelką pomoc (lekarze, pielęgniarki, rehabilitacja, pomoc socjalna i duszpasterska we własnej religii). Jednocześnie rozwijamy opiekę wyręczającą, podnosimy pomoc socjalną dla prawnego opiekuna. Na naszym podwórku ten model realizowany jest osiem lat, skorzystało z niego 50 par" – napisał o hospicjum perinatalnym na Facebooku o. Filip Buczyński, franciszkanin, psychoterapeuta, założyciel i prezes Lubelskiego Hospicjum dla Dzieci im. Małego Księcia.

Wpis był reakcją franciszkanina na komentarze, które pojawiły się po opublikowaniu przez Trybunał Konstytucyjny uzasadnienia do październikowego orzeczenia w sprawie ustawy aborcyjnej. Duchowny chciał pokazać, że model hospicjum perinatalnego, które prowadzi w Lublinie, można zastosować na szerszą skalę, skutecznie wspierając rodziców, którzy dowiedzieli się, że dziecko, którego oczekują, jest nieuleczalnie chore. „Słyszę masę wulgaryzmów i kłamstwo, że skazujemy kobiety bez udzielenia pomocy. A może pomagając w taki sposób, ratujemy kobietę i ojca dziecka przed piekłem drogi wybaczania samemu sobie" – zakończył swój wpis o. Buczyński.

– Chciałem z informacją dotrzeć do jak najszerszej liczby osób, aby o hospicjum perinatalnym dowiedziały się kobiety, które spodziewają się chorego dziecka i nie chcą aborcji. Dlatego poprosiłem dział PR hospicjum o to, by przez współpracującą z nami firmę wykupił promowanie tego posta na Facebooku – opowiada „Do Rzeczy" o. Buczyński. Firma jednak oddzwoniła z informacją, że promocji posta nie będzie „ze względu na kwestie społeczne". – Co to znaczy? Sam nie wiem. Niektórzy mojemu postowi nadali znaczenie polityczne, ale trudno mi się do tego odnieść, bo stoję przy Panu Jezusie, a nie przy polityce. Może algorytm Facebooka reaguje na słowa kluczowe, takie jak: „Trybunał Konstytucyjny", „aborcja", „hospicjum perinatalne" i z automatu blokuje cały tekst? A może, jak słyszę od wielu osób, Facebook po prostu tworzą ludzie o liberalnych przekonaniach i celowo blokują takie treści?

PROMOCJA NA WŁASNĄ RĘKĘ

Podobne problemy z promocją posta na Facebooku miał Teatr Exit, który chciał nagłośnić zrzutkę na film „Tobiasz". Zespół

eprasa.pl a50b2fd290

Hospicjum dla Dzieci im. Małego Księcia
29 stycznia o 15:04

Szanowni Państwo,
chcieliśmy, aby wpis O. Filipa z wczorajszego poranka (28.01.21) dotarł do szerszej liczby odbiorców. Ze względu na kwestie społeczne post nie mógł być promowany. W tekście jest napisane jak pomagamy w hospicjum perinatalnym, stacjonarnym i w opiece domowej.
Gorąco prosimy Was o udostępnienie załączonego wpisu❤️
Edit: Dzięki Wam FB zezwolił na promocję posta.

726 18 komentarzy 184 udostępnienia

teatru nie ukrywał, że obraz to ich głos w sprawie przetaczających się przez Polskę manifestacji proaborcyjnych. „Trzon Teatru EXIT stanowią osoby niepełnosprawne, cierpiące na schorzenia, które mogłyby stanowić dla większości protestujących powód do dokonania aborcji... Nasi aktorzy całe szczęście się urodzili" – napisał zespół w opisie zrzutki i wyjaśnił, że film „Tobiasz" będzie adaptacją biblijnej księgi i w pewnym sensie filmem pro-life.

Chociaż Teatr Exit wiele razy korzystał z płatnych form promocji swoich spektakli i filmów na Facebooku, to tym razem dostał odpowiedź odmowną. – Nie chcę przesądzać o tym, czy było to nieporozumienie, czy ktoś specjalnie próbował wstrzymać promocję naszego posta. Facebook uznał zrzutkę na film za kampanię społeczną, która wymaga innej weryfikacji, niż ma to miejsce w przypadku promocji filmu. Może to wina jakiegoś algorytmu czy bota, a może Facebook, któremu nie jest po drodze z naszymi wartościami, zatrudnia ludzi, którzy mają liberalne poglądy i to oni podejmują decyzję, co promować, a czego nie? – zastanawia się Maciej Sikorski, reżyser i założyciel Teatru Exit.

Zespół sprawę opisał na swoim facebookowym profilu. – W mediach zrobiło się duże zamieszanie. Ludzie udostępniali nasz post, napisało o nas kilka portali. Być może Facebookowi zrobiło się wstyd, że cenzuruje informacje jak za komuny. Ostatecznie przeszliśmy dodatkową weryfikację, jakiej nie wymagano od nas przy żadnym innym filmie czy spektaklu, i po kilku dniach dostaliśmy zgodę na promocję naszego posta o zrzutce – opowiada Maciej Sikorski.

Ojciec Buczyński z lubelskiego hospicjum też opisał historię facebookowej blokady. Wielu użytkowników zdecydowało, że post o hospicjum perinatalnym będą promować samodzielnie. – Odzew był ogromny. Post dotarł do 350 tys. osób – opowiada franciszkanin. I dodaje, że w efekcie tych działań do hospicjum zadzwoniła kobieta w ciąży, u której dziecka zdiagnozowano trisomię 13. – Już umówiliśmy się na spotkanie. Jeśli w wyniku tej burzy uda się pomóc choćby jednej osobie, to uznam, że było warto.

Po fali udostępnień posta o hospicjum Facebook zmienił zdanie. „Dzięki Wam, drodzy Państwo, FB uznał, że ich blokada, którą wprowadzili, nie jest skuteczna i zdecydowanie obniża firmę wizerunkowo" – poinformował w ubiegły poniedziałek o. Buczyński. W rozmowie z „Do Rzeczy" wyjaśnia, że Internet to bezcenny kanał informacji dla hospicjów perinatalnych. – My prowadzimy je od ośmiu lat i z rozmów z rodzinami, którymi się opiekowaliśmy, wiem, że dowiedziały się o nas od znajomych, innej rodziny hospicyjnej czy właśnie szperając w Internecie. Wąskim gardłem są ginekolodzy, którzy nie informują o takiej możliwości. Kobiety po USG czy amniopunkcji, które dowiadują się o chorobie dziecka, opowiadały nam, że podczas rozmowy z lekarzem nawet nie padły słowa „hospicjum perinatalne". Słyszą raczej: „Proszę pani, tego się nie nosi". Matka, która w takiej chwili skupiona jest na przeżyciach związanych z chorobą dziecka, opiera się na tym, co doradza jej autorytet, czyli lekarz. Dlatego chcemy, by informacje o opiece perinatalnej docierały do rodziców za pośrednictwem Internetu. Kto nie jest zainteresowany, ten nie musi czytać, ale powinny być one dostępne dla tych, którzy przeczytać chcą. W mediach społecznościowych pełno jest treści, które nie licują ani z godnością, ani z kulturą człowieka. Skąd jest ten rodzaj blokady na treści o pomocy perinatalnej?

MONOPOL W SIECI

Anna Piotrowska ze szczecińskiej Fundacji Małych Stópek, która od lat wspiera znajdujące się w trudnej sytuacji kobiety w ciąży, prowadzi akcje charytatywne i podejmuje działania edukacyjne na rzecz obrony ludzkiego życia od poczęcia do naturalnej śmierci, też podkreśla, jak ważną rolę odgrywa w ich działalności Internet. – To chyba najważniejsze dziś medium, przez które możemy dotrzeć nie tylko do naszych potencjalnych darczyńców i działaczy, lecz także do osób, które mogą potrzebować naszego wsparcia. To właśnie w przestrzeni internetowej, a dokładnie za pomocą portali społecznościowych wiele osób dowiaduje się, że istnieje taka organizacja jak nasza – mówi.

Do tej pory Fundacja Małych Stópek nie spotkała się z taką sytuacją, jaka dotknęła lubelskie hospicjum czy Teatr Exit. – Zdarzyło się natomiast blisko dwa lata temu, że nasze zasięgi w sieci drastycznie zmalały. Od tamtej pory bardzo ostrożnie formułujemy treści naszych postów, zwłaszcza że działamy w bardzo delikatnym temacie pro-life. Pod koniec ubiegłego roku zablokowane zostało reklamowe konto oficjalnego profilu naszej świątecznej akcji „Paczuszka dla maluszka", w ramach której zbieraliśmy artykuły dla niemowląt, które fundacja otoczyła opieką. Do tej pory nie jesteśmy jednak pewni, jaka była przyczyna pojawienia się tego problemu – mówi Piotrowska i dodaje, że obecnie posty na facebookowym profilu Fundacji Małych Stópek docierają do 141 tys. użytkowników miesięcznie, a na profilu Bractwa Małych Stópek średnio do 535 tys. tygodniowo.

Maciej Sikorski z Teatru Exit zaznacza, że media społecznościowe są dziś niezbędnym narzędziem. – Bez nich nie da się prowadzić ani teatru, ani grupy rockowej. To nasz podstawowy kanał komunikacji z widzami. Na strony internetowe już mało kto wchodzi.

KLINIKI ABORCYJNE Z REKLAMĄ

– Gdy powstawały Facebook czy Twitter, postrzegaliśmy je jako przestrzeń wolności – mówi Sikorski. – Sęk w tym, że teraz w Internecie jest monopol. Kontroluje go kilku technologicznych gigantów. Mamy sytuację jak z Orwella. Nawet gdybyśmy chcieli zniknąć z Facebooka, to nie bardzo mamy alternatywę. Po pierwsze, trudno będzie stworzyć jakiś „prawicowy Internet", co pokazuje historia portalu Parler. Po drugie, nie chcemy się na nikogo zamykać. Zależy nam na tym, by z ewangelicznymi treściami docierać do ludzi o różnych poglądach.

Szef Facebooka Mark Zuckerberg nawet nie ukrywa, że blokuje przekaz pro-life. W 2019 r. był gościem Aspen Ideas Festival, gdzie mówił o działaniach Facebooka w stosunku do zmian legislacyjnych, które według Zuckerberga są pozytywne. Jako przykład przywołał irlandzkie referendum w sprawie aborcji. Podczas kampanii referendalnej reklamy pro-life próbowały wykupić w serwisie organizacje obrońców życia z USA. Irlandzkie prawo tego nie zabrania, irlandzki rząd – jak relacjonował Zuckerberg – nie postrzegał tego jako ingerencję w wybory. Mimo to Facebook sam zdecydował o nieemitowaniu reklam obrońców życia.

Lilian Rose, założycielka amerykańskiej organizacji Live Action, po wypowiedzi na Aspen Ideas Festival wytknęła Zuckerbergowi hipokryzję, wskazując, że w Irlandii bez przeszkód były wyświetlane reklamy amerykańskiej organizacji mającej sieć klinik aborcyjnych – Planned Parenthood, której w ostatnich trzech latach dyrektor ds. operacyjnych Facebooka Sheryl Sandberg od 2017 r. przekazała 2 mln dol. darowizny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a50b2fd290

FOT. ADOBE STOCK

Szczepionki – nadzieja, która zawodzi

Rafał A. Ziemkiewicz

Sprawa szczepień rozczarowała wszystkich: lewicę zafascynowaną UE, rząd próbujący uniknąć społecznego kryzysu oraz ludzi, którzy czekają na zaszczepienie oraz usunięcie restrykcji

Wielkie oczekiwania związane ze szczepieniami przeciwko COVID-19 na razie nie potwierdzają się. Może poza jednym: oczekiwaniem producentów, że nowa technologia przyniesie im zyski, przy których miliardy zarobione np. na viagrze i innych dawnych przebojach rynku farmaceutycznego wydadzą się kwotami skromnymi.

Właściwie wszystko idzie inaczej, niż pójść miało. Powody do rozczarowania mają nawet antyszczepionkowcy, którzy szykowali się do kampanii przeciwko szczepionkowemu przymusowi i którym badania opinii publicznej wróżyły w takich działaniach sporą popularność. Nikt nie przewidział „efektu Jandy" – sytuacji, gdy szczepionki zaczną być postrzegane wcale nie jako przymus, ale jako luksus, który sławni, cwani i dobrze ustawieni zabierają „zwykłym Polakom", wkręcając się przed nich w kolejkę – ani tego, że celebryci i lokalni politycy, indywidualnie, czy nawet branżowo, tak jak prokuratorzy, dopisani będą w rządowym projekcie do służb mundurowych. Sam tylko skandal z dopisywaniem na Warszawskim Uniwersytecie Medycznym znajomych rektora do listy „personelu medycznego", by mogli skorzystać z dobra rzadkiego, jakim stały się szczepionki, sprawił, że w ciągu zaledwie kilku tygodni odsetek Polaków wyrażających gotowość zaszczepienia się w pierwszym możliwym terminie wzrósł niemal dwukrotnie, z niecałych 30 do prawie 60 proc.

Nie spełniły się także nadzieje opozycji liberalno-lewicowej, która nastawiła się na krytykowanie rządu, że szczepi za wolno, za mało, że chaos, długie kolejki i temu podobne. W istocie, chaosu nie wszędzie udało się uniknąć, ale nie na tyle, mimo starań opozycyjnych mediów, żeby zaowocowało to zauważalnym wzburzeniem społeczeństwa. O dziwo, zdarzyły się nawet przypadki chwalenia organizacji szczepień przez ludzi kojarzonych z obozem anty-PiS – na czele z obsesyjnie zazwyczaj krytykującym PiS za wszystko Waldemarem Kuczyńskim; co zresztą wywołało falę żartów, że skoro ktoś taki

eprasa.pl a50b2fd290

jak on zaczął nagle chwalić rząd (a także, niedługo później, krytykować Strajk Kobiet), to spiskowa teoria o wstrzykiwanych wraz ze szczepionką czipach Billa Gatesa, które „przestrajają" mózgi, znalazła potwierdzenie.

Generalnie jednak problemem okazało się nie to, czy akcja szczepionkowa idzie sprawnie, względnie czy nie mogła by iść jeszcze sprawniej, tylko czy będzie czym szczepić. Innymi słowy, to, jak rząd Morawieckiego organizuje szczepienia, przykryte zostało zupełnie inną kwestią – czy dostawcy szczepionek wywiążą się z podjętych zobowiązań. A tu nawet najbardziej zajadli krytycy władzy muszą przyznać, że jeśli się nie wywiążą, to nie będzie w tym najmniejszej winy strony polskiej.

UE ZAWIODŁA POLSKĄ LEWICĘ

Lewicowo-liberalna opozycja sama zagoniła się w tej kwestii w kozi róg, twardo domagając się swego czasu, żeby w sprawie szczepionek całkowicie zaufać Unii Europejskiej, i – zgodnie z przyjętą od dawna zasadą – starając się wykazać, że PiS ufa i podporządkowuje się jej nie dość skwapliwie, narażając obywateli w imię jakichś swoich antyeuropejskich fochów. Nikt nie przewidział, że zawiodą właśnie Unia i wymyślony przez nią mechanizm „wspólnych zakupów", który gwarantować miał równy, sprawiedliwy podział szczepionek pomiędzy różne kraje i zapobiec wyrywaniu ich sprzed nosa słabszym państwom przez silniejsze. Tymczasem mechanizm ten został skompromitowany, zanim jeszcze zaczął na dobre działać, gdy okazało się, że wbrew przyjętemu jednogłośnie zobowiązaniu, że żaden kraj unijny nie będzie „dokupywał" sobie szczepionek na własną rękę, pierwszymi, którzy tak właśnie zrobili, okazali się tak skłonni do pouczania wszystkich innych o wymogach „europejskiej solidarności" Niemcy.

Oczywiście, kto bliżej się polityce niemieckiej przygląda i dostrzega mocarstwowy egoizm projektów Nord Stream i Nord Stream 2 bądź wie o zwyczaju ignorowania przez Niemcy tych zarządzeń Komisji Europejskiej i orzeczeń TSUE, które im nie pasują, dziwić się dodatkowym zakupom szczepionek nie może – ale opinia publiczna z reguły nie wiedziała i otwarte złamanie ustaleń przez największy unijny kraj było i u nas, i w całej Unii sporym szokiem. Tym bardziej iż Niemcy odpowiedzieli na głosy oburzenia z wyjątkowym tupetem – że kupili szczepionki z innej puli niż ta przeznaczona do zakupu przez UE, w związku z czym nie uszczuplili zaopatrzenia innych krajów.

Oczywiście, nie ma żadnej „innej puli" dla tych lub tamtych. Jest określona liczba szczepionek, jaką da się w określonym czasie wyprodukować, a koncerny Big Pharma, dysponujące tym powszechnie na całym świecie pożądanym dobrem, zastosowały prostą zasadę: umowy umowami, ale kto da więcej, tego umowa zostanie zrealizowana pierwsza. Z podobną pewnością siebie, jaką niedawno wykazały się w związku z amerykańskimi wyborami koncerny Big Tech, przywołującą na myśl kultową scenę z „Misia". Otóż nie damy wam waszych szczepionek w umówionym terminie, bo najpierw zamierzamy obsłużyć Izrael i kraje Dalekiego Wschodu, które przebiły waszą cenę. I co nam zrobicie?

W istocie – co? Do jakiego sądu może Unia Europejska podać takiego na przykład Pfizera? Pojawiła się groźba zablokowania przez państwa europejskie siłą wywozu szczepionki z położonych na ich terenie należących do koncernu wytwórni, ale wygląda to raczej na bezsilne pogróżki.

KTO ZYSKUJE, KTO CZEKA

W tle zmniejszanego i zwiększanego w nieprzewidywalnym tempie strumienia dostaw kłębią się na niewyobrażalną skalę sprzeczne, miliardowe interesy. Wcale nie wszyscy w Unii martwią się, że do krajów, dajmy na to, Europy Środkowej, nie są dostarczane szczepionki, które miały być tam zgodnie z umową dostarczane – bo to wytwarza miejsce na sprzedaż produktów tych firm, które dały się na starcie wyścigu wyprzedzić Pfizerowi i Modernie. Do takich należą francuska szczepionka Sanofi i niemiecki CureVac. W interesie tej pierwszej firmy rząd Francji mocno ograniczał wspólne zamówienia już na samym początku negocjacji wspólnego „szczepionkowego" mechanizmu, determinacja Niemiec w zdobywaniu rynków dla swojego produktu też nie wydaje się mniejsza. To w jakimś sensie wyjaśnia działania tych, którzy szczepionki mają już pozatwierdzane i w produkcji: muszą oni wykorzystać okres niedoboru do wyśrubowania cen, bo za pół roku szczepionek może się nagle zrobić więcej niż chętnych, a nawet przy utrzymaniu popytu cena spadnie. Chyba że uda się przekonać unijne i światowe rządy, że ogłaszane już regularnie nowe odmiany wirusa wymagają kolejnych dawek, powtarzania szczepień albo w ogóle nowej szczepionki – czyli powtórzenia całego dotychczasowego wyścigu.

Cała ta sytuacja, więcej mająca wspólnego z brutalną, imperialną polityką i wojną o ogromne zyski niż z medycyną oraz nauką, sprawiła, że niespodziewanie do puli dopuszczono także rosyjską szczepionkę Sputnik. Wcześniej traktowana lekceważąco, z sugestią, że to żadna szczepionka, tylko jakiś propagandowy humbug, nagle została przez Unię Europejską uznana za równorzędną z później od niej wprowadzonymi do obiegu osiągnięciami przodujących zachodnich koncernów. Być może dlatego, że państwa bałkańskie, zepchnięte w łańcuchu „europejskiej solidarności" na szary koniec, i tak zadecydowały już o jej kupnie. Być może kierując się w tym nie naukową oceną szczepionki, ale potrzebą zapewnienia swym społeczeństwom krzepiącego poczucia, że zostały zaszczepione. Być może zresztą tak samo jest z innymi szczepionkami? Kto z nas jest w stanie zweryfikować informacje mediów, kto zaręczy, że te czy inne badania kliniczne, o których jesteśmy informowani, nie zostały „podkręcone"?

Za mniejszą od założonych skalę szczepień i chaos z zakupem szczepionek nikt w Polsce nie może więc winić polskiego rządu, ale to dla rządzących słaba pociecha. Widać bowiem wyraźnie, że tylko na w miarę szybkim „wyszczepieniu populacji" oparte były nadzieje na uniknięcie potężniejącego z każdym tygodniem społecznego kryzysu. Ba, wydaje się, że budzącą uzasadnione wątpliwości surowość restrykcji, znacznie ponad wcześniejsze normy zakażeń i liczbę zachorowań, przyjęto właśnie pod kątem ochrony akcji intensywnego podawania szczepionek, które nie dotarły.

A przecież nie można w nieskończoność przedłużać tak surowych restrykcji o dwa tygodnie, zapowiadając, że za dwa tygodnie… prawie na pewno przedłuży się je o kolejne tygodnie. W którymś momencie cierpliwość i zaufanie do elit, nie tylko politycznych, także do stojących za nimi profesorów, się skończy. W którym? Tego oczywiście nikt nie wie. Ale wiara, że zanim to nastąpi, będzie można jakoś wyjść z restrykcji z twarzą i bez politycznych strat, odjechała wraz ze szczepionkami, które zamiast do Polski powędrowały pod inne szerokości geograficzne. Nadziei na zakończenie kryzysu nie widać i coraz trudniej liczyć, że uda się ją jakoś Polakom zaszczepić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a50b2fd290

Łukasz Zboralski

Przechorowanie COVID-19 nie oznacza końca kłopotów ze zdrowiem. Ile wiemy dziś o problemach ozdrowieńców? I czy potrafimy sobie z tym radzić?

Alfabet powikłań

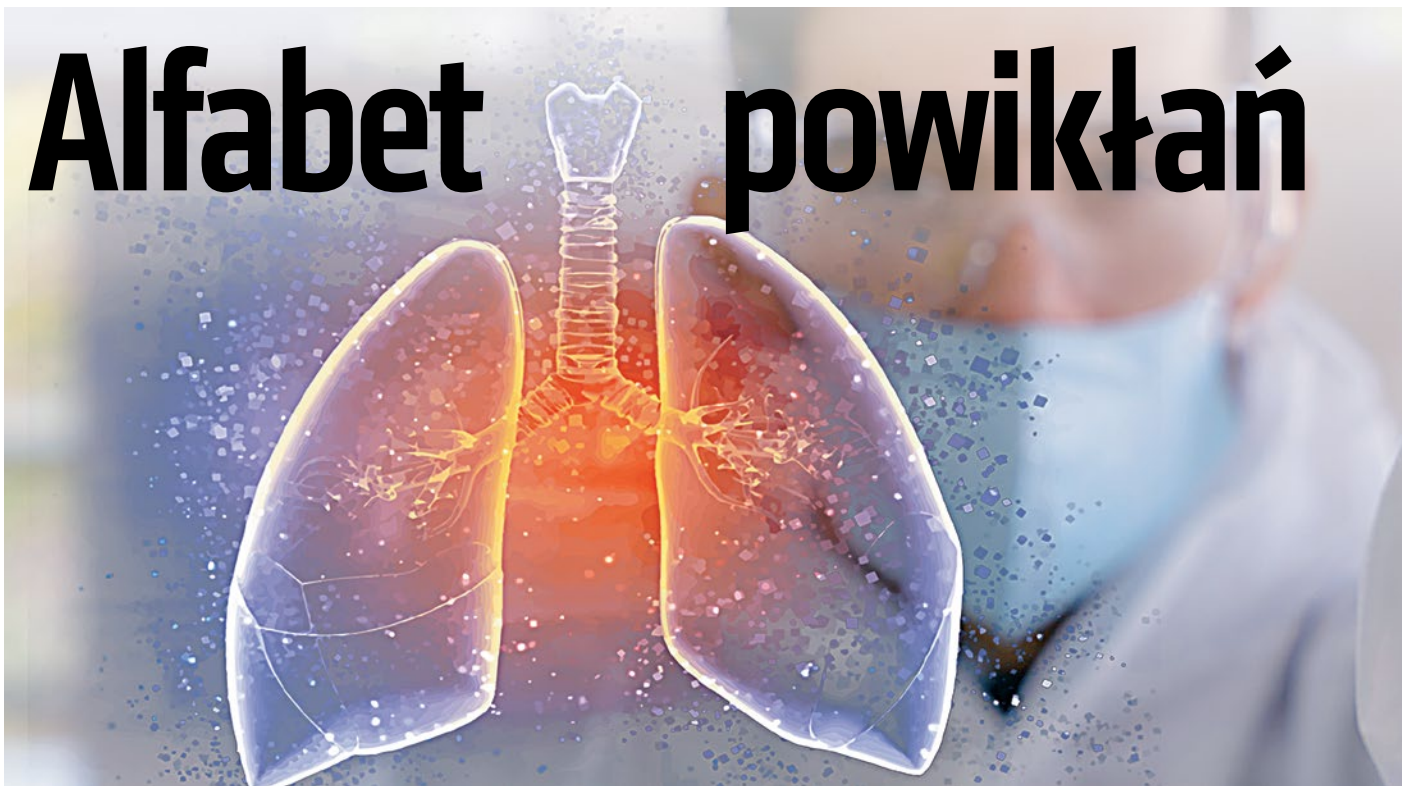

FOT. ADOBE STOCK

Niedługo po tym, jak medycy musieli na szybko szukać prób ratowania ludzi ciężko chorych na nowego koronawirusa, okazało się, że muszą też poszukiwać rozwiązań i systemów opieki dla tych, którzy chorobę mają już za sobą. Wiadomo już dziś, że COVID-19 potrafi zostawić poważny uszczerbek na zdrowiu – nie zawsze wiemy jeszcze, jak bardzo trwały.

Próbowałem sprawdzić, ile w Polsce wiemy dziś na temat problemów ludzi, którzy zostali zdiagnozowani i przechorowali koronawirusa. Pytałem Ministerstwo Zdrowia, czy w ogóle monitorujemy ich losy – czy zbieramy dane o ich stanie zdrowia (a jeśli tak, to z jakimi przypadłościami trafiają potem najczęściej do lekarzy), czy wiemy, jaka wśród nich jest śmiertelność i najczęstsze przyczyny zgonów, czy na szczeblu krajowym powstały wskazówki dla lekarzy podstawowej opieki zdrowotnej – by wiedzieli, na co zwracać uwagę, jeśli z problemami zdrowotnymi zgłaszają się do nich ozdrowieńcy. Chciałem też wiedzieć, ile dziś mamy wyspecjalizowanych miejsc zajmujących się leczeniem powikłań po COVID-19 i czy będą powstawać następne w jakimś systemie. Jednak do zamknięcia tego numeru „Do Rzeczy" resort nie odpowiedział nawet, czy w ogóle gromadzi jakiekolwiek dane w tej sprawie.

Chociaż w Polsce wiedza na ten temat wydaje się na razie tkwić w „czarnej dziurze", to dzięki danym z innych krajów i badaniom medycznym pewne rzeczy udało się już ustalić (choć większość z nich musimy traktować z właściwą wstępnym obserwacjom ostrożnością). Z pewnością jednak powinniśmy zwracać uwagę na własne zdrowie lub bliskich, którzy przeszli COVID-19, i obserwować, czy nie pojawiają się u nich niepokojące symptomy.

Ten alfabet wypadałoby zacząć od litery **N – jak niewiedza.** Należałoby zacząć właśnie od tej litery, bo rok oficjalnego trwania pandemii przynosi wiele obserwacji medycznych i tropów, jednak dopiero naprawdę dłuższa perspektywa czasowa pozwoli nam zdobyć naukową pewność co do tego, jaki ślad u niektórych pacjentów pozostawia koronawirus. To hasło, bardziej optymistycznie, można by było jednak zacząć inaczej: **N – jak niektórzy**. Ponieważ – i to jest dobra wiadomość – większość chorujących na COVID-19 nie ma potem długotrwałych zaburzeń zdrowia. Zła wiadomość to ta, że nawet łagodnie przechodzący chorobę nie są czasem wolni od objawów, które utrzymują się dużo dłużej niż ostra postać choroby.

Naukowcy przyglądają się długoterminowym skutkom COVID-19, biorąc pod uwagę to, co powodowały wcześniej znane wirusy, np. SARS. U wielu z wyleczonych z SARS rozwijał się potem zespół chronicznego zmęczenia – takie osoby bardzo męczył wysiłek fizyczny lub umysłowy i krótki odpoczynek nie przynosił regeneracji.

L – jak „long COVID-19". Termin ten coraz częściej pojawia się w literaturze naukowej. Tak określa się pacjentów, którzy

eprasa.pl a50b2fd290

przeszli już chorobę, ale nadal borykają się z różnymi dolegliwościami o nierozpoznanym podłożu. Nie wiadomo dziś, czy to skutki samego koronawirusa, czy np. dotychczas nierozpoznane dolegliwości, które zostały wykryte dopiero po badaniach związanych z nową chorobą, a które przez nią mogły po prostu się nasilić.

M – jak „mgła mózgowa". To jeden z najbardziej niepokojących pacjentów objaw tzw. long COVID-19. Pod tym

niemedycznym terminem ujmuje się przypadki, gdy ludzie zauważają u siebie dezorientację, kłopoty z pamięcią, problemy w komunikacji, trudności ze skupianiem się. Przyczyny takich stanów u ludzi po przebyciu zarażenia koronawirusem nie są dotąd wyjaśnione. Nie jest też jeszcze jasne, jak dużej grupy to dotyczy. Według dotychczasowych brytyjskich szacunków może to obejmować 20 proc. przechodzących infekcje SARS-CoV-2, według francuskich badań odsetek ten może sięgać nawet 30 proc. Naukowcy nie wiedzą też jeszcze, jak trwałe są takie stany u ludzi. Wskazują, że dochodzenie do zdrowia w takich przypadkach zajmie raczej miesiące niż tygodnie.

O – jak oddychanie. Po przechorowaniu koronawirusa można jeszcze przez długi czas mieć problem z oddychaniem. Dotyczy to zwłaszcza pacjentów, którzy chorując, cierpieli na niewydolność oddechową. Infekcja płuc wywołana przez SARS-CoV-2 wyrządza poważne szkody. Jak wynika z badań płuc ozdrowieńców prowadzonych przez brytyjski The Royal College of Radiologists, ok. 70 proc. po wyzdrowieniu zmaga się z kaszlem, dusznościami i ze zmęczeniem. Okazało się też, co zaobserwowano podczas badań za pomocą zdjęć rentgenowskich i tomografii, że w odróżnieniu od zapaleń płuc wywołanych innymi chorobami jeszcze przez tygodnie obraz płuc pacjentów nie wracał do normy. U części pacjentów obserwowane są utrzymujące się blizny w płucach. Nie ma jeszcze jednoznacznych odpowiedzi, czy blizny są zagrożeniem np. w przypadku innych infekcji płuc i będą zwiększać problemy. Są przypuszczenia, że mogą prowadzić do długotrwałych problemów z oddychaniem.

P – jak choroby psychiczne (oraz neurologiczne). Najnowsza analiza badaczy z Wielkiej Brytanii i USA („Six-month Neurological and Psychiatric Outcomes in 236,379 Survivors of COVID-19") skupiła się na zaburzeniach neurologicznych i psychiatrycznych u osób, które chorowały na COVID-19. Naukowcy porównali dokumentację medyczną 236 379 pacjentów z USA, u których wykryto koronawirusa, i porównali ją z pacjentami przechodzącymi inne infekcje, m.in. grypę. Obserwacje wskazały, że u jednej osoby na osiem, u których wykryto koronawirusa, w ciągu sześciu miesięcy od testu została zdiagnozowana choroba psychiatryczna lub neurologiczna. Zdaniem badaczy możliwe jest, że koronawirus zwiększa ryzyko wystąpienia takich chorób. A są to przypadki poważne. Chodzi bowiem o udar, ostre krwawienie wewnątrz czaszki lub mózgu, demencję, zaburzenia psychotyczne.

S – jak serce. COVID-19 atakuje nie tylko płuca. Jednym z zagrożonych narządów jest serce. Co oczywiste, dużo większe ryzyko stanowi to dla osób, które przed zarażeniem zmagały się już z chorobami układu krążenia. Bardziej podatni na problemy związane z sercem w przypadku SARS-CoV-2 wydają się też mężczyźni (prawdopodobnie ze względu na większe we krwi poziomy enzymów, przez które koronawirus wnika do ludzkich komórek). Koronawirus może bezpośrednio niszczyć komórki serca albo wpływać na jego czynność przez reakcję zapalną, którą też wywołuje. Wśród potencjalnych zaburzeń spowodowanych nową chorobą wymienia się: zaburzenia rytmu serca, kardiomiopatię, wstrząs kardiogenny, a w najcięższych przypadkach – niewydolność serca. Według kanadyjskich kardiologów problem z sercem obserwowany jest aż u jednej trzeciej hospitalizowanych z powodu koronawirusa, ale zdecydowana większość z nich zdrowieje. Niepokojące jest to, że poważne problemy z sercem występują u ludzi, którzy łagodnie przechodzą COVID-19. Badania w USA u sportowców wskazały na utrzymujące się zapalenia serca u tych, którzy przechodzili chorobę łagodnie, dlatego zaplanowano tam badania przesiewowe dla ozdrowieńców wśród sportowców. Z kolei badacze ze szpitala we Frankfurcie, badając stosunkowo młodą grupę lekko chorych na COVID-19, odkryli, że 78 proc. z nich miało nieprawidłowe zmiany w sercach, choć nie zgłaszali żadnych dolegliwości z tym związanych.

***

W Polsce uruchomiono już ośrodki, które zajmą się pomocą pacjentom z tzw. long COVID. Pierwszy ośrodek rehabilitacyjny powstał w Szpitalu MSWiA w Głuchołazach. Tam wdrożony został pilotażowy program rehabilitacji. Skierowanie do tego miejsca pacjentowi zmagającemu się z dolegliwościami po koronawirusie wystawić może każdy lekarz POZ (problemem może być jedynie miejsce – ośrodek ruszył z 62 miejscami, ale ma nadzieję rozbudować oddział tak, by objąć pomocą 100 pacjentów).

Drugi taki ośrodek w kraju uruchomiło Dolnośląskie Centrum Chorób Płuc we Wrocławiu. Ośrodek Kompleksowej Opieki nad Pacjentem po COVID-19 oferować będzie spektrum badań układu oddechowego i serca. Będą też dostępne konsultacje, m.in. z rehabilitantami czy psychologami.

Z kolei władze województwa podlaskiego wraz ze Szpitalem Psychiatrycznym w Suwałkach ogłosiły w grudniu plan budowy ośrodka, który ma się zająć leczeniem pocovidowych zaburzeń psychicznych. Powstać ma w byłej szkole w miejscowości Smolniki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a50b2fd290

Piotr Gociek

„Ikabog" to pierwsza od zakończenia serii o Harrym Potterze książka Joanne K. Rowling dla dzieci. Uważnie przeczytać powinni ją jednak także dorośli

FOT. MICHAEL CRABTREE/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

Przypadki pani Rowling

Usłyszałem przed kilku laty od pewnego wydawcy (dla uściślenia: była to pani wydawca, właścicielka niezbyt wielkiej, lecz prężnie działającej oficyny) teorię spiskową: Joanne K. Rowling tak naprawdę nie istnieje. To znaczy istnieje fizycznie jako osoba, figurantka, twarz genialnego szwindlu, ale nie istnieje jako pisarka, bo któżby uwierzył, że jakaś biedująca samotna matka znienacka wystrzeliła takim hitem jak pierwsza powieść o Harrym Potterze. Kto w takim razie za panią Rowling stoi? W odpowiedzi usłyszałem, że sztab doświadczonych ludzi, którzy na zlecenie wielkich wydawców napisali za nią przygody małego czarodzieja i wykreowali zjawisko, które przyniosło grube miliony. A rzekoma pisarka jest jedynie suto opłacaną twarzą tego szwindlu.

Szczerze zasmuciła mnie powyższa teoria nie dlatego, że w nią uwierzyłem. Smutek stąd, że przecież wydawca powinien być największym kibicem (jeśli nie przyjacielem) pisarza i wierzyć w to, co każdy z nas, piszących, wierzy głęboko i niezachwianie – że każdy, kto za pióro chwyta, nawet jeśli z początku jest ostatnim ciurą, ma w plecaku buławę generalską. I że możliwe jest pisanie światowych bestsellerów, nawet jeśli wcześniej było się jedynie biedującą samotną matką, tatką, bratkiem czy siostrą. A jeszcze smutniejsze było to, że tak krzywdzącą i umniejszającą rolę Rowling plotkę głosiły panie. Jak widać, solidarność feministyczna niespecjalnie działa tam, gdzie w grę wchodzi zazdrość o worki dolarów.

Odstawiwszy między bajki fantastyczną opowieść o spisku, którego frontem miałaby być Rowling, mogę zażartować – do jej sztabu ostatnio dołączył spec od bajek. Powieść „Ikabog", która ukazała się w Polsce nakładem wydawnictwa Media Rodzina, skierowana jest do czytelnika młodszego niż cykl o Potterze. Co mnie uradowało, bo do realistycznych dokonań Rowling jakoś przekonać się nie mogłem. Powieść obyczajowa „Trafny wybór" była nudna i wtórna, za to niemiłosiernie pompowana jako wybitne dzieło współczesnego realizmu (tak było choćby na łamach „Wyborczej"). Z tego, co wiem, niejeden wydawca na świecie przejechał się na tym numerze (także polski wydawca), bo gigantyczne kwoty zaliczek za prawa nijak nie chciały się przełożyć na równie gigantyczną sprzedaż. Czytelnicy sami decydują – na szczęście – no i zdecydowali: spróbowaliśmy, nie smakowało, dziękujemy.

Rowling porzuciła zatem marzenia o zostaniu współczesnym połączeniem Williama Thackeraya i George Eliot, pozostała za to aktywna w popkulturze, lecz sięgnęła po inny gatunek. Pod pseudonimem Robert Galbraith wydaje powieści kryminalne, których bohaterem

eprasa.pl a50b2fd290

jest Cormoran Strike. Przeciętne, moim skromnym zdaniem, ale magia nazwiska prawdziwej autorki (ukrywanego tylko na początku przedsięwzięcia) pomogła w telewizyjnym dealu. Więc kto lubi Rowling w wersji obrazkowej, ten może też detektywa Cormorana oglądać na ekranie telewizora, bo „Zabójcza biel" (serialowa wersja czwartej powieści cyklu) pojawiła się 21 stycznia w HBO GO, a w marcu trafi do HBO kablowego.

Wracając do „Ikaboga": ciągnie wilka do lasu, znaczy Rowling do fantazjowania, i bardzo dobrze, bo sprawdza się w tym najlepiej. Tak jak wiele opowieści dla dzieci także ta powstała na potrzeby prywatne: „Kiedy dwójka moich najmłodszych dzieci była jeszcze bardzo mała, czytałam im tę bajkę na głos, ale nigdy jej nie ukończyłam" – wyznaje Rowling we wstępie do „Ikaboga". Było to po zakończeniu pracy nad serią potterowską, kiedy pisarka przekonana była, że nie chce już więcej wydawać książek dla dzieci. Niedokończony „Ikabog" trafił na strych. „Spędził na nim ponad dziesięć lat i pewnie nadal by tam tkwił, gdyby nie pandemia COVID-19, przez którą miliony dzieci utknęły w domach, nie mogąc chodzić do szkoły ani spotykać się z przyjaciółmi" – tłumaczy dalej Rowling. „Właśnie wtedy podjęłam decyzję o nieodpłatnym udostępnieniu »Ikaboga« w Internecie i zwróceniu się do dzieci z prośbą o zilustrowanie książki".

Efekt jest godny uwagi, ilustracje świetne i zdradzające nie tylko graficzne talenty uczestników konkursu, lecz także to, jak dokładnie się w powieść wczytali. Oczywiście nie dla obrazków sięgnie jednak po „Ikaboga" czytelnik książek Rowling. Co w nim znajdzie? Niewielkie królestwo Coniemiara, rządzone przez króla Alfreda Arcydzielnego, zwanego przez doradców po prostu Fredem. Alfred okazuje się monarchą nie najlepszym, chwiejnym, próżnym, i – co najgorsze – bardzo podatnym na wpływy. Co wykorzystuje para przebrzydłych gagatków w postaci lorda Fujpluja i lorda Oklapa. Bezwstydnie wkradających się w jego łaski, łechcących jego próżność pochwałami i przekonujących, że są jego najlepszymi przyjaciółmi. Na szczęście dla Alfreda – oraz jego poddanych – królestwo rządzi się właściwie samo, bo jest to kraina mlekiem i miodem płynąca. Miasto Baleronburg słynie ze znakomitych szynek i kiełbas, miasto Serwata – z przepysznych serów, a miasto Karafa – z produkcji win. Jedynie „północny kraniec królestwa zajmowały Błota, gdzie rosły pozbawione smaku gumowate grzyby i cienka, sucha trawa, która nadawała się tylko dla nielicznych wyliniałych owiec".

Nie ma jednak takiego raju na ziemi, którego ludzie nie byliby w stanie popsuć – i tu dochodzimy do całkiem dorosłego przesłania powieści „Ikabog". Im większy wpływ na króla mają Fujpluj i Oklap, tym gorzej się dzieje. Monarcha może i jest bardziej fajtłapą niż złym władcą, ale okaże się królem bardzo szkodliwym, kiedy dla zatuszowania własnych szwindli – oraz z czystej chciwości i żądzy władzy – jego doradcy popchną go do czynów, które królowi nie przystoją. Największym szwindlem – i o katastrofalnych skutkach – będzie sterroryzowanie całego królestwa wizją przerażającego ikaboga. Jak informuje Rowling „Słowo »ikabog« wywodzi się od »Ichabod«, co znaczy »niesławny« lub »pozbawiony sławy«". W szczęśliwej krainie Coniemiara ikabog pełnił rolę głównego czarnego luda. „Podobno pożerał dzieci i owce, a czasami nawet dorosłe osoby, gdy nocą podeszły za blisko trzęsawiska.

Nikt nie wiedział, jak wygląda ikabog ani jakie ma zwyczaje, więc każdy mówił co innego. Zdaniem jednych przypominał węża, drugich – smoka albo wilka".

LOGIKA TERRORU

I wszystko pozostawałoby w koszmarach sennych niektórych mieszkańców królestwa Coniemiara (włącznie z nierozwiązaną kwestią: czy ikabog istnieje, czy nie?), gdyby nie to, że zrządzeniem losu czarną legendę potwora spróbują wykorzystać Fujpluj i Oklep, wciągając w całą operację nieświadomego prawdy króla Alfreda. A dalej wszystko toczy się już własną logiką terroru. Rowling we wstępie pyta wprost: „Co mówią o nas potwory, które wymyślamy? Co musi się wydarzyć, żeby zło przejęło kontrolę nad człowiekiem lub nad państwem, i w jaki sposób je pokonać? Dlaczego ludzie decydują się wierzyć w kłamstwa nawet na podstawie słabych dowodów lub mimo ich braku?".

Nie będę objaśniał szczegółów szwindlu z ikabogiem ani odpowiadał na pytanie o realność potwora. Sami odkryjecie. Powieść Rowling jest wartko napisana, wiele w niej niespodziewanych zwrotów akcji, mnóstwo humoru, ale podobnie jak w serii o Potterze czyny mają swoje konsekwencje. Spodziewajcie się więc, że trup będzie padał gęsto, że życie często oddać będą musieli niewinni i że złu przeciwstawi się ledwie garstka mieszkańców Coniemiary. Ciekawa rzecz: ponieważ nieszczęsny król Alfred opisany jest na początku książki jako władca płowowłosy i pochodzący z długiej dynastii królów płowowłosych, anglosascy recenzenci zabrali się na wyścigi do analiz politycznych: z pewnością, pisali, Rowling miała na myśli dwóch blondynów: Donalda Trumpa i Borisa Johnsona. Przypuszczam, że wątpię – skoro bajka powstała 10 lat temu, to trudno analizować ją jako aluzję do czasów późniejszych, poza tym czarnymi charakterami są tu zwłaszcza chciwi doradcy, a nie fatalni przywódcy (o ile ktoś uważa, że Trump i Johnson to przywódcy fatalni, ja jestem daleki od takiej diagnozy).

Sprawa jest poważniejsza, bo Rowling w kostiumie fantazji sygnalizuje ważny problem współczesności, którym zajmują się poważani naukowcy. Socjolog Frank Furedi już w 2005 r. w książce „The Politics of Fear. Beyond Left and Right" pokazywał, jak powszechne jest dziś używanie rozmaitych lęków dla sterowania społeczeństwami, a swoje tezy rozwinął w pracy „How Fear Works: Culture of Fear in the Twenty-First Century" (2018). Zauważmy, że chodzi nie tylko o politykę. Strachem jako narzędziem perswazji posługują się media (sprzedające głównie złe wiadomości), producenci leków (wykorzystujący lęki, które sami podsycają – obejrzyjcie dowolną reklamę farmaceutyków) czy sprzedawcy rozmaitych innych produktów.

Przestrogi Rowling są więc słuszne. Inna sprawa, że proponowane pod koniec recepty na szczęście powszechne – raczej naiwne. A kto chciałby terroryzowanie ikabogiem nieszczęsnych mieszkańców Coniemiary zrównać ze straszeniem przez prawicę najazdem imigrantów, ten niech sobie przypomni, jak lewica straszy nowymi faszystami i populizmem. Dobre bajki mają to do siebie, że nie da się ich jednostronnie zawłaszczyć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a50b2fd290

Jerzy Miziołek

Zakochany Chopin

Obraz Henryka Siemiradzkiego „Koncert Chopina w salonie Radziwiłła", będący od dawna w prywatnych zbiorach w USA, ma być niebawem prezentowany w Polsce. Czy na tej wystawie znajdzie się również niedawno odkryty nieznany portret kompozytora?

Portret ten pojawił się na rynku antykwarycznym Wiednia w maju ubiegłego roku. Jest sygnowany przez Siemiradzkiego i może być bez cienia wątpliwości uważany za dzieło tego wybitnego malarza. Jest szkicem do wizerunku geniusza fortepianu we wspomnianym obrazie w zbiorach amerykańskich. Ukazany w ukończonym obrazie Chopin tylko nieznacznie różni się od wizerunku na „wiedeńskim" szkicu. W wersji ostatecznej nos kompozytora stał się nieco większy i bardziej orli, a spojrzenie bardziej melancholijne, niemal tęskne. Dzieło, będące rodzajem upamiętnienia pobytu Chopina w Poznaniu i Berlinie oraz jego kontaktów z księciem Antonim Radziwiłłem, namiestnikiem Wielkiego Księstwa Poznańskiego, kryje tajemnicę, którą w niniejszej narracji spróbujemy odsłonić.

OBRAZ ZAGADKA

Ten znacznych wymiarów obraz, odnoszący się do zagranicznej podróży kompozytora, zamówił u Siemiradzkiego w 1887 r. Karol Kozłowski, poznański księgarz, wydawca i literat. Reprodukowano go w wielu książkach i artykułach poświęconych Chopinowi i zwykle interpretowano jako „Koncert w salonie Radziwiłła w 1829 roku" w Poznaniu albo w Berlinie.

Siemiradzki umieścił swoją malarską opowieść w scenerii bogatego, arystokratycznego salonu z pięknym kominkiem, bukietami kwiatów, portretami antenatów, ogromnym wzorzystym dywanem i ustawionym w centrum fortepianem. Widoczne na ścianie portrety ukazują Annę z Mycielskich Radziwiłłową i Karola Radziwiłła „Panie Kochanku". Wokół instrumentu, przy którym zasiadł Chopin, zgromadziło się grono słuchaczy, pośród nich siedzący w fotelu książę Radziwiłł i wpatrzone w muzyka jego dwie córki – Eliza, w białej sukni, i Wanda, oraz księżna Luiza Radziwiłłowa, słynny uczony Aleksander von Humboldt i inni. Zauroczenie muzyką, będące udziałem wszystkich słuchaczy, jest szczególne w przypadku Elizy. Wystawienie obrazu w warszawskiej Zachęcie w grudniu 1887 r. wzbudziło wiele sprzecznych opinii – od zachwytu, z powodu uznania go za jedno z najlepszych dzieł sztuki polskiej, do surowej krytyki z powodu rzekomego „szablonowego, konwencjonalnego ujęcia postaci i zachwiania perspektywy".

Jakie jest główne przesłanie obrazu? Czy ukazuje koncert w Poznaniu, czy może raczej w Berlinie? W rozwiązaniu tej zagadki pomoże nam pewien tekst wydany nieco ponad 10 lat przed powstaniem płótna. Wcześniej wypada przybliżyć postać księcia Antoniego Radziwiłła, co należy uczynić, tym bardziej że Chopin wielokrotnie spotykał się z nim nie tylko w jego włościach w Poznańskiem, lecz także w Warszawie, co nasz kompozytor odnotował w kilku listach. Ponadto Franciszek Liszt – bezpodstawnie – napisał w biografii Chopina z 1852 r., że Radziwiłł otaczał kompozytora opieką finansową, która „dała młodemu artyście nieoceniony skarb wspaniałej, wszechstronnej edukacji".

CHOPIN I RADZIWIŁŁOWIE

Antoni Henryk Radziwiłł (1775–1833) był synem Michała Hieronima i Heleny z Przeździeckich, m.in. właścicieli Nieborowa i Arkadii koło Łowicza. Młode lata spędził głównie w Berlinie, a potem studiował na Uniwersytecie w Getyndze, co spowodowało jego propruską postawę. W 1796 r. poślubił Luizę Hohenzollern (1770–1836), córkę Augusta Ferdynanda, brata Fryderyka II Wielkiego – króla Prus. Uczestniczył w kongresie wiedeńskim, w wyniku którego utworzono nie tylko Królestwo Polskie, lecz także Wielkie Księstwo Poznańskie; Radziwiłł został jego namiestnikiem w maju 1815 r. i pozostał na tym stanowisku do stycznia

eprasa.pl a50b2fd290

H. Siemiradzki, „Koncert Chopina w salonie ks. Radziwiłła", 1887 r.; z lewej: H. Siemiradzki, „Studium do wizerunku Chopina", 1887 r.

FOT. ARCHIWUM AUTORA, DOMENA PUBLICZNA

1833 r. Został zdymisjonowany m.in. dlatego, że jego brat Michał Gedeon był jednym z wodzów naczelnych powstania listopadowego. Książę namiestnik – jednocześnie uzdolniony muzyk i kompozytor, m.in. twórca opery „Faust" – zmarł kilka miesięcy po dymisji. Wiadomo, że w swych rezydencjach w Berlinie, Poznaniu i Antoninie prowadził salony otwarte dla arystokracji, uczonych i przedstawicieli świata sztuki, odbywały się w nich koncerty i spektakle teatralne. Chopin poznał księcia namiestnika w maju 1825 r. w Warszawie, w 1829 r. gościł u niego w Antoninie. Nie spotkał jednak Radziwiłła w Berlinie w czasie podróży do tego miasta we wrześniu 1828 r., gdy towarzyszył Feliksowi Jarockiemu, profesorowi Uniwersytetu Warszawskiego, udającemu się na zorganizowany tam przez Humboldta kongres naukowy.

„Rad bym – pisał Chopin 9 września 1828 r. – tam [w Berlinie] Radziwiłła poznańskiego zastać, ten za pan brat z Spontinim". Zaś 14 listopada 1829 r. donosił: „list […] odebrałem w Antoninie u Radziwiłła. Byłem tam tydzień, nie uwierzysz, jak mi u niego dobrze było […], byłbym tam siedział, dopóki by mię nie wypędzono, ale mój Koncert jeszcze nie skończony przynaglił mię do opuszczenia tego raju. Były tam dwie Ewy [Eliza i Wanda], młode księżniczki, nadzwyczaj uprzejme i dobre, muzykalne, czułe istoty. On, wiesz, jak lubi muzykę, pokazywał mi swego »Fausta« i wiele rzeczy znalazłem tak dobrze pomyślanych, nawet genialnych, żem się nigdy po namiestniku tego spodziewać nie mógł […] napisałem u niego »Alla polacca« z wiolonceellą […] x-żna Radziwiłłowa życzy, żebym był w maju w Berlinie". Jednakże Chopin nie pojechał tam ani w roku 1830, ani w drodze do Paryża w 1831 r., bo zaproszenie księcia namiestnika wydało mu się nie całkiem szczere, pomimo sentymentu do Elizy, uzdolnionej rysowniczki, która go dwa razy sportretowała.

ODCZYTANIE OBRAZU

Henryk F. Nowaczyk w artykule „Koncert, którego nie było" wykazał, że Chopin nie mógł koncertować w Poznaniu w 1828 r. w drodze powrotnej z Berlina. Nie mógł też wystąpić w salonie Radziwiłła w stolicy Prus ani w 1828 r. (namiestnik był tam nieobecny), ani w 1829 r., bo wówczas nie było tam Chopina. Badacz zasugerował, że ten oto fragment książki Marcelego Szulca, z 1873 r. pt. „Fryderyk Chopin i utwory jego muzyczne", zainspirował Siemiradzkiego: „Na ten rok zapewne (1828), ale nie rychlej, przypada bytność naszego artysty u swego wspaniałomyślnego opiekuna. Świadkowie tych odwiedzin opowiadali nam, jak to podówczas była biesiada muzyczna w domu księcia namiestnika. Młody wirtuoz wykonał wraz z księciem swój polonez, grywał sonaty Beethovena, Hummla, Mozarta, na dwie i cztery ręce i olśnił, oczarował, zachwycił wszystkich zdumiewającym darem improwizacji".

Jednakże przytoczony cytat nie wyjaśnia tego, co w obrazie jest najważniejsze – wzajemnego zauroczenia Chopina i księżniczki Elizy. Źródłem literackim obrazu jest rzeczywiście książka Marcelego Szulca, ale w wersji z dodatkiem do drugiego jej wydania w 1877 r. Dzieło Szulca, choć zawiera wielkie pokłady entuzjazmu dla Chopina i jego muzyki, jest zbudowane na przekazach anegdotycznych i przechodzi niekiedy w sferę poetyckiej wyobraźni. Przywołajmy fragment wspomnianego dodatku z 1877 r.: „W Berlinie Fryderyk Chopin grał w salonie ks. Antoniego Radziwiłła. Nie był to już nieśmiały chłopiec, ale poważny młodzieniec, wschodząca gwiazda muzyczna; milczenie zaległo salon – słuchano »Nokturna« Chopina, które nazwał »Marzenia nocy«. Na pokojach księcia zebrały się znakomitości rodu i ducha. Widziano tam starego Zeltera, Humboldta, Bernarda Kleina, Ludwika Bergera, Varhagena, a między nimi jak rozproszone kwiaty siedziały tu i ówdzie czarujące kobiety. Obok fortepianu stała powabna dziewica, z pochyloną główką, w skromnej białej sukience. Na różanych, w pół rozwartych usteczkach błąkał się marzący uśmiech, w twarzyczce czytać było można rozrzewnienie i zachwyt; oczy przysłonięte długimi rzęsami, śledziły poruszenia ręki mistrza, grającego ostatni takt »Nokturnu c-moll«. Postać przypominała kształty białej rozkwitającej róży. Była to księżniczka Elżbieta [Eliza] Radziwiłłówna. Księżniczka była pierwszą z dam, która uczuła czary muzyki i wielbiła jego utwory. »Nigdy nie słyszałam podobnej melodii, coś więcej chwytającego za serce«, powtarzała nieustannie; Chopin też w Berlinie nie znalazł gorliwszej wielbicielki swego talentu. Błogo dni płynęły. Nadeszła jednak chwila rozstania, Fryderyk odjechał do Francji. Księżniczka na odjezdnym, podając mu białą różę, szepnęła: »Do widzenia«. Niestety – w niespełna dwa lata na trumnie ojca i córki złożono wieńce z róż białych". Mowa jest zatem o 1831 r., gdyż Eliza zmarła w 1833 r.

Uważna lektura cytowanego tekstu, a zwłaszcza słowa: „Fryderyk Chopin grał w salonie ks. Antoniego Radziwiłła… Nie był to już nieśmiały chłopiec, ale poważny młodzieniec… widziano tam starego Zeltera, Humboldta, Bernarda Kleina… a między nimi… tu i ówdzie czarujące kobiety… obok fortepianu stała powabna dziewica, z pochyloną główką, w skromnej białej sukience" nie pozostawiają wątpliwości, że dzieło zamówione przez Kozłowskiego jest jego niezwykle udaną wizualizacją. W ten sposób „berliński" obraz ukazujący „koncert, którego nie było" stał się znakomitym upamiętnieniem kontaktów młodego Chopina z księciem Radziwiłłem i jego utalentowaną, przedwcześnie zmarłą córką, oraz wizyt w Poznaniu i Berlinie. Płótno Siemiradzkiego ukazuje nie tylko potęgę muzyki, lecz także siłę miłosnego, wzajemnego zauroczenia kompozytora i księżniczki, co jest rodzajem licentia poetica Siemiradzkiego. Szkic z wiedeńskiej aukcji dobrze obrazuje proces zmagania się malarza z wizją tego zauroczenia na twarzy kompozytora i przypomina o ogromnie rosnącym w drugiej połowie XIX w. jego kulcie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a50b2fd290

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Na Dziki Wschód

★★★★★★

REŻ. MIKAEL HÅFSTRÖM
„W STREFIE WOJNY" („OUTSIDE THE WIRE")
USA 2021

wyst. Anthony Mackie, Damson Idris, Emily Beecham

W roku 2036 w Europie Wschodniej wybuchnie „wojna domowa" – rosyjscy bandyci atakować będą Ukrainę. Nie wiem, czy twórcy filmu „W strefie wojny" oglądają wiadomości w telewizji, ale rosyjscy bandyci już od kilku lat atakują Ukrainę i nie jest to żadna wojna domowa, tylko zwykła agresja Rosji wobec tego państwa. Z tego jednak thrillera SF nikt robić nie zamierzał, więc dostajemy jeszcze w prezencie żołnierzy roboty, epidemię cholery i strefę zdemilitaryzowaną, której strzegą amerykańscy żołnierze (choć nie do końca wiemy, gdzie się ona właściwie znajduje).

Główny bohater filmu to młody porucznik Harp (Damson Idris), operator dronów bojowych, za karę wysłany do jednostki frontowej, gdzie trafia pod rozkazy kapitana Leo (Anthony Mackie), który jest w istocie cyborgiem najnowszej generacji. Razem wyruszają tropić Victora Kovala, króla złych rebeliantów, który ma wielkie plany – marzy mu się broń atomowa, a tej ponoć na Ukrainie skolko ugodno. Aby umilić amerykańskim bohaterom podróż, scenarzyści przypominają sobie, że Europa Wschodnia to kraina pięknych kobiet, więc stawiają na ich drodze dziewczę imieniem Sofiya, dowodzące pokojowymi i dobrymi rebeliantami. Niestety zamiast ukraińskiej modelki rolę tę otrzymuje Emily Beecham, aktorka urodzona w Manchesterze. Uwaga! Victor Koval to jedno, ale roboty (zwłaszcza jeden) też mają własne niecne plany.

Wszystko to nie zdziwiłoby mnie, gdybym natknął się na tę produkcję 30 lat temu w wypożyczalni kaset wideo z kolorowym chłamem, niestety mówimy tu o całkiem kosztownej produkcji Netflixa promowanej jako jeden z flagowych produktów serwisu. W dodatku z całkiem niezłą obsadą, wszak Beecham dwa lata temu została uznana za najlepszą aktorkę w Cannes, a Anthony Mackie to nie tylko Falcon z komisowych superprodukcji Marvela, lecz także gość, który zagrał w „The Hurt Locker. W pułapce wojny" w reżyserii Kathryn Bigelow czy „Za wszelką cenę" Eastwooda. Nad smutnym poziomem wielu produkcji Netflixa już kilka razy załamywaliśmy ręce. Zanim uczynimy to i nad wiedzą twórców „W strefie wojny" o naszej części Europy, warto sobie uświadomić, że amerykańscy dziennikarze i sporo tamtejszych polityków wie o niej niewiele więcej. No dobrze, ale reżyserem jest Szwed. Cóż, widać szybko się do amerykańskich standardów przystosował. ©℗

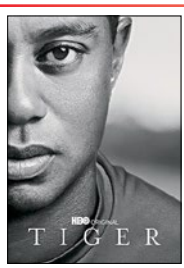

NOWE SERIALE: „TIGER"

Chwała i skandale, czyli dzieje Tigera Woodsa, golfisty i kobieciarza. To ostatnie zwykle smutno się kończy, gdy delikwent jest żonaty. Media i fani wykreowali Woodsa na wzór wszelkich cnót, tym boleśniejszy był jego upadek, gdy romanse ujawnione zostały przez „National Enquirer", a potem inne tytuły. Dwuczęściowy dokument dostępny już w HBO GO (w marcu w HBO) zrobiony jest zręcznie, dziwi jednak robienie czarnego luda z prasy brukowej – jestem przekonany, że gdyby chodziło o Trumpa, to za tę samą dociekliwość byłaby wychwalana. ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***reż. Matthew Hamachek „Tiger", USA 2021, HBO GO***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *reż. Sung-hee Jo* ***„Space Sweepers" („Seungriho")****, Korea Południowa 2021*
- *reż. Adam Mason* ***„Songbird. Rozdzieleni" („Songbird")****, USA 2020*
- *sezon 1* ***„Snoopy i jego show" („The Snoopy Show")****, USA 2021*

eprasa.pl a50b2fd290

Ty wierzysz mu?

Może to się wydawać niewiarygodne, ale pierwsze ekranizacje „Halki" były nieme. Taper grał jak umiał wiązankę moniuszkowskich przebojów albo muzyka leciała z płyty. Film z 1929 r. był przedsięwzięciem karkołomnym: Konstanty Megrelski chciał zrobić z opery narodowej melodramat z silnymi akcentami religijnymi, których w oryginalnym libretcie nie uświadczysz. Dołożono też postać młynarza, by reżyser mógł stanąć po drugiej stronie kamery u boku przyszłej żony. Zorika Szymańska gra bez teatralnej maniery, co dziś cenimy, ale wtedy uważano to za tożsame z brakiem aktorskiego talentu.

Miłośnicy belcanta takiej „Halki" nie kupili, więc trzy lata później producent ją połowicznie udźwiękowił, opłacając chór opery warszawskiej i młodszego brata Jana Kiepury. Cyfrowa rekonstrukcja filmu wydobyła na wierzch jego największy walor – zdjęcia. Austriacki operator Hans Androschin potraktował historię góralki, uwiedzionej i porzuconej przez panicza, jako pretekst do eksponowania urody pienińsko-tatrzańskich krajobrazów. Dodatkowa gwiazdka należy się odrestaurowanej „Halce" za muzykę Jerzego Rogiewicza, w której – dosłownie – słychać echo arii z 1932 r. Bonusem jest polsko-angielska książeczka z esejami o trudnej miłości kina do opery w ogóle, a do dzieła Moniuszki w szczególności. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆

REŻ. KONSTANTY MEGRELSKI
„HALKA"
POLSKA
1929/1932

wyst. Zorika Szymańska, Władysław Czerski, Harry Cort

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

CHŁOPCY Z KRIEGSMARINE

★★★★☆☆

REŻ. GEORG GRILL, SVEN FEMERLING
„OKRĘT. HISTORIA PRZEKLĘTEGO FILMU"
(„DAS BOOT. WELTERFOLG AUS DER TIEFE")
NIEMCY 2020

Twórcy najlepszego (a na pewno najbardziej klaustrofobicznego) filmu w dziejach niemieckiej kinematografii prawie przez godzinę snują kombatanckie opowieści. W tym roku minie 40 lat od premiery „Okrętu", lecz Amerykanom wciąż nie udało się nakręcić czegoś równie realistycznego i trzymającego za gardło. Ekranizacja powieści Buchheima była drogą przez mękę. Obsada, złożona w większości z 20-letnich debiutantów, musiała nurzać się w brudnej i lodowatej wodzie. Jeszcze gorzej miał kaskader, który spędził pięć tygodni na wzburzonym morzu, wymiotując i próbując sterować pomniejszonym modelem U-Boota. Niemcy długo oswajali się z „Okrętem". Podwodniacy-weterani odsądzali pisarza od czci i wiary, ten pomstował na filmowców. Nawet sześć nominacji do Oscarów nie zamknęło ust krytykom. „Okręt" jest heroiczny i zarazem antywojenny. W Hollywood Petersen już nie popisał się takim wyczuciem.

POCHWAŁA KASTY

★★★★☆☆

REŻ. CLINT EASTWOOD
„RICHARD JEWELL"
USA 2019

wyst. Paul Walter Hauser, Sam Rockwell, Kathy Bates

Clinta Eastwooda chyba irytują oderwane od życia superprodukcje o pięknych pannach obdarzonych nadludzkimi mocami. Nakręcił bowiem film o niezbyt lotnym brzydalu, który w krytycznym momencie jako jedyny umiał stanąć na wysokości zadania. Historia jest jak najbardziej prawdziwa. Richard Jewell zapobiegł masakrze podczas koncertu w Atlancie. Media i służby, pragnące przykryć swą nieudolność, bardziej niż herosa potrzebowały jednak zbrodniarza. Szaraczek, przeciw któremu zmówią się takie potęgi, gdzie indziej byłby zgubiony, ale nie w Ameryce. Tu najwyższą władzą jest sąd. Puszysty Hauser zagrał rolę życia, a Eastwood udowodnił, że wciąż potrafi pokazać Amerykę prawdziwszą od tej, którą zwykle oglądamy w kinie. Zamieszkaną przez ludzi, którzy pod zdaniem: „Jeśli rząd twierdzi, że ktoś jest winny, to wiadomo, że jest dokładnie na odwrót" podpisują się obiema rękami. ©℗ ***recenzuje Wiesław Chełminiak***

GRA TYGODNIA: „MEDIUM"

★★★★★☆

Tajemnicze morderstwo dziecka, ponura atmosfera, wszechobecna tajemnica i poczucie więzi z niematerialną częścią świata. „Medium" od pierwszych scen wprowadza gracza w klimat psychologicznego horroru niczym z najlepszych odsłon „Silent Hill". W produkcji polskiego studia wcielamy się w postać Marianne, która potrafi poruszać się między rzeczywistościami żywych i umarłych, dzięki czemu rozgrywka często toczy się na podzielonym ekranie. Co ciekawe, akcja dzieje się w Krakowie oraz w upadłym ośrodku wypoczynkowym Niwa i jest dość mocno osadzona w polskiej kulturze. Grafika momentami niczym z obrazów Beksińskiego. ©℗

Marcin Makowski

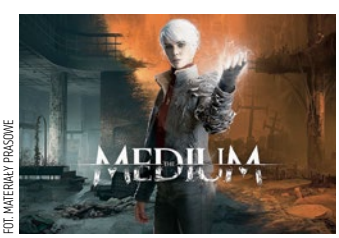

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *Przygodowa/TPP*
- ***Platforma:*** *XSX/PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Bloober Team*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *18+*

eprasa.pl a50b2fd290

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Koncert konserwatysty

Zawsze podejrzewałem, że muzykę stworzył Pan Bóg i jest ona jednym z najbardziej udanych jego dzieł, w przeciwieństwie do człowieka, który zupełnie się Stwórcy nie udał. Co prawda, najwspanialsze utwory muzyczne skomponowali ludzie, a nie ktokolwiek inny, ale jest to tylko jeden z paradoksów, w jakie obfituje nasze życie.

Nasłuchałem się też muzyki co niemiara, w zdecydowanej większości marnej, byle jakiej czy wręcz beznadziejnej, ale to tylko wzmacniało we mnie przekonanie, że to, co w niej bezdyskusyjnie piękne i ponadczasowe, nie mogłoby powstać, gdyby nie dotknięcie Boskiej ręki. Ale też słuchałem wszystkiego jak leci, dźwięki klasyki mieszały mi się z jazzem, arie operowe z rockiem, a popowe hity z oratoriami i symfoniami. Co więcej, wydawało mi się, że z mojej strony jest to przejaw właściwego podejścia do sztuki, otwarte, wyzbyte uprzedzeń i przekonań o wyższości jednego gatunku muzycznego nad drugim. A teraz z goryczą myślę, dlaczego na eseistykę Rogera Scrutona trafiłem tak późno, a wcześniej słyszane uwagi o marnowaniu czasu i deformowaniu gustu na „warszawskich jesieniach", festiwalach jazzowych i rockowych spędach kwitowałem wzruszeniem ramion.

A przecież świadomy byłem tego, co zawarł w tytule swojej książki sir Roger Scruton, zmarły w zeszłym roku, w wieku 75 lat, świetny brytyjski filozof, pisarz, a i kompozytor, że muzyka naprawdę jest ważna.

Przy czym, na co zwraca uwagę we wprowadzającym do tej książki słowie skromnie nazwanym „Od czytelnika" prof. Krzysztof Koehler, nie jest to praca traktująca wyłącznie o muzyce, a „traktat o kulturze europejskiej, o jej historii, a przede wszystkim upadku, który – zdaniem brytyjskiego arcykonserwatysty – rozgrywa się na naszych oczach".

FOT. PETE HELME/WIKIPEDIA

Być może ton Scrutona, iście kasandryczny, nie każdemu musi przypaść do gustu. Ale, bądźmy szczerzy, komu poza bezpośrednio zainteresowanymi (przede wszystkim finansowo!) podobają się niemające końca reżyserskie eksperymenty niszczące operę? To ich wymagania finansowe sprawiają, że pójście do teatru operowego równa się poważnemu nadszarpnięciu domowych funduszy, a już na miejscu gorszą nas skandalizujące inscenizacje, za które sami – także jako podatnicy – zapłaciliśmy podwójnie. Urzędnicy hojnie dotują bowiem spektakle „przecierające nowe ścieżki", byle tylko nie zostać posądzonym o hołdowanie tradycyjnym gustom i zakrzyczanym przez jadących na tym samym finansowym wózku usłużnych i zakłamanych do szpiku kości krytyków. O tym, że sytuacja w teatrze jest analogiczna, nie ma potrzeby się rozwodzić, a lepiej zacytować Scrutona:

Wszystkie teatry, galerie, restauracje, miejsca rozrywki publicznej oferują nieskazitelną postmodernistyczną papkę, skierowaną do ludzi pozbawionych własnego zdania. Telewizja w poziomie głupoty spadła poniżej horyzontu mieszczańskiego widzenia i nawet kościoły odrzucają wartości rodzinne i małżeńskie. A jednak bez burżuazji świat sztuki pozbawiony jest odbiorcy, skazany na powtarzanie wyświechtanych gestów buntu kierowanych do publiczności, która dawno temu utraciła już zdolność do zgorszenia".

Twórca między innymi, przypomnę, „Oblicza Boga", nie znajduje innej możliwości poprawy sytuacji, jak edukacja kulturalna prowadzona od wczesnych lat szkolnych. Prowadzona sensownie i tu zwracam uwagę na to, że w rekomendowanej książce trafiamy na argumenty, a nie na odrzucanie czegoś tylko dlatego, że autorowi tak się wydaje.

W 1993 r. prof. Scruton wykładał na Boston University: „Gdy tylko wprowadziłem ogólnie temat [filozofia muzyki – przyp. K.M.] i puściłem nagranie uwertury „Hebrydy" Mendelssohna, zorientowałem się, w jak trudnej sytuacji się znalazłem. Na około trzydziestu studentów tylko dwójka słyszała kiedyś ten utwór – utwór, który ja i moi szkolni koledzy z rejonowej podstawówki w Anglii znaliśmy na pamięć w wieku lat szesnastu! Z pozostałych studentów jedynie połowa przyznała, że słucha muzyki klasycznej, a niemal wszyscy zakładali, że będę prowadził dyskusję na temat hip-hopu, heavy metalu i ówczesnych zespołów popowych, takich jak U2, Guns N' Roses i AC/DC".

A jednak… „studenci szybko zaczęli rozpoznawać różnicę pomiędzy standardowym wejściem piosenki pop, męczącym nabiciem perkusji na cztery czwarte – z elastyczną, synkopowaną melodią wprowadzoną a cappella bez podkładu perkusyjnego w »Heartbreak Hotel« Elvisa". Czyżby więc i w tej, z definicji gorszej muzyce, znaleźć czasem można coś wartościowego? Tak czy inaczej, książkę Rogera Scrutona trzeba przeczytać. Koniecznie! ©℗

★★★★★★
ROGER SCRUTON
„MUZYKA JEST WAŻNA"
FUNDACJA INCANTO, KRAKÓW 2020

eprasa.pl a50b2fd290

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Zapomniany język

Widzę w tej książce symboliczne podsumowanie długiej i bezcennej pracy wypełniającej całe życie wybitnego francuskiego mediewisty. Jacques Le Goff (1924–2014) we wstępie do swej ostatniej książki wyjaśnia, dlaczego postanowił zająć się tak obszernie analizą „Złotej legendy" Jakuba de Voragine. Jej autor, włoski kaznodzieja i błogosławiony Kościoła, „pragnie udowodnić, że jedynie chrześcijaństwo potrafiło nadać strukturę czasowi i uświęcić czas ziemskiego życia człowieka, by poprowadzić ludzkość do zbawienia". Trzynastowieczny zbiór rozważań i przypowieści jawi się Le Goffowi jako nowatorski, znamienny i godny przypomnienia szczególnie dziś. A przecież on sam poświęcił życie przybliżeniu średniowiecza współczesnym, przypomnienia, jak głęboko zanurzone są w nim korzenie współczesności – wbrew nieprawdziwej, czarnej legendzie wieków rzekomo ciemnych.

Jak wszystkie książki Le Goffa, także ta łączy świetnie głęboką znajomość tematu z atrakcyjnością i prostotą stylu. Francuski historyk jest ogromnym erudytą – tak jak i bohater jego opowieści, określony w „Czasie uświęconym" (słusznie) „jednym z największych umysłów średniowiecza". Lektura tej pracy jest doświadczeniem niezwykle wzbogacającym. I po samą „Złotą legendę" możemy potem sięgnąć – wydano ją w ostatnim półwieczu w Polsce bodaj trzykrotnie, inna sprawa, że przydałoby się wznowienie.

Podczas gdy Le Goff przypomina o naszych korzeniach, Lech Majewski w „Ukrytym języku symboli" zasmucony jest tym, jak bardzo o nich zapominamy. „Nie uczymy się symboli. Wykpiliśmy je. Odwracamy się od spuścizny poprzednich cywilizacji, od opowieści o naszej egzystencji, o rozpiętości, jaką mogłoby mieć nasze życie, gdybyśmy chcieli" – pisze we wstępie reżyser. Jego nowa książka to zbiór notatek, aforyzmów, „esencji", jak nazywa je sam autor, o wszystkim, co Majewskiego ciekawi, inspiruje, napędza, a także i tego, z czym się często nie zgadza. Są tu i analizy wybranych dzieł malarstwa, są zdania o filmach, o świętych, o nauce. Filozoficzne próby, gorzkie napomnienia, czasem zabawne paradoksy (dlaczego za jedzenie płacimy po obiedzie, a za film – przed wejściem do kina?). Książka Majewskiego to zaproszenie do wspólnych poszukiwań, bo znajdzie tylko ten, kto szuka. ©℗

★★★★★★

JACQUES LE GOFF „CZAS UŚWIĘCONY" OW VOLUMEN

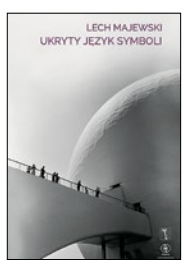

★★★★★★

LECH MAJEWSKI „UKRYTY JĘZYK SYMBOLI" REBIS

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Podtytuł „Jak Putin eliminuje swoich przeciwników" przypomina o krwi na rękach rosyjskiego prezydenta. Autorka wylicza jego winy, ale pierwsza nie jest, bo wcześniej robili to choćby Litwinienko czy nasz Grzegorz Kuczyński.

HEIDI BLAKE „KRWAWE POZDROWIENIA Z ROSJI" W.A.B.

Słynny traktat z kanonu taoizmu (znany u nas także jako „Księga Drogi i Cnoty") w nowej interpretacji znakomitej amerykańskiej pisarki, autorki „Ziemiomorza" i „Lewej ręki ciemności". Edycja dwujęzyczna polsko-angielska.

LAO TZU, URSULA K. LE GUIN „KSIĘGA DROGI I DOBRA" PRÓSZYŃSKI I S-KA

Odpowiedź na pytanie: „O co chodzi z tym całym zamieszaniem wokół niespodziewanego hitu Netflixa?". Pierwszy tom popularnej dziewięciotomowej serii obyczajowej, której akcja rozgrywa się w czasach brytyjskiej regencji.

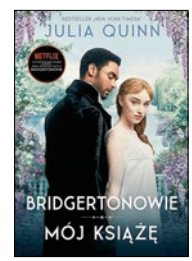

JULIA QUINN „BRIDGERTONOWIE. MÓJ KSIĄŻĘ" ZYSK I S-KA

Trzy baśnie klasyka japońskiej literatury, nieznanego za życia, popularnego po śmierci. Przypowieści o potrzebie czynienia dobra mimo przeciwności losu. Utwór tytułowy to arcydzieło literatury nie tylko dla dzieci. ©℗

poleca Piotr Gociek

KENJI MIYAZAWA „NOC NA KOLEI GALAKTYCZNEJ I INNE BAŚNIE" WYDAWNICTWO KIRIN

KOMIKS TYGODNIA: „CORTO MALTESE. EKWATORIA"

Melancholijny i szlachetny obieżyświat Corto Maltese to dziecię wyobraźni i talentu Hugo Pratta, włoskiego mistrza komiksu (1927–1995). Cykl o przygodach Corto to imponujące połączenie przygody, historii i fantazji, a zarazem dzieło bardzo wysmakowane, odwołujące się do klasycznej literatury czy mitów. „Ekwatoria" to tom 14. serii, ale drugi rysowany już nie przez Pratta, lecz hiszpański duet Canales/Pellejero. Perfekcyjna kontynuacja, zachowująca wszelkie cechy oryginału, prowadzi nas od Wenecji do Aleksandrii i od Zanzibaru do Jeziora Wiktorii. ©℗

poleca Piotr Gociek

JUAN DIAZ CANALES, RUBEN PELLEJERO „CORTO MALTESE. EKWATORIA" EGMONT 2021

eprasa.pl a50b2fd290

FOT. ANNA POWAŁOWSKA

Słodkiego, miłego...

4 lipca 1976 r. w audycji „Bałtyckie Forum Muzyczne" na antenie Radia Gdańsk wystąpił na żywo zespół, który wchodził do studia jako Akcenty, ale ostatnie piosenki i bis (a także tysiące koncertów przez następne dekady) zagrał już jako KOMBI. Nazwa Akcenty, jak ochrzcił kapelę założyciel zespołu Sławomir Łosowski w 1969 r., przejadła się mu dość szybko, jej zmianę zasugerowała też Bałtycka Agencja Artystyczna w Sopocie, z którą w 1975 r. rozpoczął współpracę. Poszukując nazwy, Łosowski na próbie w swoim domu poprosił muzyków i menedżera, aby każdy zaproponował nową nazwę. KOMBI – rzucił wtedy nieżyjący już perkusista Jan Pluta. Plebiscyt zorganizowany podczas wspomnianej radiowej audycji nie przyniósł lepszej propozycji i muzycy opuszczali studio właśnie jako KOMBI.

Za pięć miesięcy minie zatem 45 lat, od kiedy Akcenty przekształciły się w KOMBI. Taki jubileusz nie mógł obyć się bez albumu. Zespół skomponował i nagrał go w ubiegłym roku. Nawiązał przy tej okazji współpracę z kompozytorką i tekściarką Patrycją Kosiarkiewicz. Miała napisać tekst do jednej piosenki, ale jej pióro zatrzymało się dopiero po sześciu utworach. Pierwszym singlem z nadchodzącej płyty jest na wskroś kombiowy, elektroniczny, przepełniony brzmieniem syntezatorów „Minerał życia". Album ukaże się w tym roku, poprzedzony kolejnymi singlami.

Niedawno indywidualny jubileusz świętował Sławomir Łosowski. Pół wieku jego działalności artystycznej KOMBI podsumowało w 2019 r. płytą „Bez ograniczeń energii 5-10-50" z przekrojową tracklistą, na której znalazły się największe hity zespołu we współczesnych wykonach, np. „Słodkiego miłego życia", „Bez ograniczeń" (w różnych wersjach otwiera i zamyka płytę) czy „Kochać cię za późno", ale też... „Przybieżeli do Betlejem" z udziałem Krzysztofa Jaryczewskiego, Andrzeja Nowaka, Adama Wolskiego i Szymona Wydry oraz dwa wielkie hity z udziałem Leszka Możdżera. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Oswajanie śmierci

Weterani space rocka z Montrealu pod kierunkiem pary małżeńskiej, Jace'a Laseka i Olgi Goreas, na szóstym albumie dotykają pytań, których unikamy przez większą część życia.

Nazwa zespołu nawiązuje do krainy jezior leżących w prowincji Saskatchewan. Może dlatego utwory grupy przypominają rozległe, leniwie płynące opowieści. Dziewięć kompozycji trwających od czterech do 18 minut prowadzi nas przez krainę nadchodzącej śmierci ku światu odradzającego się życia. Album podzielony na cztery części („Bliska śmierć", „Śmierć", „Po śmierci", „Życie") jest rodzajem muzycznej medytacji nad oswajaniem śmierci. Do tych rozważań skłoniło Laseka odejście ojca, a także śmierć Prince'a oraz Marka Hollisa z zespołu Talk Talk.

Nagrania The Besnard Lakes odróżniają od innych współczesnych wizjonerów psychodelicznych eleganckie, popowe ozdobniki. Lasek jest admiratorem Briana Wilsona (Beach Boys), a studio nagraniowe traktuje jako najważniejszy instrument. „Our Heads, Our Hearts on Fire Again" jest tego najlepszym przykładem. Już sam śpiew Jace'a i Olgi jest tak zarejestrowany, by nagranie dostało filmowego rozmachu. Utwór tytułowy urzeka emocjonalną konstrukcją. Rozpoczyna go orkiestrowa symfonia na wzniosłe wokalne harmonie i sekcję rockową, która kulminację osiąga w siódmej minucie. Po czym następuje 11 minut wyciszenia opartego na dronowych akordach wywołujących u słuchacza zarówno stan błogości, jak i mrowienie ciała. ©℗

★★★★★☆

THE BESNARD LAKES
„... ARE THE LAST OF THE GREAT THUNDERSTORM WARNINGS"

★★★★☆☆

EIS
„GDZIE JEST EIS?"
T1 / LAJKA

W 2003 r. płyta przeszła bez echa. Eis zakończył karierę. Dekadę później młodzi fani odkryli album, na którym raper perorował o rządzy sukcesu, a nie hip-hopowych ideałach. Reedycja zawiera niepublikowany utwór i pięć remiksów z udziałem młodych raperów, w tym Bedoesa.

★★★★☆☆

STEVEN WILSON
„THE FUTURE BITES"
UNIVERSAL

Zbawca rocka progresywnego nagrał synthpopowy album o cyfrowym społeczeństwie ograniczającym indywidualną tożsamość. Lodowata produkcja, elektroniczne rytmy, miłe melodyjki, nostalgiczne cytaty, czytający Elton John... Nie do przyjęcia dla fanów prog-konserwatyzmu. ©℗

eprasa.pl a50b2fd290

FOT. TVP3 KIELCE

Strumień świadomości

Krzysztof Masłoń

Anže Lanišek bez szału. Kaczor pod sąd. Kto jest ojcem Michalinki? Constantin Schmid z rekompensatą. Pięćset plus. Efekt uboczny, bo znikają boczki. Berkowitzowi strzelać do ludzi kazał pies sąsiada. Niezły skok Władimira Zografskiego. Pedro oddaje szpik. Wodociągi Kieleckie w sposób wzorowy usuwają awarie. Siksa z Paszportem „Polityki". Pod koniec lutego cztery razy więcej szczepionek. Los chce ze mną grać w pokera, raz mi daje, raz zabiera, ja ze swoim szczęściem biegnę w świat. Z okazji Dnia Pamięci Bayern Monachium opowiada się przeciwko dyskryminacji. NIE dla piekła kobiet! Przechodzę na Proliver. Niespodzianka w kole Kukiz'15 – Demokracja Bezpośrednia: przewodniczącym będzie Paweł Kukiz. Helena Vondráčková w wyjątkowym duecie z Marcinem Millerem! Taylor odkrywa, że ma romans z tą samą kobietą co mąż. Płód jest gatunkiem ludzkim, ale to nie znaczy, że ma mieć prawa. Co z Klemensem Murańką? Mucha wystawia na aukcję protezę swojej szczęki. Frankowi Brodzie jest przykro, że wujek ma takie poglądy, a nie inne. Wszystkie moje drogi prowadzą do Ciebie, chwile z Tobą cenny dar, dziś z głowami w chmurach chodzimy po niebie, dziś biegnących godzin nie żal. Pójdę z torbami i pod kościołem będę zbierał pieniądze… Anything Goes. Ale jazda! W którą stronę zwija się lufa Grota? Ojciec molestował Magdę. Polska jest lepsza niż Niemcy. W zdalnym nauczaniu. Čestmír Kožíšek skacze.... Niedaleko. Ruch Black Lives Matter wymarzonym kandydatem do pokojowego Nobla. Pod wpływem alkoholu mężczyzna zmienia się nie do poznania. Uczyńmy przyszłość inkluzyjną. Jeszcze bardziej. Mikołaj Kopernik wstrzymał słońce, Bill Gates je przyciemni. Katoliczki nie mogą się odnaleźć. Rzucamy śnieżkami w Putina-bałwana. Żona Fusa zakłada Partię Bab. Pani Małgosiu, dziękujemy za Positivum. Bóg uciekł z nieba i ukrywa się na Ziemi. Wszystko, co miałam pod spódnicą, zdarto ze mnie. Nadciąga Bestia ze Wschodu. Patronował wyganianie diabła salcesonem i został biskupem. Vojtěch Štursa grubo poniżej oczekiwań. Daniel ma romans z Dominikiem. Sołtys Malinowski zabrał Żydówce Esterze przyzwoity sweter, a dał jej gorszy. Mam 12 palców u stóp! Rząd na bruk, bruk na rząd! W mych ramionach Cię ukryję, u stóp Ci złożę cały świat, serce me dla Ciebie bije i czeka na Twój mały znak. Pan Hu wpada we wściekłość. Koronawirus u polskich norek. Liczymy na Kamila Stocha. Jak zawsze. Babeczki w formie wagin i penisów… w Egipcie. Kochana, wierzę, wierzę w miłość, kochana wierzę, wierzę w nas, o, o, o, i to, co nam się przydarzyło, niech trwa po wieczny, wieczny czas. Girls just wanna have fundamental rights! Magda bije Ewę do nieprzytomności. Teraz do monopolowego i do hotelu! Matka dwojga dzieci spaliła… 29 kg. Koleżanki jej zazdroszczą. Po rozpadzie Związku Sowieckiego powstały Czechy. I Polska. Jak dobrze wyglądać nago. Egon Olsen ma plan, Janusz Palikot ma lepszy. Biała mewo, leć daleko stąd, leć daleko, na ojczyzny ląd, poleć, powiedz, że marynarz chwat, morze kocha od dziecięcych lat. Ginekolodzy już nawet rozmawiać się boją. Nasz system immunologiczny odpowiada krótko: wypierdalać! Kto w końcu zmarł: amstaff czy sodomita? Robert Lewandowski goni Gerda Müllera. Seniorzy dają czadu. Ze swoim Travisto zapomnisz od razu. Ale zanim przejdziemy do rundy drugiej, poznajmy się bliżej. Wiadomości rozpoczynamy od radosnej wiadomości: Olek Zniszczoł wygrał w Pucharze Świata, o, przepraszam, w Pucharze Kontynentalnym. Dziś prawie 6 tys. nowych zakażeń, zmarły 303 osoby. Prognoza na jutro: TVP – słonecznie, Polsat – przejściowe zachmurzenie, TVN – ponuro. Hej, hej, hej, aborcja jest OK.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a50b2fd290

Łukasz Warzecha

Fałszywa nuta

Sytuacja Owsiaka i WOŚP zmieniła się na lepsze. Państwo przestało się angażować w tę akcję, a „Jurek" przestał udawać, że nie jest politycznym aktywistą

FOT. GRZEGORZ KRZYŻEWSKI/FOTONEWS/FORUM

Jerzy Owsiak chciał swego czasu dawać z baśki historykom demaskującym niechlubną przeszłość Lecha Wałęsy, wyrzucał z konferencji prasowych niewygodnych dziennikarzy i kazał „gonić dziadów" z TV Republika lub atakował Bronisława Wildsteina za wyniesienie z IPN słynnej listy katalogowej. Czy uważnego obserwatora kariery „dyrygenta" Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy może zaskakiwać, że w tym roku postanowił zagrać ze Strajkiem Kobiet? Mnie nie zaskakuje, ale chyba jednak niektórzy zaskoczeni byli. W sieci pojawiały się bowiem wypowiedzi osób nie tylko deklarujących, lecz także dokumentujących swoje dotychczasowe przywiązanie do WOŚP, które oznajmiły, że tej granicy przekroczyć nie mogą i z WOŚP w tym roku nie zagrają. Jak jednak łatwo było przewidzieć, nie wywołało to u skrajnego egotyka Owsiaka nawet śladu refleksji.

W pewnym sensie – zgoda – można nawet uznać, że decyzja o sprzymierzeniu się z SK (co zresztą prawdopodobnie korzyści finansowej WOŚP żadnej nie przyniosło) była jednak lekko zaskakująca. Można zatem rzec, że Owsiak pojechał po bandzie. Ale czy kiedykolwiek robił coś innego?

ROLA POLITYCZNA

O Owsiaku mówiłem i pisałem krytycznie – poczytuję to sobie za zasługę – zanim zaczął to robić ktokolwiek inny. Było to gdzieś koło roku 2006. Nie skupiałem się na domniemanych nieprawidłowościach finansowych, choć wskazywałem, że nikt nigdy nie sporządził bilansu podsumowującego całkowite koszty ponoszone w związku z organizacją finałów (transmisje w telewizjach, ochrona imprez, udział samorządów i służb itd.) ani nie zestawił ich ze zbieranymi sumami. Podtrzymywano też i podtrzymuje się iluzję, że są to znaczące sumy, podczas gdy z punktu widzenia funduszy zaangażowanych w ochronę zdrowia to kompletnie nieistotne kwoty. Nie warto ich porównywać nie tylko z budżetem NFZ (5,3 proc. PKB w 2021 r.), lecz także z zadłużeniem szpitali: obecnie ponad 14,7 mld zł, podczas gdy sumy zbierane w ostatnich latach przez WOŚP oscylują wokół 200 mln zł rocznie.

Wielka Orkiestra stosuje jeszcze jeden trik: nie wybija wyraźnie, jaką kwotę zebrała od osób prywatnych, w tym podczas zbiórek ulicznych, a jaką od firm. To ma zasadnicze znaczenie, bo tylko to pierwsze jest probierzem faktycznego społecznego oddziaływania i wsparcia dla przedsięwzięcia. Firmy natomiast kierują się odmienną, na ogół politycznie poprawną logiką marketingową. Tą samą, która na przykład kazała mBankowi udostępnić oficjalny profil dla poparcia Strajku Kobiet. Od lat trwa choćby akcja „Mastercard gra z WOŚP", co przynosi Wielkiej Orkiestrze znaczącą część pieniędzy z każdorocznej zbiórki. Tyle że nikt nie pyta użytkowników kart Mastercard o zdanie i chęć wspierania inicjatywy Owsiaka. Owszem, przekazywana suma jest pochodną liczby wpisów w mediach społecznościowych z odpowiednim hashtagiem (fraza poprzedzona znakiem #), ale pieniądze pochodzą przecież od wszystkich klientów operatora kart płatniczych. W przypadku innych firm nie ma nawet uzależnienia od jakiegoś czynnika podobnego do liczby wpisów – po prostu WOŚP zasilana jest z firmowego budżetu decyzją zarządu, żeby można było się pochwalić, że wsparło się Owsiakową imprezę. Klienci danej firmy nie mają nic do gadania.

Ważniejsze jednak jest, jaką polityczną rolę Owsiak odgrywał. To tym ciekawsze, że zaszła tutaj w ostatnich latach ewolucja: paradoksalnie wraz z zaostrzeniem się konfliktu politycznego znaczenie Owsiaka dla tej części elity, która przedstawia się jako „opozycja totalna", zmalało. Przez całe lata jednak było ogromne – właśnie wówczas, gdy Owsiak przypuszczał polityczne ataki tylko raz na jakiś czas, za to w dobrze przemyślaną stronę, tak jak wspomniane na początku uderzenia w Sławomira Cenckiewicza i Piotra Gontarczyka, w Antoniego Macierewicza, w Bronisława Wildsteina czy media krytykujące PO w czasie jej rządów. Owsiak był bowiem – jak to nazwałem – autorytetem ostatniej szansy. Ten mechanizm wyjaśniałem wiele już lat temu, pisząc: „Metoda na »apolityczny autorytet« nie jest nowa i propagandziści korzystali z niej od wieków. Weźcie osobę, która wam sprzyja, uzależnijcie ją w jakiś sposób od siebie. Dopilnujcie, żeby zajmowała się czymś,

eprasa.pl a50b2fd290

w orkiestrze

co działa na emocje, chwyta za serce, pozornie nie budzi kontrowersji i trudno się z tym spierać, bo wyjdzie się na nieczułego drania. Niezłym wyborem jest działalność dobroczynna, a najlepiej dotycząca dzieci. Roztoczcie wokół tej osoby nimb świętości i bezinteresowności, chwalcie ją, nadymajcie, ile się da. Kiedy natomiast będziecie w jakiejś sprawie potrzebowali wsparcia, pozwólcie jej przemówić ex cathedra – oczywiście w stu procentach w zgodzie z waszym politycznym interesem. Ludzie posłuchają. Pomyślą: »No, przecież to taki dobry człowiek, tak dzieciom pomaga, politycznie się nie angażuje, więc rację ma musowo«".

I tak to dokładnie działało: Owsiak objawiał się jako polityk, gdy był naprawdę potrzebny. Nie podejmuję się powiedzieć, na ile tę rolę odgrywał świadomie, a na ile nie. Z całą pewnością można założyć, że umiejętnie dopieszczano jego próżność – bo też jest to człowiek nieprawdopodobnie wręcz próżny, co łatwo dostrzec, obserwując, jak została zbudowana WOŚP. Wszystko kręci się tam wokół Owsiaka, on pozostaje w centrum, on rozdziela łaski dworu.

Po 2015 r. sytuacja zaczęła się jednak zmieniać. Po pierwsze – walka polityczna tak się zaostrzyła, a poziom politycznej nienawiści tak się wzmógł, że okazjonalne tyrady Owsiaka przestały mieć tę wagę co wcześniej. Utonęły po prostu w ogólnym jazgocie. Po drugie – swoją pozycję naruszył sam Owsiak, coraz bardziej się radykalizując. Jego kolejne czysto polityczne komentarze coraz wyraźniej pokazywały, że nie mamy do czynienia z ponadpolitycznym autorytetem, ale z zaangażowanym politycznie aktywistą, dla którego dobroczynna impreza jest jedynie platformą do robienia polityki. Wpisując się coraz wyraźniej w podział, a coraz mniej starając się zachować pozory ponadpolityczności, Owsiak coraz bardziej stawał się tylko jednym z liderów politycznej sekty, a coraz mniej mógł oddziaływać na niezaangażowanych.

Gwoli umieszczenia jego przemiany w kontekście trzeba przyznać, że odejście od pozorów utrzymywania równowagi przydarzyło się nie tylko „dyrygentowi" WOŚP. Identycznie przecież zachowuje się już od paru lat choćby Amnesty International, która głosi pogląd, że aborcja jest prawem człowieka, niszcząc do reszty swój dorobek z dawnych lat i stając się wprost stroną ostrego światopoglądowego sporu.

BUNT WYZNAWCÓW

Jednak atak na Owsiaka przyszedł również z jego własnego obozu. Okazało się, że opowiadając się – prawdopodobnie bez głębszej refleksji nad skutkami – po stronie ruchu Marty Lempart, Owsiak zagonił się sam w pułapkę. Z jednej bowiem strony zraził do siebie jakąś część popierających go dotychczas zaangażowanych w WOŚP osób, z drugiej zaś nie mógł mimo wszystko pójść w totalny aborcjonistyczny radykalizm, bo to stałoby już w zbyt jaskrawej sprzeczności ze standardowym celem zbiórek WOŚP, czyli wspomaganiem chorych dzieci. Musiał więc ostatecznie oznajmić, że Fundacja WOŚP nie popiera aborcji na życzenie czy – jak to określił – „na pstryknięcie", cokolwiek to znaczy.

Ponieważ jednak, jak wiadomo, rewolucja zjada własne dzieci, niemal natychmiast Owsiakowi oberwało się od proaborcyjnych radykałów. „Szanuję zasługi WOŚP i Jurka Owsiaka, ale pogardliwa retoryka dotycząca praw kobiet (»aborcja na pstryknięcie«) połączona z używaniem określeń stygmatyzujących osoby chorujące psychicznie jest niedopuszczalna" – pouczyła Owsiaka Sylwia Spurek. Owszem, Spurek to przypadek w gruncie rzeczy kliniczny, ale za to samo zaatakowała szefa Fundacji WOŚP również Paulina Młynarska, nazywając 67-letniego „Jurka" „dziadersem", który nie powinien się w tych sprawach wypowiadać. A już na pewno nie tak. I nie są to głosy odosobnione.

Patrząc jednak z konserwatywnego punktu widzenia, sytuacja wokół Owsiaka i WOŚP zmieniła się w ostatnich latach zdecydowanie na lepsze. Po pierwsze – w jego imprezę przestało się angażować państwo, aczkolwiek całkowite sekowanie informacji o WOŚP z większości państwowych mediów jest zwyczajnie absurdalne. Po drugie – coraz mniej jest w zachowaniu Owsiaka hipokryzji, czyli udawania, że nie jest tym, kim jest: politycznym aktywistą, prowadzącym przy okazji imprezę dobroczynną. Najuczciwszym finałem dla jego długiej drogi byłoby, gdyby znalazł się w końcu na liście wyborczej którejś z opozycyjnych partii, jak to się stało z Janiną Ochojską. Gdy Ochojska stała się politykiem par excellence, okazało się, jak miałkie i całkowicie nonsensowne są jej polityczne opinie – co dla niektórych mogło być szokiem. Czekam z niecierpliwością na podobne ukoronowanie kariery pana Jerzego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a50b2fd290

Nie jestem opozycją totalną

Z prezydentem Poznania Jackiem Jaśkowiakiem
rozmawia Ryszard Gromadzki

FOT. MARIUSZ JANIK

RYSZARD GROMADZKI: Poznań przed drugą wojną światową uważany był za bastion endecji. Poznaniacy stereotypowo uchodzili za ludzi do bólu oszczędnych i konserwatywnych. Teraz Poznań ma reputację miasta wyjątkowo liberalnego. Pan jest twarzą tej transformacji. Jak pan tłumaczy tę przemianę?

JACEK JAŚKOWIAK: Często patrzymy na miasto przez pryzmat osoby, która w danym momencie nim rządzi, jej cechy przypisując także jego mieszkańcom. Myślę, że takie jest źródło tego stereotypu. To, że w Poznaniu Piłsudski nigdy nie był szczególnie lubiany, a endecja cieszyła się dużym poparciem, nie uprawnia do wniosku, że typowy poznaniak to odwzorowanie cech jej przywódcy, czyli Romana Dmowskiego. Fakt, że współczesny Poznań jest liberalny, być może bardziej otwarty na Zachód niż inne polskie miasta, ma wiele przyczyn. Jedną z nich jest rola Międzynarodowych Targów Poznańskich, które w okresie komunistycznej Polski były dla nas „oknem na świat", dawały możliwość bezpośrednich kontaktów, także biznesowych. Niemniej istotne jest to, że w Poznaniu przetrwały wzorce pracy i przedsiębiorczości ukształtowane grubo ponad 100 lat temu. To wszystko pozwoliło nam szybciej dopasować się do nowej rzeczywistości. Duże znaczenie miała kultura. Do zmiany wizerunku miasta niewątpliwie przyczynił się Teatr Ósmego Dnia. Ludzie z nim związani mieli ogromny wpływ na poglądy całej generacji poznanianek i poznaniaków. Można powiedzieć, że wychowali całe pokolenie, kształtowali ich postawy. Ja „wstrzeliłem się" w ten nurt.

Czy ten skręt Poznania w lewo nie wynika ze słabości tutejszej prawicy? Od 1989 r. ugrupowania prawicowe przegrywają tu wybory.

To w dużym stopniu kwestia liderów. Kiedy objąłem urząd prezydenta Poznania, na czele opozycji w radzie miasta stał Szymon Sękowski vel. Sęk. Radni prawicowi przyjęli wówczas strategię totalnej negacji. Krytykowali wszystko, co proponowałem, mimo że było to korzystne dla mieszkańców. Chodzi m.in. o politykę parkingową czy rozwiązania dotyczące transportu miejskiego. Z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że udało mi się przekonać mieszkańców do wielu moich pomysłów. Staram się być blisko ludzi. Od lat robię zakupy na targowiskach – nie dla jakichś PR-owych sztuczek. I myślę, że ludzie to czują. To stawia prawicę w Poznaniu w trudnej sytuacji. Wpadli w pułapkę partyjnego krytykanctwa. Stąd ich słabość. Aby móc działać w interesie dobra publicznego, trzeba wyjść poza partyjne myślenie. To trudne, ale jak najbardziej możliwe. Tymczasem lokalne animozje, polityczny teatr bywają często ważniejsze niż uzgodnienia istotne dla ludzi.

Ma pan opinię polityka „tęczowego", przyjaznego środowiskom LGBT. Nie od razu wszedł pan w taki przekaz. To kwestia kalkulacji? To się po panu politycznie opłaca?

Moje podejście do tych spraw zmieniało się w czasie – od niechęci do akceptacji tego, że każdy ma prawo żyć po

eprasa.pl a50b2fd290

swojemu. Jestem osobą heteroseksualną, ale uznaję prawo innych do odmienności.

Sprzeciwiał się pan przyjęciu przez Radę Poznania Samorządowej Karty rodziny...

Po pierwsze: nikt nie kwestionuje tego, jak ważna jest rodzina. Tradycyjny model rodziny jest piękny – dla sporej części społeczeństwa, w tym dla mnie osobiście, najpiękniejszy – ale to nie oznacza, że jest jedyny i wzorcowy. Idealnie byłoby się zakochać, ożenić, mieć dzieci i przeżyć z jedną osobą całe życie, a na koniec dostać jeszcze medal za wieloletnie pożycie małżeńskie. Ale to niestety nie zawsze się udaje. Ludzie rozwodzą się, wiążą z innymi osobami i w tych nowych związkach potrafią tworzyć szczęśliwe rodziny. Dwie kobiety, żyjące ze sobą, także mogą stworzyć pełen miłości, wspaniały dom. To, że związek nie jest typowy, odbiega w mniejszym czy większym stopniu od tego klasycznego modelu, nie oznacza, że jest gorszy. Nie można odmawiać mu racji bytu. To jest kwestia tolerancji i szacunku dla drugiego człowieka. Pytał pan wcześniej, czy takie podejście mi się opłaca. Nie myślę w kategoriach politycznych korzyści. Swoim współpracownikom zawsze powtarzałem, że najgorszą rzeczą, która mogłaby mi się przydarzyć, byłoby kalkulowanie, co o takiej czy innej mojej decyzji napiszą dziennikarze. Przepraszam za określenie, ale to trzeba mieć gdzieś. Moim jedynym kryterium jest dobro publiczne i to, czy podejmowane przeze mnie decyzje mu służą, czy nie. Oczywiście, definicje dobra publicznego mogą być różne. Jednak z osobami, dla których jest to cel nadrzędny, zawsze potrafię znaleźć płaszczyznę do rozmowy. Dlatego tak dobrze współpracowało mi się z wojewodą z PiS Łukaszem Mikołajczykiem czy z wicepremier Emilewicz. Nie jestem opozycją totalną.

Nie za ciasno panu w Platformie Obywatelskiej? Nie ma pan poglądów typowych dla swojej formacji. Z jednej strony w kwestiach obyczajowych idzie pan dalej niż mainstream PO, z drugiej wypowiadał się pan pozytywnie o koncepcjach gospodarczych Konfederacji.

Trudno mi ocenić, czy jestem typowym politykiem, czy nie. Koncentruję się na jak najlepszym zarządzaniu Poznaniem. To jest mój priorytet. Platforma jest pierwszą i mam nadzieję, że również ostatnią partią, do której wstąpiłem. Wiążą się z tym określone zobowiązania. Do 50. roku życia byłem jednak bezpartyjny. Mówię to, co myślę. I sądzę, że się na razie mieszczę w lewym skrzydle Platformy. Pytanie, czy moje poglądy i sposób ich komunikowania mieszczą się w modelu działania Platformy? Jeśli okaże się, że nie, to pewnie będziemy musieli się rozstać.

Czy forsowana przez kolejnych szefów PO strategia „opozycji totalnej" nie zabija Platformy ?

Kierowanie partią polityczną jest dużo trudniejsze niż zarządzanie miastem. Szczególnie gdy po drugiej stronie barykady jest ugrupowanie tak zdyscyplinowane, o takiej strukturze i mające tak wyrazistego lidera jak PiS. Aby z takim przeciwnikiem wygrać, konieczna jest strategia, ale również gotowość osób zaangażowanych w tę walkę do pełnego podporządkowania się temu celowi, co w partii jest bardzo trudne do osiągnięcia. Kaczyński miał dość posłuchu, by utrzymać przywództwo, ale miał też rozsądek i umiejętności, by ułożyć się z ludźmi, którzy go wcześniej zdradzili. Zupełnie inaczej rozumiem polską rację stanu niż Kaczyński, Ziobro czy Gowin, ale ich przewagą jest to, że potrafili się porozumieć.

Czy jedyną postacią, która może scalić opozycję, jest wciąż Donald Tusk?

Metoda D'Hondta jest bezwzględna. Jest dla mnie oczywiste, że wybory może wygrać tylko zjednoczona opozycja. Elementem niezbędnym jest tu akceptacja silniejszego partnera i dominującej roli jego przywódcy przez liderów poszczególnych ugrupowań, takich jak Ziobro i Gowin w przypadku Zjednoczonej Prawicy. To jest kluczowe. Czy Hołownia, Kosiniak-Kamysz i Czarzasty byliby gotowi zaakceptować przywództwo Donalda Tuska? Wszystko zależy od odpowiedzi na to pytanie. To jest kwestia cech osobowościowych. Tusk pokazał, że potrafi wygrywać. Na naszej scenie politycznej to zawodnik wagi superciężkiej.

Niezużyty?

O Kaczyńskim też wielokrotnie mówiono, że jest zużyty, szczególnie kiedy przez osiem lat z rzędu przegrywał wszystkie wybory. Patrząc przez pryzmat wieku, na pewno doświadczenie Donalda Tuska jest bardzo istotne. Tylko czy on sam będzie chciał wziąć taki ciężar na plecy? Oto jest pytanie. To trudna misja.

À propos zawodników wagi superciężkiej... Pan lubi boks. O co politycznie boksuje się Jacek Jaśkowiak? Startował pan w prawyborach prezydenckich w Platformie. Chce pan spróbować jeszcze raz?

Najważniejszy był i jest dla mnie Poznań. Powód mojego udziału w prawyborach był jeden. Otrzymałem raport, z którego wynikało, że Małgorzata Kidawa-Błońska nie ma żadnych szans na wygranie tych wyborów. To była kwestia pewnej odpowiedzialności. Nie chciałem przez kolejne lata, patrząc w lustro, wyrzucać sobie, że mogłem wyjść poza strefę własnego komfortu, ale mi się nie chciało i tego nie zrobiłem.

To dlaczego Platforma nie postawiła wtedy na pana?

Wśród osób, które decydowały o nominacji, Małgorzata Kidawa-Błońska była bardziej znana i lubiana. Ją znali, mnie – nie. Ta prekampania była bardzo krótka. Nie bez znaczenia w moim odczuciu była kwestia upływu mandatu Grzegorza Schetyny. I tyle. Sposób, w jaki zarządzam Poznaniem – szczególnie to, że nie obsadzam stanowisk w miejskich spółkach według klucza partyjnego – też nie przysparza mi przyjaciół. Nie jestem przez to w poznańskiej Platformie postacią szczególnie lubianą.

Powtórzę pytanie: O co pan się teraz boksuje?

Zawsze starałem się dobrze wykonać swoje zadanie. Czy podczas Pucharu Świata w biegach narciarskich w Szklarskiej Porębie, gdzie dwukrotnie byłem szefem komitetu organizacyjnego zawodów, czy będąc przedsiębiorcą, czy pełniąc funkcję prezydenta Poznania. Polityka jest grą zespołową. Nie godzę się z wizją polskiej racji stanu Jarosława Kaczyńskiego, dlatego wcześniej wspierałem Grzegorza Schetynę, a teraz wspieram Borysa Budkę. Uważam, że Zjednoczona Prawica nie potrafi efektywnie zarządzać państwem. Moje największe zastrzeżenie do PiS to brak umiejętności zarządczych. Dlatego, gdyby się okazało, że w ramach jakiegoś projektu politycznego, trzeba wziąć na siebie odcinek odpowiedzialności wymagający sprawności w tym obszarze, to nie będę się uchylał. A jeśli pyta mnie pan, o co się boksuję, to odpowiem tak: o to, żeby nie zawieść zaufania, którym obdarzyli mnie mieszkańcy tego miasta, żebym, przekazując urząd swojemu następcy, mógł powiedzieć, że zrobiłem wszystko, co mogłem zrobić. Że tego nie spieprzyłem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a50b2fd290

Jak hrabia Plater chciał zostać Żydem

Tomasz Lenczewski

Po wypadkach marcowych 1968 r. władze PRL zezwoliły Andrzejowi hr. Broel-Platerowi (1931–2003) wraz z rodziną na emigrację do Izraela. Ostatecznie wyjazd jednak wstrzymano

Przed wypełnieniem prosimy zapoznać się z pouczeniem na str. 4
Wzór „A"
(podpis)
(złożony w obecności pracownika organów paszportowych)
Do BIURA PA... Komendy ... w ...
PODANIE
zezwolenia na wyjazd za granicę do Izraela (nazwa kraju)
na okres: od ... do ... w celu**) na pobyt stały
KWESTIONARIUSZ PASZPORTOWY
1. Nazwisko BROEL-PLATER
2. Imiona ANDRZEJ CEZAR
3. Imiona rodziców i nazwisko panieńskie matki JAN JANINA MEYER
4. Nazwisko panieńskie (u mężatek) nie dotyczy
5. W przypadku zmiany nazwiska i imienia podać poprzednie nazwisko nie dotyczy
6. Data urodzenia 25 LUTY 1931
10. Rysopis petenta wzrost 181 cm, znaki ...
Nr. 225/JW/69
Warszawa, dn. ... 196... r.
Tajne
- 2 -
PILNA NOTATKA
Odmówiłem przyjęcia noty oraz zakwestionowałem jego prawo zajmowania się podobnymi wypadkami. Z punktu techniki dyplomatycznej - oświadczyłem, reprezentuje on tylko interesy Izraela a nie tych, którzy zamierzają do Izraela wyjechać. Z punktu widzenia prawa międzynarodowego nie ma uprawnień "opieki" nad bezpaństwowcami. Zakwestionowałem też pochodzenie Platerów. Jeśli należą do arystokratycznej rodziny P., to nie są pochodzenia żydowskiego. Jeśli są tego pochodzenia - to nazwisko jest przybrane.
Całkowicie po krótkiej dyskusji uznał mój punkt widzenia, notę schował, fakt jej przedłożenia prosił uważać za nieważny. Natomiast zgłosił osobistą, humanitarną prośbę o zainteresowanie się sprawą Platerów, bo "w tej chwili już są bez środków do życia". Prośbę, jako osobistą, dyktowaną względami humanitarnymi przyjąłem. /Po stwierdzeniu okoliczności chcę go osobiście ... je załatwiono ... zarzania przed ...
/-/ J. WINIEWICZ
Tajne
Nr. 225/JW/69
Ambasad... tylko jednej ... do Izraela, ... Platerów /War... nieletnich dz... w przeddzień ...
Nr. ...
na okres od na okres ...
1. Nazwisko**) BRO...
2. Imiona ANDRZEJ ...
3. Imiona rodziców i nazwisko pa... JAN I JANINA
4. Nazwisko panieńskie (u mężate... NIE DOTYCZY
5. W przypadku zmiany nazwisk... przednie NIE DOTYCZY
6. Data urodzenia 25-II-...
7. Miejsce urodzenia KRYNICA
8. Narodowość POLSKA
9. Obywatelstwo POLSKIE
10. Stan cywilny ZONATY
11. Zawód MUZYK
12. Wykształcenie — (przy studiach wy... klasyk studiów lub rok ukończenia ... ABSOLWENT P.W.S.M. ...
... miejsce stałego zameldowania WA... SMOLNA ...
14. Obecny dokładny adres WARSZ... SMOLNA 14/...
15. Poprzednie miejsce zamieszkania w os... SMOLNA 14/...
16. Seria i nr dowodu osobistego SJ 66... wydanego przez KDMO - WARS... ŚRODMIEŚCIE dnia 3.II ...
17. Rysopis: wzrost 183 cm. znaki szczególne ... zielone włosy ...
18. ... i do jakiego kraju wyjeżdżał ...

FOT. ARCHIWUM IPN

Tomasz Lenczewski

Broel-Platerowie byli starożytną szlachtą rodem z Westfalii. Jej dzieje sięgają XII w. Od XIV w. osiadła w Kurlandii, skąd rozprzestrzeniła się na obszar Inflant, Żmudzi i Litwy, ulegając stopniowo polonizacji wskutek małżeństw i udziału w życiu publicznym. Od końca XVII w. członkowie rodu piastowali urzędy senatorskie i dygnitarskie w Wielkim Księstwie Litewskim. Ród ten został zaliczony do polskiej arystokracji, składającej się od XIX w. z kilkunastu rodzin książęcych i hrabiowskich. Platerowie mieli posiadłości ziemskie w trzech zaborach, na terenach Królestwa Polskiego, w dawnej Litwie i Rusi oraz Wielkopolsce. Przodek Andrzeja hr. Broel-Platera, Cezary August, brał udział w powstaniu listopadowym i był zmuszony osiedlić się na ziemiach zaboru pruskiego. Po amnestii rodzina powróciła do Królestwa Polskiego, gdzie prowadziła intensywną działalność gospodarczą. Edward hr. Broel-Plater, dziadek Andrzeja, dzięki małżeństwu z Jadwigą hr. Tyszkiewiczówną, osiedlił się w jej posagowym majątku Osuchów z pałacem k. Błonia (dziś własność ZUS). Jego najstarszy syn Jan (1905–1936) poślubił Janinę z Meyerów Wilimowską. Małżeństwo to było źle widziane w rodzinie, ponieważ wybranka była rozwódką z córką. Jan zmarł tragicznie w majątku Petrykozy, pozostawiając wdowę i pięcioletniego syna Andrzeja.

Andrzej wychowywał się przy matce w Warszawie. W czasie wojny należała do AK i wzięła udział w powstaniu warszawskim. Syn towarzyszył matce

eprasa.pl a50b2fd290

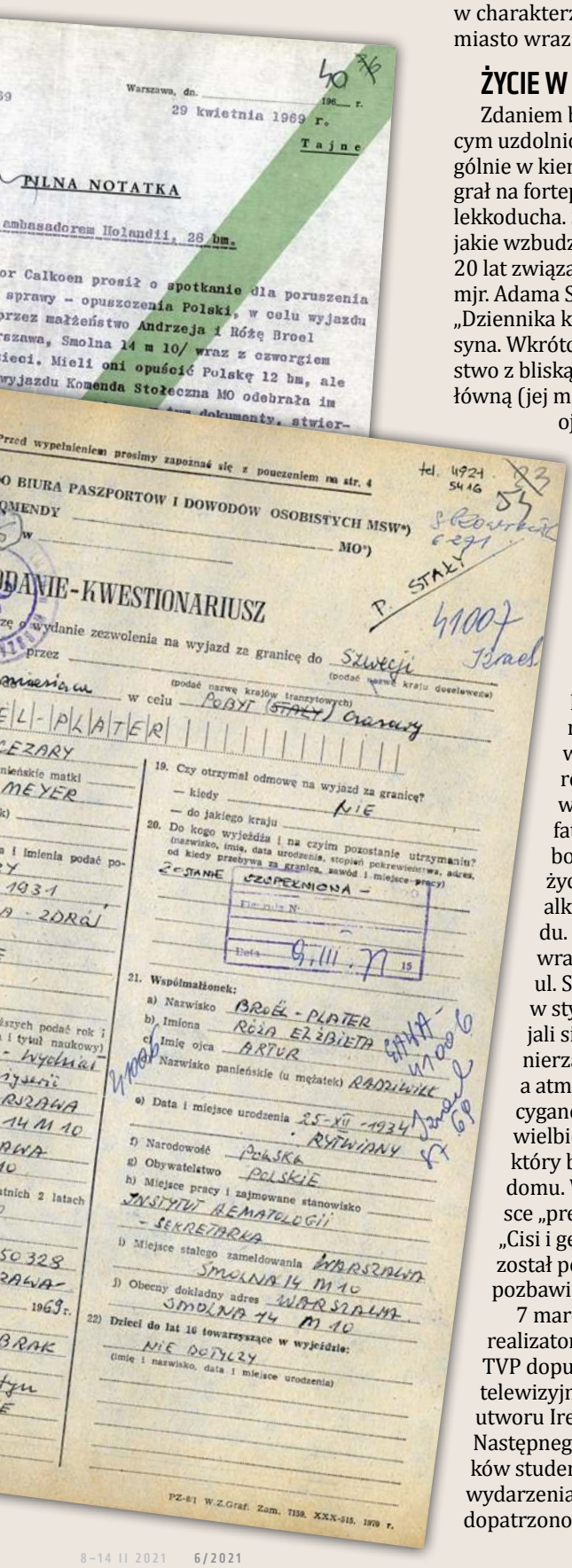

Warszawa, dn. 29 kwietnia 1969 r.

Tajne

PILNA NOTATKA

ambasadorem Holandii, 28 bm.

or Calkoen prosił o spotkanie dla poruszenia sprawy – opuszczenia Polski, w celu wyjazdu przez małżeństwo Andrzeja i Różę Broel rszawa, Smolna 14 m 10/ wraz z czworgiem ieci. Mieli oni opuścić Polskę 12 bm, ale wyjazdu Komenda Stołeczna MO odebrała im

Przed wypełnieniem prosimy zapoznać się z pouczeniem na str. 4

O BIURA PASZPORTÓW I DOWODÓW OSOBISTYCH MSW*)

QMENDY

w MO*)

DANIE-KWESTIONARIUSZ

ze o wydanie zezwolenia na wyjazd za granicę do Szwecji (podać nazwę kraju docelowego)

przez (podać nazwę krajów tranzytowych)

w celu POBYT (STAŁY) Izraela

EL-PLATER

CEZARY

nieńskie matki MEYER

k)

a i imienia podać po-

Y 1931

A - ZDRÓJ

E

szych podać rok i i tytuł naukowy)

- wychowi

yserii

RSZAWA

14 M 10

RAWA

10

tnich 2 latach

50328

RAWA

1969 r.

BRAK

tyu

E

19. Czy otrzymał odmowę na wyjazd za granicę?
— kiedy NIE
— do jakiego kraju

20. Do kogo wyjeżdża i na czyim pozostanie utrzymaniu? (nazwisko, imię, data urodzenia, stopień pokrewieństwa, adres, od kiedy przebywa za granicą, zawód i miejsce pracy)
ZOSTANIE CZASOWO –

Decyzja N°
Data 9.III.70 19

21. Współmałżonek:
a) Nazwisko BROEL-PLATER
b) Imiona ROZA ELŻBIETA
c) Imię ojca ARTUR
d) Nazwisko panieńskie (u mężatek) RADZIWIŁŁ
e) Data i miejsce urodzenia 25-XII-1934 RYTWIANY
f) Narodowość POLSKA
g) Obywatelstwo POLSKIE
h) Miejsce pracy i zajmowane stanowisko INSTYTUT HEMATOLOGII - SEKRETARKA
i) Miejsce stałego zameldowania WARSZAWA SMOLNA 14 M 10
j) Obecny dokładny adres WARSZAWA SMOLNA 14 M 10

22) Dzieci do lat 16 towarzyszące w wyjeździe: NIE DOTYCZY
(imię i nazwisko, data i miejsce urodzenia)

PZ-8/1 W.Z.Graf. Zam. 7159. XXX-515. 1970 r.

w charakterze łącznika i razem opuścili miasto wraz z ludnością cywilną.

ŻYCIE W PRL I PRÓBA EMIGRACJI

Zdaniem bliskich Andrzej był czarującym uzdolnionym człowiekiem, szczególnie w kierunku nauk ścisłych, dobrze grał na fortepianie, jednak wiódł życie lekkoducha. Sprzyjało temu powodzenie, jakie wzbudzał wśród kobiet. W wieku 20 lat związał się na krótko z córką mjr. Adama Solskiego, autora słynnego „Dziennika katyńskiego", i miał z nią syna. Wkrótce jednak zawarł małżeństwo z bliską kuzynką Różą ks. Radziwiłłówną (jej matka była rodzoną siostrą ojca Andrzeja). Ze związku tego urodziło się czworo dzieci. Ich narodziny zbiegły się ze studiami Andrzeja na Wydziale Reżyserii Muzycznej w Akademii Muzycznej w Warszawie. Sytuacja rodzinna spowodowała, że po czterech latach studiów wziął urlop dziekański. Nigdy jednak już do nich nie powrócił. Znalazł pracę w Telewizji Polskiej jako reżyser dźwięku, ale domowa sytuacja finansowa była fatalna i rodzina żyła biednie, bo Andrzej prowadził bujne życie towarzyskie, nadużywał alkoholu i nie stronił od hazardu. Samo mieszkanie Andrzeja wraz z matką i rodziną przy ul. Smolnej było prowadzone w stylu domu otwartego. Przewijali się przez niego różni ludzie, nierzadko potrzebujący pomocy, a atmosfera życia przypominała cyganerię. Andrzej należał do koła wielbicieli Janusza Szpotańskiego, który był stałym bywalcem jego domu. W nim właśnie miała miejsce „premiera" satyrycznej opery „Cisi i gęgacze", za którą Szpotański został później skazany na trzy lata pozbawienia wolności.

7 marca 1968 r. Plater jako realizator muzyczny w taśmotece TVP dopuścił do nadania, w ramach telewizyjnej piosenki na dobranoc, utworu Ireny Santor „Jesienny staw". Następnego dnia doszło do strajków studenckich, które zainicjowały wydarzenia marcowe. Miesiąc później dopatrzono się, że zarówno kompozytor, jak i autor słów do tej piosenki byli pochodzenia żydowskiego (Moshe Wilensky i Bronisław Brok). Utwór ten, jako „hebrajski", był objęty cenzurą. Stało się to pretekstem do postępowania dyscyplinarnego wobec Platera, który ostatecznie w sierpniu 1968 r. stracił pracę, mimo że wstawili się za nim współpracownicy z telewizji. Dla inspektora wydziału IV Departamentu III MSW mjr. Wojciecha Madeja, nadzorującego obiekty PR i TV, nadawca piosenki był „powiązany z wrogim elementem syjonistycznym i rewizyjnym".

Po bezskutecznych próbach odwołania się Andrzej Broel-Plater wraz z żoną złożyli w lutym 1969 r. wniosek do Biura Paszportowego o emigrację do Izraela. Andrzej zadeklarował narodowość polską pochodzenia żydowskiego i zrezygnował z obywatelstwa polskiego. Wcześniej małżonkowie otrzymali w wydziale konsularnym ambasady Holandii w Warszawie, reprezentującej interesy Izraela, promesę wizy na pobyt stały w Izraelu. W marcu 1969 r. zapadła pozytywna decyzja władz paszportowych w sprawie wyjazdu Platerów do Izraela, a pod koniec miesiąca wydano im oraz ich dzieciom dokumenty podróży, która miał nastąpić 12 kwietnia 1969 r. Z treści zaświadczeń wynikało, że przestali być obywatelami PRL i mieli opuścić granice państwa do 20 kwietnia.

Jednak funkcjonariusze MO uniemożliwili wyjazd Platerom. Mieli odebrać im dokumenty dosłownie na Dworcu Gdańskim, skąd odjeżdżały pociągi z emigrantami do Wiednia. Małżeństwo znalazło się w trudnej sytuacji materialnej wobec wyprzedaży skromnych zresztą ruchomości.

ODMOWA EMIGRACJI DO IZRAELA

Po zabraniu dokumentów wyjazdowych Plater próbował ratować wyjazd rodziny i przedłożył oświadczenie notarialne prof. UW Włodzimierza Zonna. Wynikało z niego, że rodzina Janiny Meyer, była znana przed wojną jako żydowska… Nie było to prawdą, ponieważ Janina Meyer, córka przemysłowca Jana Seweryna, wcześnie osierocona przez ojca, pochodziła z rodziny katolickiej. Z takich samych rodzin pochodziły zarówno jej babka Amelia Maderówna, jak i prababka z domu Jacobi. Jedynym wyraźnym elementem łączącym rodzinę ze „środowiskiem żydowskim" był powtórny ślub wdowy Amelii Meyer

eprasa.pl a50b2fd290

z Emilem Bruehlem, potomkiem znanej neofickiej rodziny warszawskiej, niegdyś właścicieli Targówka.

Bezprecedensowa sprawa odmowy wydania przyznanych już Platerom dokumentów podróży stała się przedmiotem spotkania ambasadora Holandii Alberta Calkoena z wiceministrem spraw zagranicznych PRL Józefem Winiewiczem. W toku rozmowy ambasador stwierdził, iż w jego praktyce „jest to pierwszy przypadek wstrzymania wizy izraelskiej". Jednocześnie poprosił o „humanitarne rozważenie sprawy oraz złożył notę z prośbą o wypuszczenie Platerów z Polski". Minister Winiewicz zakwestionował prawo ambasadora do zajmowania się podobnymi wypadkami ze względu na to, iż ambasador reprezentował jedynie interesy Izraela, a nie osób wyjeżdżających. Ponadto nie miał uprawnień do opieki nad bezpaństwowcami. Winiewicz oświadczył, że skoro Platerowie należą do „arystokratycznej rodziny", to nie są pochodzenia żydowskiego, a jeśli są, to mają nazwisko przybrane. W rezultacie rozmowy holenderski ambasador wycofał notę, pozostając przy prośbie o humanitarne rozpatrzenie sprawy Platerów pozostających bez środków do życia. Minister przyjął i obiecał rozpatrzyć.

Odtąd sprawy wyjazdu Platerów znalazły się w machinie biurokratycznej PRL. Kołaczącego do Biura Paszportowego Andrzeja Platera dopiero z końcem maja formalnie poinformowano o uchyleniu wcześniej przyznanej pozytywnej decyzji na wyjazd stały do Izraela wraz z rodziną. Zwrócono mu jednak wpłacone sumy na wydanie dokumentów podróży.

Analizując pochodzenie rodziny, władze paszportowe PRL wzięły pod uwagę obszerną recenzję monografii „Platerowie" autorstwa heraldyka Szymona Konarskiego. Ukazała się ona w londyńskich „Wiadomościach" w grudniu 1968 r. To zakazane w PRL pismo emigracyjne było wnikliwym przedmiotem analizy władz MSW. W tym samym bowiem numerze wydrukowano wieloszpaltowy tekst pt. „Rakowiecka – przewodnik po U.B.". Recenzja sławiąca ród Platerów jako patriotyczny i polski znalazła się w teczce paszportowej Andrzeja Platera.

W czasie jednej z rozmów oświadczono petentowi, że niesłuszne jest, „by rodzina narodowości polskiej wyjeżdżała do Izraela na dokument podróży i traciła obywatelstwo polskie". Jednocześnie dano mu do zrozumienia, że w przypadku otrzymania zaproszenia na wyjazd do innego kraju otrzyma wraz z członkami rodziny paszporty z możliwością późniejszej wymiany ich na konsularne. Rodzinie miał pomóc działacz ZSL Józef Ozga-Michalski, który w czasie wojny ukrywał się w Osuchowie. Jednak sprawa ta przeciągnęła się zarówno z przyczyn formalnych, jak i osobistych. W rezultacie Andrzej Broel-Plater przedłożył zaproszenie na wyjazd do Szwecji dopiero w 1970 r. W opinii władzy „obydwoje [tj. Plater i jego żona] społecznie nie przedstawiali specjalnej wartości"... W grudniu 1970 r. ambasada Królestwa Szwecji przyznała rodzinie promesy wiz na pobyt stały w tym kraju. W styczniu 1971 r. wiceminister MSW gen. Ryszard Matejewski wyraził zgodę na wyjazd Platerów. I tak kolejno małżonkowie wyjechali z Polski wraz z dziećmi.

Miesiąc po opuszczeniu Polski przez Andrzeja Platera pod kołami pociągu zginął tragicznie jego 19-letni syn z pierwszego związku

WYJAZD I TAJEMNICZE ZGONY

Miesiąc po opuszczeniu Polski przez Andrzeja Platera miał miejsce niewyjaśniony wypadek na Dworcu Zachodnim w Warszawie. Pod kołami pociągu zginął tragicznie Andrzej Plater z Otwocka, 19-letni pierworodny syn Andrzeja z pierwszego związku. Niektórzy znajomi Platerów do dziś są przekonani, że była to zemsta bezpieki za postępowanie ojca. Nie ma oczywiście na to żadnych dowodów, a były również głosy, że śmierć ta była wynikiem nieszczęśliwego wypadku połączonego z alkoholem. W skąpo zachowanych aktach inwigilacji przez SB Andrzeja Platera zachowała się jedynie notatka z 25 marca 1968 r. Wynika z niej, że Andrzej Plater i jego syn [Andrzej] „podający się za studenta byli pijani na ulicy Smolnej, zaczepiali młodzież, wykrzykując, że studenci występują ze słusznymi żądaniami, że trzeba ich poprzeć i bić czerwonych razem z Gomułką". Wtedy milicji nie udało się ich zatrzymać.

W istocie cała ta idea wyjazdu do Izraela była maskaradą w stylu szalonych pomysłów Andrzeja, o których mówił językiem Szpotańskiego: „To nie ohyda, że Plater podał się za Żyda i miast z dziadami jedzie wojować z Arabami". Wszystkie jego wizyty w ambasadzie amerykańskiej czy holenderskiej były ze szczegółami odnotowywane w aktach MSW dzięki zainstalowanym tam podsłuchom i tajnym współpracownikom. Nawet to, że wykrzykiwał w obcych placówkach, iż nadana przez niego piosenka była „sygnałem do wydarzeń marcowych", co wpisywało się w narrację MSW, oraz chwalił się znajomością z Januszem Szpotańskim (siedział wówczas w więzieniu) i Niną Karsov (była od kilku lat za granicą).

Natomiast wokół jego żydowskiej deklaracji narosło do dziś nieco mitów, do których przyczynił się sam Andrzej, a także jego znajomi. Zdaniem Seweryna Blumsztajna i Jana Lityńskiego Plater „oświadczył [w MSW], że jeśli mogą być Polacy pochodzenia żydowskiego, to mogą być też Żydzi pochodzenia polskiego i to jest właśnie jego przypadek". Akurat przeczy temu wypełniona deklaracja paszportowa, potem całkowicie zresztą zmieniona przy wyjeździe do Szwecji. Andrzejowi po prostu zwyczajnie chodziło o to, aby wyjechać z Polski.

Z ówczesnego punktu widzenia skończyło się to sukcesem, bo wszyscy dotarli do Szwecji, gdzie skutecznie przekonali urzędników, iż byli w Polsce prześladowani. Dzięki temu jako rodzina wielodzietna korzystali z dobrodziejstw opiekuńczego państwa szwedzkiego, podejmując okresowo różne stałe zajęcia. Niestety charakter Andrzeja spowodował, że po kilku latach opuścił on bliskich i założył nieformalnie nową rodzinę. Wychowanie czworga dzieci spadło odtąd całkowicie na Różę.

Ich potomkowie mimo potencjalnych zdolności nie osiągnęli nic szczególnego na emigracji. Na domiar złego kolejny syn z drugiego małżeństwa zginął w niewyjaśnionych okolicznościach, w jakichś miejscowych porachunkach.

Po wyjeździe małżonkowie uzyskali paszporty konsularne, a po kilku latach zrezygnowali z polskiego obywatelstwa. Andrzej Broel-Plater często przyjeżdżał do kraju, mając lepszą sytuację finansową, a przy okazji budował legendę na swój temat, jak wielu emigrantów, którzy leczyli kompleksy i dowartościowywali się, wykorzystując trudną sytuację życia w komunistycznej Polsce za żelazną kurtyną.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a50b2fd290

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Bolszewicy Pana wywożą!

Przy ostrym ostrzale wchodzili bolszewicy – wspominała Elżbieta Przewłocka. – Jeszcze od strony ogrodu błąkali się pojedynczy żołnierze niemieccy i węgierscy, a od frontu szarym, ponurym tłumem wtaczała się Azja". To był początek końca. 27 lipca 1944 r. do pięknego pałacu rodziny Przewłockich w Mordach pod Siedlcami wkroczyła Armia Czerwona. Szlacheckie gniazdo wraz z całym majątkiem zostały skonfiskowane w ramach komunistycznej grabieży zwanej „reformą rolną". Nestor rodu – Hernyk Przewłocki – jako „wróg ludu" znalazł się zaś na celowniku NKWD. „Musiało być koło godziny pierwszej, kiedy rozległo się gwałtowne walenie do drzwi kuchennych – pisała pani Elżbieta o wydarzeniach z października 1944 r. – Wpadli gromadą. W czapkach z pawimi otokami, jak robactwo rozbiegli się po domu. Zaczęła się rewizja. Oznaczało to, że kradli, co im w ręce wpadło.

W końcu wyprowadzili Ojca na korytarz. Mimo zimna, nie miał na sobie kożucha, bo okazało się, że ten tymczasem zdążył »zginąć«. Tak go sprowadzili po schodach, do wyjścia. Szłyśmy za nim, z Mamą, bez słowa. Jak mijaliśmy drzwi Czajczyków, wyszedł Jan i zobaczywszy Ojca prowadzonego przez enkawudzistów, krzyknął: »Mój Pan!« – i runął na ziemię. Dostał wylewu krwi do mózgu. Potem ładowali Ojca na otwartą ciężarówkę, w mroźną, błyszczącą noc. Na nasze płacze i pytania odkrzykiwali, że jutro wróci. Wiedzieliśmy, że kłamią". Kłamali. Henryk Przewłocki zmarł z wycieńczenia w łagrze w Borowiczach w czerwcu 1946 r. Książka „Dom w Mordach" to pasjonująca opowieść o majątku Przewłockich, opowiedziana oczami członków rodziny i innych świadków historii. Obserwujemy majątek w dobie jego największej świetności i w momencie tragicznego upadku.

Dopiero w 2018 r., po długiej batalii sądowej, Przewłoccy odzyskali Mordy (to skandal, że trwało to tak długo!). A raczej ruinę, która pozostała z pałacu. Niedługo Ośrodek Karta przywróci dworowi jego świetność i powstanie w nim Dom Wschodni. Na pewno będę tam często zaglądał. ©℗

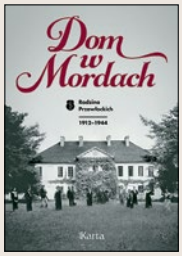

★★★★★★
„DOM W MORDACH. RODZINA PRZEWŁOCKICH 1912–1944"
OŚRODEK KARTA

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Złamane pióro Fredry

Pod koniec lat 30. XIX w. komediopisarz przestał dostarczać nowe utwory na scenę, podając jako powód zmowę krytyków. Wprawdzie był bardzo popularny wśród publiczności, ale recenzenci atakowali treść jego utworów. Uznawano, że w sytuacji, w jakiej znalazła się Polska, nie czas na komedie salonowe i śmiech wyłącznie dla śmiechu. Pisarz miał pełnić funkcję przewodnika i nauczyciela społeczeństwa, a nie dostarczać pustej rozrywki.

Faktycznie, twórczość Fredry była odmienna od wielkiej literatury romantycznej. Nie proponował wątków cierpienia za miliony czy oddawania życia za niepodległość. Jeżeli nawet pojawiało się w jego utworach staropolskie otoczenie, to raczej w krzywym zwierciadle jak w „Zemście" (premiera we Lwowie 17 lutego 1834 r.). Brakowało też – oczywiście – wzniosłego morału mającego zapaść w pamięć czytelników i widzów.

Hasło do ataku dał Seweryn Goszczyński, który w 1835 r. zarzucił pisarzowi, że „wiersz gładki jest tylko wymanierowanym języka trybem francuskim". Do tego „płynie jak woda i ma smak wody", natomiast „kilka scen narodowych nie rozleją barwy narodowej".

Do Goszczyńskiego przyłączyli się inni. Uwagi zgłaszał Wincenty Pol, twierdząc, że utwory Fredry są zbyt salonowe i mają wielki „osad francuszczyzny". Pretensje miał również Józef Ignacy Kraszewski uważający, że komediopisarz wykazuje skłonności do przesady i patetyczności, przez co wpada w pospolitość. Natomiast Leszek Dunin-Borkowski w ogóle odmawiał wartości niemal wszystkim komediom Fredry.

Zapewne decyzja dojrzewała u pisarza przez dłuższy czas, jednak w pewnym momencie miał już dość ataków i postanowił odłożyć pióro. Przez kilkanaście lat podobno nie napisał żadnej komedii, a później tworzył wyłącznie do szuflady. Nagabywany o nowe utwory, zbywał temat milczeniem, nie reagował nawet na prośby księcia Adama Czartoryskiego. W 1838 r. ukazał się drukiem piąty tom jego komedii, trzy lata później wznowiono „Nieszczęścia najszczęśliwszego męża", a potem zapadło milczenie.

Prawda była jednak zapewne inna. Oczywiście ataki krytyki zrobiły swoje, ale Fredro dobrze wiedział, że wyczerpał już potencjał twórczy. Potwierdzają to jego utwory wydane pośmiertnie, pisane do domowego archiwum. Dlatego skorzystał z okazji, by odejść w chwili dużej popularności. Przecież dla pisarza nie ma nic gorszego niż spadek uznania po porażkach nowych utworów. Lepiej, by pozostała legenda, a za milczenie zawsze można było obciążyć złośliwych krytyków. ©℗

eprasa.pl a50b2fd290

FOT. FUNDACJA NIEPODLEGŁOŚCI

Prawdziwy autorytet

Piotr Zychowicz

Wybitny historyk, wielki nonkonformista i wróg komunizmu. Zmarł nestor polskiego Londynu Zbigniew S. Siemaszko

To było dobre 15 lat temu. Siedziałem w salonie pięknego domu Zbigniewa S. Siemaszki na londyńskiej Twyford Avenue. Rozmawialiśmy – jak zawsze – o historii.

– Panie Zbigniewie – zapytałem – a nie myśli pan czasami, żeby wrócić?

Był wyraźnie zaskoczony.

– Wrócić? Ale do czego? – odparł. – Moja Polska już nie istnieje. Moja Polska mówiła po polsku, białorusku i ukraińsku. Ulicami mojej Polski chodzili Żydzi. W obecnej jednolitej etnicznie Polsce, Polsce tylko dla Polaków, w kraju, w którym nadal tak rozpowszechniona jest sowiecka mentalność, po prostu bym się udusił. Ta Polska jest dla mnie zbyt ciasna, po prostu za mała.

DEPORTOWANY

Na tym polegała tragedia Zbigniewa S. Siemaszki. Był to szlachcic litewski, wychowany w najlepszych tradycjach ziemiańskich i patriotycznych. Człowiek innej epoki, innej mentalności, innego formatu. Szerokich horyzontów. Współczesna, postkomunistyczna i nacjonalistyczna Polska była krajem, w którym nie potrafił się odnaleźć.

W niczym nie przypominała ojczyzny, którą musiał opuścić 81 lat temu. Zbigniew S. Siemaszko urodził się w 1923 r. w majątku Lachowszczyzna na terenie byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego. Siedemnaście lat później, gdy wschodnia Polska znalazła się pod sowieckim jarzmem, został wywieziony na wschód.

– Bolszewicy deportowali mnie wraz z mamą i rodzeństwem – opowiadał mi. – Ojciec został aresztowany i zamordowany przez NKWD. Jego nazwisko prawdopodobnie znajduje się na tzw. białoruskiej liście katyńskiej. Był bardzo popularny w okolicy, białoruscy chłopi bardzo go szanowali. Ba, nawet wstawili się za niego u Sowietów. To bardziej zaszkodziło, niż pomogło, „dobry pan” był bowiem dla bolszewików najbardziej niebezpieczny.

eprasa.pl a50b2fd290

– Gdzie państwa deportowano?

– Do Kazachstanu. Mieliśmy wiele szczęścia, bo nie trafiliśmy do kołchozu, tylko do miasteczka rejonowego. Mama jako farmaceutka znalazła pracę, pracowałem także ja. W miejscowym szpitalu zrobiłem zawrotną karierę. Zacząłem od wożenia wody i pilnowania krów, a skończyłem jako „specjalista" od wybijania wszy na rekrutach Czerwonej Armii. Dzisiaj mało kto pamięta, że osobisty lekarz Lenina nazywał się Siemaszko. Był synem powstańca z 1863 r., którego wódz rewolucji poznał w Szwajcarii. Stalin pisał o nim w „Krótkim kursie historii WKP(b)". Wszyscy w Sowietach pytali mnie więc: „A Mikołaj Aleksandrowicz eto wasz dziadzia?". Musiałem odpowiadać, że niestety nie.

Zbigniew Siemaszko w trakcie pobytu w Sowietach mógł z bliska przyjrzeć się funkcjonowaniu pierwszego państwa komunistycznego. Na własne oczy zobaczył, czym w rzeczywistości jest ten wielki eksperyment inżynierii społecznej.

To, co było znakiem rozpoznawczym Siemaszki, to głęboka awersja do bujdy. Do brązownictwa, upiększania historii, naginania faktów

Widział terror, kłamstwo i nędzę. Pogardę dla ludzkiego życia i ludzkiego indywidualizmu. Straszliwą szarość i beznadzieję sowieckiej egzystencji. W efekcie na całe życie pozostał zdeklarowanym wrogiem komunizmu.

Z nieludzkiej ziemi wydostał się po podpisaniu paktu Sikorski-Stalin w 1941 r. Wstąpił do armii Andersa. Przez Irak, Palestynę i Afrykę Południową trafił do Wielkiej Brytanii. Niewiele brakowało, aby jako cichociemny skoczył do Polski. Ostatecznie jednak służył jako radiotelegrafista w sztabie Naczelnego Wodza.

Wojna zakończyła się dla Polski druzgocącą klęską. Kraj został spustoszony, a jego elity przetrzebione. Połowa terytorium Polski – wraz z Lachowszczyzną Siemaszków – znowu znalazła się pod sowieckim buciorem. W drugiej połowie Stalin zainstalował komunizm. O powrocie nie było więc mowy.

Zbigniew S. Siemaszko obiecał sobie, że nigdy więcej nie będzie żył pod władzą komunistów. Pozostał więc w Londynie. Odniósł duży sukces życiowy, czego – niestety – nie da się powiedzieć o wielu innych zdemobilizowanych żołnierzach Polskich Sił Zbrojnych. Siemaszko skończył studia. Pracował w wielu brytyjskich przedsiębiorstwach, był specjalistą od elektroniki wojskowej.

HISTORYK

Miejsce w historii zapewnił sobie jednak jako badacz przeszłości. Wieczorami, po pracy, oddawał się bowiem swojej największej życiowej pasji: historii drugiej wojny światowej. Był jednym z najważniejszych autorów paryskich „Zeszytów Historycznych". Napisał niezliczoną ilość artykułów i wiele przełomowych książek.

„W sowieckim osaczeniu", „Działalność generała Tatara", „Generał Anders w latach 1892–1942", „Narodowe Siły Zbrojne", „Dziewięć spojrzeń na powstanie warszawskie" i wiele, wiele innych. Drukiem wyszła jego pasjonująca korespondencja z Józefem Mackiewiczem i Jerzym Giedroyciem. A także kilka tomów wspomnień. Dorobek – ogromny!

To, co było znakiem rozpoznawczym Zbigniewa S. Siemaszki, to głęboka awersja do bujdy. Do brązownictwa, upiększania historii, propagandowego naginania faktów. Wycierania patriotyczną gumką myszką niewygodnych wydarzeń. Czyli tego, co dziś nazywa się „polityką historyczną".

Siemaszko uważał, że należy pisać tak, jak było. A zadaniem badacza nie jest pokrzepianie serc rodaków, ale krytyczna, chłodna analiza przeszłości. Był przy tym bardzo zasadniczy i pryncypialny. Z prawdą nie szedł na kompromisy. Dlatego ostro piętnował błędy, jakie popełniły polskie czynniki kierownicze podczas drugiej wojny.

Największym z nich była – jego zdaniem – naiwna wiara w to, że ze Związkiem Sowieckim można zawrzeć jakiś kompromis. Dlatego Siemaszko był zdeklarowanym krytykiem polityki Władysława Sikorskiego i Stanisława Mikołajczyka.

Bardzo źle oceniał również kierownictwo AK, które kierowało się czynnikami emocjonalnymi, a nie racjonalnymi. Siemaszko uważał, że akcja „Burza" – czyli ujawnienie Polskiego Państwa Podziemnego przed Sowietami – była szaleństwem. A apogeum tego szaleństwa było powstanie warszawskie. Tragedia, która dla narodu polskiego miała konsekwencje wręcz apokaliptyczne.

REALISTA

Zbigniew S. Siemaszko był realistą i konserwatystą. Już jako młody chłopiec zaczytywał się w organie litewskich Żubrów, wileńskim „Słowie". Gazecie redagowanej przez Stanisława Cata-Mackiewicza, którą prenumerował jego ojciec. Z kolei podczas wojny czytał broszury „Cata", w których publicysta ten na próżno przestrzegał przed katastrofą.

To właśnie środowisko wileńskiego „Słowa" w dużej mierze ukształtowało poglądy Zbigniewa S. Siemaszki. Także na przedwojenną politykę II RP.

„Jeżeli chodzi o Becka, to był on wielką pomyłką Piłsudskiego – mówił w wywiadzie udzielonym Januszowi Pierzchale. – 40 lat temu tego bym nie powiedział, bo tak mnie wychowano, ale teraz mówię – trzeba było iść z Niemcami! Wszystkie te »Międzymorza«, sojusz z Rumunią, szukanie zbliżenia z Czechami, nie mówiąc już o tych – pożal się, Boże – gwarancjach brytyjskich, to nie była polityka. Obowiązkiem polityków polskich było wybrać najmniej złe rozwiązanie".

Siemaszko był wielkim nonkonformistą. Często spadały na niego gromy ze strony tzw. autorytetów moralnych emigracji. Na ogół byłych polityków i wysokich rangą oficerów AK, którzy nie dopuszczali żadnej krytyki „jedynie słusznej" linii politycznej, jaką realizowali podczas drugiej wojny. Było to o tyle paradoksalne, że linia ta przyniosła Polsce klęskę.

Zbigniew S. Siemaszko zmarł 2 lutego 2021 r. w wieku 97 lat. Dużo w swoim życiu zrobił, dużo widział i dużo napisał. Odchodził – bez wątpienia – jako człowiek spełniony. Pozostanie po nim wielka wyrwa. Bez niego polski Londyn nie będzie już taki sam. Odszedł jeden z ostatnich przedstawicieli wojennego pokolenia. Wielki człowiek, intelektualista i patriota starej, dobrej Rzeczypospolitej. Był jednym z moich największych autorytetów.

Panie Zbigniewie, będzie mi brakowało naszych rozmów. Pozostały już tylko książki…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a50b2fd290

FOT. JIM WATSON/AFP/EAST NEWS

Z Joy Pullmann, publicystką amerykańskiego magazynu internetowego The Federalist
rozmawia Piotr Włoczyk

Biden
to tylko zasłona dymna

PIOTR WŁOCZYK: Wielu polskich publicystów przekonuje, że Biden to tak naprawdę polityk centrum, który nie planuje żadnej rewolucji. Może jego prezydentura nie będzie aż tak lewicowa?

JOY PULLMANN: Chciałabym, żeby to była prawda, ale niestety jest zupełnie inaczej. Biden to tylko zasłona dymna. Jego administracja jest naszpikowana radykalnie lewicowymi aktywistami. Partia Demokratyczna z radością na niego postawiła, ponieważ w amerykańskim społeczeństwie cieszy się on raczej opinią człowieka centrum. Nie dziwię się więc, że wielu polskich publicystów również ulega złudzeniu na temat jego prezydentury. Musimy zapamiętać, że demokraci nie zamierzają podążać za centrum. Ta partia przeszła głęboką przemianę w kierunku skrajnie lewicowym.

Nawet jeżeli wielu jego współpracowników ma bardzo progresywne podejście do stosunków społecznych, to jednak ostatecznie to prezydent podejmuje decyzje.

Nie wierzę, że Biden w najbardziej kontrowersyjnych sprawach naciśnie na hamulec. Taki bezpiecznik widzę gdzie indziej. Jego najważniejsze pomysły będą musiały być zaakceptowane przez Kongres. Tymczasem nasz Kongres, mimo że to demokraci sprawują w nim obecnie władzę, wcale nie jest aż tak lewicowy jak administracja prezydenta. Głośno jest o Alexandrii Ocasio-Cortez, która pcha demokratów w stronę socjalizmu, ale jej poglądy nie są reprezentatywne dla Kongresu. Liczę, że największe, najgroźniejsze szaleństwa zostaną powstrzymane właśnie na Kapitolu.

Może jednak prawa strona sporu cywilizacyjnego przesadza trochę z biciem na alarm?

Obawiam się, że nie. Jak bowiem pokazało osiem lat rządów Baracka Obamy, demokraci są gotowi robić wszystko, by omijać Kongres i przepychać swoją rewolucję poprzez władzę wykonawczą. Biden już to robi, czego efektem są rozporządzenia zamieniające nasze szkoły w miejsca niebezpieczne dla dziewcząt.

W jakim sensie?

Jestem kobietą i matką sześciorga dzieci. Pływam, odkąd tylko pamiętam. Tak samo jak moje córki przebieram się w damskich szatniach. Robienie tego w obecności mężczyzny jest dla mnie czymś niewyobrażalnym. Tymczasem Biden zmusił właśnie wszystkie szkoły, które korzystają z pieniędzy federalnych – a to w USA norma – by umożliwiły chłopcom, którzy deklarują się jako płeć przeciwna, wchodzenie do szatni dla dziewcząt. To samo z noclegami podczas wyjazdów szkolnych. Nie będzie już czegoś takiego jak sypialnia tylko dla dziewcząt. Nie mogę zrozumieć, jak to się stało, że protestując przeciw temu, jestem uznawana przez lewicę za na wskroś złego człowieka.

Biden wprowadził przepisy, które usuwają granice między płciami w szkołach. Jego ludzie robią teraz przegląd wszystkich federalnych programów, które można byłoby wykorzystać do niszczenia podziału na dwie płcie. Wszyscy muszą się temu podporządkować albo poniosą konsekwencje – przede wszystkim finansowe.

eprasa.pl a50b2fd290

W pani pracy dziennikarskiej skupia się pani głównie na zmianach proponowanych przez lewicę w kwestii edukacji. Dlaczego to dla pani tak ważna sprawa?

Właśnie z uwagi na moje dzieci. Lewica promuje ideologię, która niszczy dzieci. Musimy tu rozdzielić dwie sprawy. Jedna rzecz to sytuacja, gdy zagubieni dorośli wybierają tak, a nie inaczej. Zupełnie inną kwestią jest jednak mieszanie w głowach naszym dzieciom. One chłoną wszystko jak gąbki, nie mają jeszcze rozeznania i bardzo łatwo jest wykoślawić ich psychikę.

Coraz częściej słychać o przypadkach sterylizacji dzieci, obcinania im zdrowych części ciała. Ta rewolucja nabiera tempa. Naliczyliśmy już ponad sto przypadków młodych dziewcząt, którym obcięto zdrowe piersi. Najmłodsze miały 13 lat! Za sprawą rozporządzeń Bidena amerykańscy podatnicy zaczęli właśnie za to płacić. Zależy mi na zdrowym rozwoju moich dziewczynek i ich koleżanek, chciałabym je chronić przed okropieństwem tych eksperymentów, a tymczasem właśnie zmuszono mnie, żebym – jako podatniczka – płaciła za takie potworności!

Jak bardzo w ostatnich latach zmieniły się programy nauczania w amerykańskich szkołach?

Bardzo. W coraz większej liczbie naszych szkół uczy się dzieci kłamstw na temat mężczyzn i kobiet. To już się zaczyna w przedszkolach! Kilkuletnie dzieci słyszą, że można mieć ciało chłopca, a mózg dziewczynki. To deptanie podstaw wiedzy. Dzieci przychodzą potem zapłakane z przedszkola i mówią rodzicom, że boją się, że coś takiego może im się przydarzyć. Przecież to oczywiste, że wystawianie tak małych dzieci na treści destabilizujące ich poczucie płciowości zwiększa zagrożenie wystąpienia u nich w przyszłości dysforii płciowej. Stanami, które najbardziej nasyciły takimi treściami swoje programy nauczania, są Kalifornia, Illinois, Colorado i New Jersey.

Nazywa pani gender „ideologią". W Polsce trwa dyskusja na ten temat, zwolennicy postępu twierdzą, że używanie słowa „ideologia" to manipulacja, bo w istocie ma tu chodzić po prostu o prawa człowieka.

Nie ma się co dziwić, że druga strona tego sporu nazywa to szaleństwo „prawami człowieka". Przecież nad prawami człowieka się nie dyskutuje – to przyrodzone każdemu człowiekowi prawa i nic tego nie może zmienić. W ten sposób zamyka się dyskusję. To bardzo sprytny zabieg, ale jeżeli takie pomysły prowadzą do amputacji zdrowych części ciała dzieci, to ewidentnie trzeba na ten temat dyskutować. Ten zestaw poglądów jest tak piętrową konstrukcją, że bez wątpienia jest to ideologia.

W swoich tekstach przestrzega pani przed ustawą, na której bardzo zależy demokratom. Dlaczego uważa pani Ustawę równościową (ang. „Equality Act") za niebezpieczną?

Ta ustawa zakłada wymazanie różnic między płciami w całym naszym prawodawstwie. Wszędzie, gdzie dany przepis odnosi się do konkretnej płci, np. w kwestii schronisk dla kobiet będących ofiarami przemocy domowej, zabrania się rozróżniania ludzi na mężczyzn i kobiety. Ta ustawa miałaby przełożenie na szkoły i uniwersytety, ale także na więzienia. Progresywiści od dawna postulują przenoszenie mężczyzn, którzy twierdzą, że są kobietami, do żeńskich zakładów karnych.

To już się dzieje choćby w Kalifornii, gdzie nie trzeba nawet przechodzić żadnych badań. Wystarczy, że dany więzień zadeklaruje, iż jest innej płci, niż wynikałoby to z jego dokumentów.

Oczywiście, że nie mogą tego sprawdzać w żaden sposób, bo według tej chorej ideologii badanie takiego człowieka byłoby pogwałceniem jego praw. „Skoro człowiek wyglądający na mężczyznę mówi, że jest kobietą, to trzeba mu uwierzyć na słowo" – przekonuje nas lewica. Gdyby Ustawa równościowa przeszła przez Kongres, to kalifornijskie podejście do więziennictwa zostałoby rozciągnięte na cały kraj. Lewica tyle mówi o konieczności ratowania kobiet przed przemocą, ale kiedy można tworzyć miejsca, gdzie kobiety są poza zasięgiem niebezpiecznych kryminalistów, to nagle uważane jest to za przejaw nietolerancji. Bezpieczne miejsca dla kobiet stają się polem na wskroś złego eksperymentu.

Dlaczego boi się pani, że również część republikanów może to poprzeć?

Ponieważ w naszym Kongresie jest trochę republikanów, którzy niewiele się różnią od demokratów. Mitch McConnell, lider republikańskiej mniejszości w Senacie, negocjuje właśnie zasady regulujące uchwalanie praw. McConnell może dopilnować, by w Senacie potrzebna była większość 60 głosów, by przegłosować takie prawo jak Ustawa równościowa. Czy będzie o to walczył? To zależy tylko od niego. W negocjacjach może użyć argumentu, że republikanie pójdą demokratom na rękę w pewnych sprawach, np. przy nominowaniu sędziów, jeżeli oni zgodzą się na pewne ustępstwa pod adresem prawicy.

Wróćmy jeszcze do przemiany, jaką przechodzą amerykańskie szkoły. Jak to możliwe, że wiele placówek oświatowych w USA ma obowiązek zatajania przed rodzicami problemów z tożsamością płciową ich dzieci?

W zasadzie to żadna nowość, tylko do tej pory chodziło tu o aborcję. Aktywiści proaborcyjni przez ostatnie pół wieku mocno walczyli, by 14-, 15-letnie dziewczyny mogły dokonywać aborcji bez wiedzy rodziców. Teraz jednak zostało to zastosowane również do kwestii transpłciowości. Wiele szkół za plecami rodziców „pomaga" zagubionemu dziecku w „zmianie" płci… To ma sens z punktu widzenia zmian, które lewica chce forsować – mocne więzi rodzinne, silna władza rodzicielska nie sprzyjają rewolucji. Dlatego najpierw trzeba to gruntownie zmienić. Bez atomizacji społeczeństwa nie da się go przebudować.

Dobrze wyczuwam, że nie jest pani zbyt optymistycznie nastawiona na przyszłość?

Mam wrażenie, że najbliższa dekada pokaże, w którą stronę to pójdzie. Jest jednak pewna nadzieja. Ludzie, którzy przepychają kolanem seksualną rewolucję, pędzą zbyt szybko. Wszyscy znamy opowiastkę o gotowaniu żaby. Widać, że lewica ostatnio zbyt mocno odkręciła kurek z gazem i żaba właśnie zaczyna czuć gorąc.

Coś w tym chyba jest, bo można odnieść wrażenie, że nawet gorący sympatycy zmian społecznych zaczynają się już trochę gubić w tej rewolucji – w dobrym tonie stało się ostatnio bezpłciowe mówienie o „osobach" zamiast o kobietach i mężczyznach, a katalog nowych płci wydaje się już nie mieć końca.

O tym właśnie myślę. Bardzo wielu sympatyków lewicy w USA i generalnie na świecie myśli, że to jednak gruba przesada. Wciąż kibicują homoseksualistom, ale jednak gender wydaje im się czymś niezrozumiałym. I to jest szansa. To pozwala myśleć o szerokiej politycznej koalicji ludzi sprzeciwiających się zatruwaniu dziecięcych umysłów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Joy Pullmann
– publicystka amerykańskiego serwisu The Federalist, szczęśliwa żona i matka sześciorga dzieci.

eprasa.pl a50b2fd290

Witold Repetowicz

Następna wojna na

Ukraina zacieśnia współpracę militarną i polityczną z Turcją, widząc w niej sojusznika przeciwko Rosji. Jeśli Turcja sprowadzi na Ukrainę dżihadystycznych najemników, to dla Polski może to oznaczać poważne zagrożenie

Wiele wskazuje na to, że za kilka miesięcy może dojść do eskalacji konfliktu w Donbasie. Przyczyną może być uznanie przez Ukrainę, że jest ona zdolna do odzyskania kontroli nad terenami utraconymi w 2014 r. po rewolucji na Majdanie według podobnego scenariusza, jak to nastąpiło niedawno w odniesieniu do odbicia części Górskiego Karabachu przez Azerbejdżan. Problem w tym, że jest to założenie całkowicie fałszywe i oparte na błędnej ocenie tego, co w istocie stało się na południowym Kaukazie. W szczególności niebezpieczna w tym kontekście jest narracja, forsowana również w Polsce przez lobby turkofilskie, głosząca, że Rosja jest w tej rozgrywce przegrana, a Turcja reprezentuje jakoby interesy szeroko rozumianego Zachodu, rzekomo blokując rosyjski ekspansjonizm.

To, co Rosji najbardziej zagraża w obszarze postsowieckim, to poszerzanie strefy wolności, co ściśle wiąże się ze wzrostem wpływów szeroko rozumianego Zachodu jako jądra świata demokratycznego. Chodzi tu w szczególności o USA oraz Europę. Warto przy tym pamiętać, że choć między Polską a niektórymi innymi krajami występują rozbieżności dotyczące rozumienia wolności i demokracji, to nie ulega wątpliwości, że jesteśmy częścią demokratycznego świata zachodniego, do którego nie należą natomiast ani Rosja, ani Turcja, ani Azerbejdżan. Wystarczy zatem spojrzeć choćby na mapę renomowanego amerykańskiego ośrodka Freedom House, od dekad monitorującego stan wolności i demokracji na świecie, by zrozumieć polityczne cele Moskwy w byłym obszarze sowieckim. Pomijając trzy państwa nadbałtyckie, które podobnie jak Polska związały swą przyszłość z NATO, UE i sojuszem z USA, żadna inna była republika ZSRS nie jest oceniana jako w pełni wolne i demokratyczne państwo. Niemniej Ukraina, Mołdawia, Gruzja oraz Armenia znajdują się w sytuacji przejściowej. Wychodzenie tych państw z systemu autorytarnego ściśle wiąże się z utratą wpływów rosyjskich na rzecz Zachodu. Wspomniane cztery państwa łączy również z Europą wspólnota cywilizacyjna, czego nie można powiedzieć o Turcji i strefie jej wpływów.

AKCEPTOWALNA CENA

Raporty Freedom House i innych podobnych organizacji nie pozostawiają żadnych wątpliwości, że stan demokracji w Armenii zaczął się szybko poprawiać po rewolucji, która wybuchła w tym kraju w 2018 r. Nowe władze miały oczywiście świadomość, że osłabiając swoje relacje z Moskwą, stąpają po kruchym lodzie, więc proces zbliżenia z Zachodem był ostrożny, aczkolwiek wyraźny. W Armenii coraz częściej pojawiały się głosy przeciwne rosyjskiej obecności wojskowej w tym kraju. Erywań próbował również poprawić swoje relacje z Gruzją, co zmieniłoby geopolityczną układankę na niekorzyść Rosji. Potencjalne wsparcie tych procesów przez Zachód mogłoby doprowadzić do całkowitego załamania się wpływów rosyjskich na tym obszarze.

Dlatego właśnie Rosja musiała zadziałać. Osłabianie się wpływów rosyjskich na rzecz dryfowania w kierunku wolnego świata Zachodu zaczęło się bowiem przed wojną azerbejdżańsko-armeńską, a nie w jej wyniku, natomiast klęska Armenii ten proces zastopowała. Cena w postaci dopuszczenia wzrostu wpływów tureckich w regionie była przy tym akceptowalna, bo wpływy autorytarnej Turcji na obszarze postsowieckim zawsze będą dla Rosji mniejszym złem niż wpływy demokratycznego Zachodu. Turcja nigdy zresztą nie uzyska wpływów w Armenii, a w Azerbejdżanie ma je od dawna. Kontrola Ankary nad Baku znacznie zmniejszy przy tym prawdopodobieństwo, że nastąpi tam jakaś demokratyzacja połączona z pojawieniem się obywatelskich inicjatyw pojednania azerbejdżańsko-armeńskiego. Zamiast tego Rosja

eprasa.pl a50b2fd290

planuje już budowę mini-ZSRS-bis czy „ruskiego miru", reaktywując istniejące korytarze transportowe z czasów sowieckich. Oczywiście pod swoją kontrolą. Towarzyszy temu koncentracja sił rosyjskich wykraczająca daleko poza limity uzgodnione w porozumieniu kończącym wojnę.

Oznacza to, że Rosja nie tylko powstrzymała proces utraty swoich

Prezydent Turcji Recep Tayyip Erdoğan (z lewej) i prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski FOT. VLADIMIR SINDEYEVE/NURPHOTO/GETTY IMAGES

Ukrainie?

wpływów w Armenii na rzecz Zachodu, lecz także utrzymała, a nawet zwiększyła, możliwość wpływu na Azerbejdżan. W tym kontekście wzrost wpływów tureckich w sąsiedniej Gruzji jest również korzystny dla Rosji, bo odbywa się nie kosztem jej kontroli, gdyż tę już dawno utraciła, lecz Zachodu. Oddala też perspektywę jakiejś normalizacji relacji gruzińsko-abchaskich czy gruzińsko-osetyjskich pod patronatem Zachodu. Ewentualna nowa próba odzyskania kontroli nad tymi terenami przez Tbilisi w oparciu o Turcję skończy się porażką. W dodatku Turcja ma chrapkę na muzułmańską Adżarię, więc może wykorzystać sytuację do wprowadzenia do Batumi swoich wojsk.

Lobby turkofilskie, dość aktywne w Polsce, uzna to zapewne znów za „klęskę Rosji" i poszerzenie wpływów Zachodu kosztem Moskwy. Tyle że ekspansja turecka nie prowadzi do projekcji wpływów Zachodu, lecz ich eliminacji. Wynika to z natury stosunków turecko-rosyjskich opartych na dwóch sprzężonych ze sobą elementach: współpracy i rywalizacji. Współpraca sprowadza się do eliminacji wpływów innych podmiotów, w szczególności Zachodu, na terenach objętych rosyjsko-turecką rywalizacją o wpływy. Widać to było wyraźnie m.in. w Syrii, gdzie turecki atak na Kurdów spowodował osłabienie wpływów USA i pojawienie się Rosjan w Syrii Północno-Wschodniej, a następnie do uruchomienia wspólnych patroli turecko-rosyjskich.

SCENARIUSZ GRUZIŃSKI?

Inną cechą charakterystyczną relacji turecko-rosyjskich jest to, że ani Ankara, ani Moskwa nie podejmują działań zagrażających bezpośrednio sobie nawzajem. Terytoria obu państw są wyłączone z tej rywalizacji o wpływy. Zakładanie zatem, że Turcja doprowadzi do dezintegracji Rosji, jest całkowitym nieporozumieniem, bo na początku 2016 r. Rosja pokazała, że w ramach odwetu może wspierać kurdyjską partyzantkę w samej Turcji. Ponadto w ostatnich latach oba państwa mocno zwiększyły wzajemne powiązania i bezpośrednia konfrontacja nie jest w interesie żadnego z nich. Co innego uderzanie w interesy drugiej strony na innym obszarze rywalizacji. W szczególności Rosja ma takie możliwości w Syrii, atakując protureckich dżihadystów w Idlibie za każdym razem, gdy Turcja zrobi krok za daleko, np. na południowym Kaukazie.

Kluczowym elementem odróżniającym konflikt w Donbasie (nie mówiąc już o Krymie), a także Naddniestrzu, Osetii Południowej czy Abchazji, od Górskiego Karabachu jest to, że w tym ostatnim nie było dotąd wojsk rosyjskich, które Moskwa chciała tam wprowadzić. Faktem jest przy tym, że tureckie drony odegrały ważną rolę w tej wojnie, a rosyjska doktryna wojenna jest w tym zakresie zacofana. Dlatego Ukraina zaczęła kupować od Turcji drony typu Bayraktar i wiele wskazuje na to, że może uznać, iż to otworzy jej drogę do odzyskania Donbasu, a być może również Krymu. Na tę ostatnią ewentualność wskazują też wypowiedzi tureckiego prezydenta Erdoğana, nagle podkreślającego historyczne związki Krymu z Turcją i zapowiadającego, że Turcja nigdy nie uzna aneksji półwyspu przez Rosję.

Ukrainę czeka jednak srogi zawód, jeśli sądzi, że Turcja gotowa jest do konfrontacji z Rosją w kwestii Donbasu czy Krymu. Próba odzyskania przez Ukrainę kontroli nad tymi terenami skończy się zatem raczej uruchomieniem scenariusza gruzińskiego z 2008 r., czyli bezpośrednią interwencją Rosji i próbą ponownej realizacji projektu Noworosji obejmującej także inne tereny południowo-wschodniej Ukrainy, m.in. Odessę. Przy tym ci, którzy twierdzą, że Rosji na to nie stać, zapominają, że choć kraj ten jest ekonomicznie słaby, to Turcja i Ukraina są w jeszcze gorszej kondycji.

Wielce prawdopodobne jest przy tym to, że tureckie wsparcie dla Ukrainy polegać będzie na przerzuceniu do tego kraju dżihadystycznych najemników, których Ankara wykorzystywała również w innych konfliktach, w tym w Górskim Karabachu. Zwłaszcza że Ukraina już wcześniej pokazała, że jest gotowa przyjąć pomoc od każdego, kto jest przeciwnikiem Rosji, nawet jeśli są to osoby związane z Al-Kaidą czy Państwem Islamskim. Tymczasem pojawienie się dżihadystów na większą skalę na Ukrainie będzie dla niej samobójstwem, gdyż Rosja wykorzysta to do skompromitowania Kijowa w oczach Zachodu i będzie to dla niej dodatkowy pretekst do przeprowadzenia szeroko zakrojonej „operacji antyterrorystycznej".

KONSEKWENCJE DLA POLSKI

W rezultacie Ukraina nie tylko nie odzyska Donbasu i Krymu, lecz także zaryzykuje utratę kolejnych terenów na rzecz Rosji, a następnie aneksję Noworosji. Tymczasem w Kijowie umocni się Turcja, osłabiając w ten sposób nie wpływy rosyjskie, lecz zachodnie, i negatywnie wpływając na rozwój demokracji na Ukrainie.

Polska stanie tymczasem przed wyzwaniem, gdyż wojna doprowadzi do pojawienia się fali uchodźców, wśród których ukrywać się będą również dżihadyści, pragnący dotrzeć do zachodniej Europy przez Polskę. To zaś doprowadzi do znacznego wzrostu zagrożenia terrorystycznego nie tylko w Paryżu, Brukseli czy Berlinie, lecz także w Warszawie, Krakowie czy Gdańsku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a50b2fd290

FOT. MATEO BALDA

Z Santiago Abascalem, liderem partii Vox
rozmawia Małgorzata Wołczyk

Sprzeciw patriotów musi wygrać

MAŁGORZATA WOŁCZYK: Przyznam, że w przeciwieństwie do licznie przypływających do Hiszpanii imigrantów przybyszowi z Polski nie jest łatwo sforsować kolejne kontrole sanitarne (negatywny test PCR w języku hiszpańskim lub angielskim, kod QR, trzykrotny pomiar temperatury)...

SANTIAGO ABASCAL: Wydaje się, że dla hiszpańskiego rządu milej widziani są imigranci nielegalni niż turyści, ale trzeba zaznaczyć, że przede wszystkim rząd źle traktuje obywateli własnego kraju. Hiszpanie nie mogą swobodnie poruszać się po kraju, a godzina policyjna zamyka ich w domu. Jednocześnie przymyka się oko na masową inwazję nielegalnych imigrantów, których lokuje się w hotelach, do których nie mają dostępu turyści. Wyspy Kanaryjskie dotknięte są przez to ogromnym kryzysem.

Vox jest trzecią siłą w Hiszpanii i wciąż rośnie w sondażach, stanowiąc w zasadzie jedyną opozycję wobec rządów lewicy. W przeciwieństwie jednak do polskiej opozycji totalnej nie wyznaje hasła: „Im gorzej, tym lepiej". Jaka powinna być rola partii opozycyjnej?

Myślę, że sytuacja Polski i Hiszpanii jest zupełnie inna. Trudno zakwalifikować waszą KO jako opozycję, jest po prostu częścią agendy globalizmu, bo zdołała przykleić się do establishmentu i organizmów międzynarodowych. Mało tego, udaje jej się szkodzić interesom własnego państwa, więc powiedziałbym, że to raczej rząd Polski jest opozycją wobec międzynarodówki globalistów, do której należy Donald Tusk.

W Hiszpanii jest inaczej, Vox znalazł się w opozycji wobec partii, która po pierwsze, okłamała wyborców, bo doszła do władzy, zapewniając Hiszpanów, że nie będzie paktować z separatystami, komunistami i ze spadkobiercami terrorystycznej ETA, a tymczasem od razu po wyborach PSOE (Hiszpańska Socjalistyczna Partia Robotnicza) przystąpiła do sojuszów z nimi. To poważne naruszenie zasad, choć nie jest objęte kodeksem karnym. Dlatego sytuacja Hiszpanii jest nieporównywalnie groźniejsza, bo ci, którzy chcą rozpadu Hiszpanii i utraty suwerenności, znajdują się dziś w strukturach władzy. Rolą opozycyjnego Vox jest bronić konstytucji, stabilności i jedności kraju.

Dlatego spoglądamy z zazdrością na Polskę!

Macie chyba jeszcze więcej powodów do obaw, bo choć nie wszyscy na świecie rozumieją szum wokół króla, to wiele wskazuje na to, że po cichu usiłuje się obalić monarchię?

Moim zdaniem mamy najgorszy rząd od 80 lat, uległy wobec komunizmu, separatyzmu i spadkobierców ETA. I myślę, że spora część narodu tak to postrzega i wie, że oskarżana monarchia jest znacznie „zdrowsza" niż partie lewicy i mediów z nią związane. Jestem pewien, że gdyby dziś król stanął do wyborów, byłby kandydatem o największej liczbie oddanych głosów, bo cieszy się szacunkiem i popularnością. Ataki na monarchię służą przykrywaniu fatalnego zarządzania kryzysem sanitarnym i ekonomicznym. Jesteśmy w czołówce najgorzej radzących sobie państw.

Skoro w Hiszpanii jest tak źle, to dlaczego Komisja Europejska i organy unijne nie reagują, za to stan polskiej praworządności spędza im sen z powiek?

Bo rząd Hiszpanii jest gotowy zrzec się suwerenności, a rząd polski jej nie poświęci. To kluczowa kwestia. Biurokraci z UE w sojuszu z globalistami maltretują państwa, które są dumne ze swoich

eprasa.pl a50b2fd290

korzeni, strzegą suwerenności i wierzą, że to ich narody muszą mieć w rękach stery swego losu. My jesteśmy w opozycji totalnej właśnie dlatego, że opowiadamy się za suwerennością państw członkowskich. A Polska, razem z Węgrami, była wzorem jej obrony w momencie negocjowania funduszu odbudowy, wymagając, aby nie był powiązany z kwestiami ideologicznymi. To zwycięstwo było też w pewnym sensie wypracowywane dla nas wszystkich. Dlatego UE tak źle traktuje Polskę, choć to Hiszpania popełnia katastroficzne błędy w zarządzaniu, o których się nie mówi.

Tyle że mamy mnóstwo wątpliwości, czy aby na pewno było to zwycięstwo. Już szykują na nas nowe pułapki.

Oczywiście to była jedna z bitew, wygrana moim zdaniem, ale przygotujcie się na więcej. Nadal będą usiłować pozbawić was niezależności.

Czy przy okazji polskiego weta słychać było w części Hiszpanii, czy szerzej – krajów południa – głosy oburzenia? Hiszpania bardzo potrzebowała tych funduszy.

Po pierwsze, mówimy o wypłatach znacznie mniejszych, niż rząd potrzebuje przeznaczyć na złagodzenie gospodarczych skutków pandemii. Po drugie, powiązanie tych pieniędzy z Agendą 2030 ma swoje skutki: program klimatyczny rujnuje nasz przemysł, pieniądze przeznaczone na politykę otwartych granic niszczą naszą tożsamość, bezpieczeństwo i dobrobyt, w dodatku wliczyć tu trzeba kwestie związane z narzucaniem ideologii gender i dlatego tak ważne było, aby ten fundusz uwolnić od ideologicznych nacisków.

Jak postrzega pan różnicę w reformie Krajowej Rady Sądownictwa w wykonaniu rządu polskiego i hiszpańskiego?

Różnica jest ogromna. Polska reforma szuka tego, co Hiszpania przeprowadziła już w 1985 r. i co wówczas nie wzbudziło żadnego skandalu, choć debatę owszem. Vox stoi na pozycji jak największego podziału władzy, sędziowie muszą być wybierani przez sędziów. Tyle że to, co zaszło teraz w Hiszpanii, jest o wiele poważniejsze, interwencja zaszła jeszcze dalej niż w Polsce, co odzwierciedla podwójne standardy, bo Hiszpania otrzymała od instytucji unijnych zaledwie ostrzeżenie, a Polska stale ustawiana jest pod pręgierzem.

Zarówno PiS, jak i Vox mają sporo wrogów w swoich krajach i wśród globalistów, poza tym media międzynarodowe zwykły ukazywać te partie w karykaturze. Gdzie szukać sojuszników w tej nierównej walce i wojnie kulturowej? Zwłaszcza po tym, co się stało w USA?

Wyznaję zasadę, że kto wytrwa, ten zwycięży. To nasz obowiązek – nie poddawać się, nie zrażać się, bo w ten sposób pewnego dnia wygramy. Ale trzeba szukać sojuszy, dlatego rozwijamy relację z rządem polskim, węgierskim, ale też wśród opozycji, tak jak we Włoszech, gdzie mamy świetną relację z Giorgią Meloni z Fratelli, która zdobywa tam coraz lepszą pozycję. Rozmawiamy także z opozycją w USA.

Pejzaż niezbyt optymistyczny, stanowimy akurat tę mniejszość, która jakoś paradoksalnie nie może liczyć na równouprawnienie czy wsparcie potężnych protektorów...

Uważam mimo wszystko, że nasz projekt, czyli sprzeciw patriotów przeciwko globalistom, musi wygrać! Wbrew temu, co nam się narzuca, to my bronimy wolności i tego wszystkiego, czego uczyli nas nasi ojcowie, bronimy pluralizmu, wolności opinii i nawet zdrowego rozsądku. To oni są na przegranej pozycji, bo lansują superpaństwo globalne, które chce skończyć z różnorodnością i wolnością. Bronimy prawdy i dobra, dlatego nie możemy się poddać! A sojuszników mniejszych lub większych znajdziemy w każdym kraju, bo patrioci są wszędzie.

Ale zarówno wy, jak i my nie mamy sprzymierzeńców wśród liberałów z tzw. centrum, którzy jakoś nie potrafili zauważyć, że jesteśmy w momencie absolutnie krytycznym, myślę tu o cenzurze Big Tech. Skoro to oni faktycznie rządzą i decydują, kto ma prawo do opinii, a kto musi zamilknąć, to co nam po konstytucjach, rządach, demokracji?

Zadaję to samo pytanie. Jeśli czterech milionerów w dżinsach przez nikogo niewybranych może decydować, jakie są nasze swobody, i stać się arbitrami prawdy i sprawiedliwości, to po co nam rządy? Ale jednocześnie cenzura wobec Trumpa spowodowała ogromną reakcję nawet wśród tych, którzy nie byli jego zwolennikami. To zdrowy odruch sprzeciwu, nawet Angela Merkel zareagowała.

Tak, ale przyznam, że obserwując wasze debaty w Kongresie, mam wrażenie, że niestety ukradli wam język i np. w czasie zatwierdzania ustawy o eutanazji „wolność" i „godność" oznaczały zupełnie co innego dla was, konserwatystów, a co innego dla lewicy. Jak przekonać ludzi do swych racji na tej wieży Babel?

Ale takie debaty, spory o język toczą się na całym świecie. To nie jest tylko bolączka Hiszpanii, ostatnio obserwowaliśmy to w USA. Nie poddajemy się, walczymy, by przywrócić znaczenie słowom najważniejszym, choć to bardzo trudna batalia.

W Polsce też doświadczamy zmian, które obserwujemy z przerażeniem. Wyłonił się radykalny i wulgarny ruch Strajk Kobiet.

Trzeba uważać na wszystkie ruchy supremacyjne, a radykalne feministki czują się kimś, kto powinien mieć więcej praw albo stać ponad prawem. Powinniście być wyjątkowo czujni. Pokonaliście komunizm, ale radykalny feminizm i globalizm powracają z marksizmem kulturowym. Musicie być tak silni i wytrwali jak do tej pory. Polska była przykładem i wciąż jest punktem odniesienia dla reszty Europejczyków, którzy czują się samotni w dzisiejszym układzie politycznym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Rozmowa została przeprowadzona 21 stycznia 2021 r. w hiszpańskim Kongresie.

eprasa.pl a50b2fd290

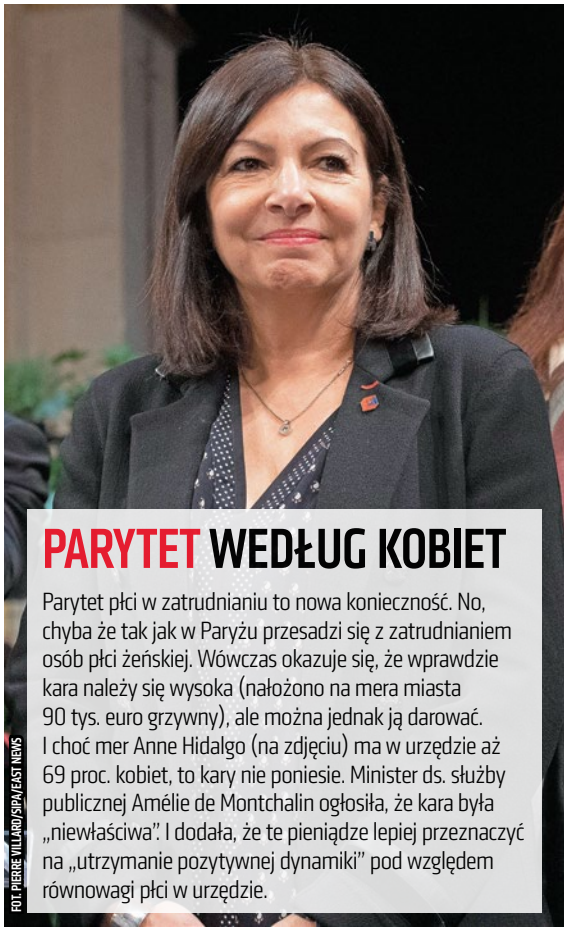

FOT. PIERRE VILLARD/SIPA/EAST NEWS

PARYTET WEDŁUG KOBIET

Parytet płci w zatrudnianiu to nowa konieczność. No, chyba że tak jak w Paryżu przesadzi się z zatrudnianiem osób płci żeńskiej. Wówczas okazuje się, że wprawdzie kara należy się wysoka (nałożono na mera miasta 90 tys. euro grzywny), ale można jednak ją darować. I choć mer Anne Hidalgo (na zdjęciu) ma w urzędzie aż 69 proc. kobiet, to kary nie poniesie. Minister ds. służby publicznej Amélie de Montchalin ogłosiła, że kara była „niewłaściwa". I dodała, że te pieniądze lepiej przeznaczyć na „utrzymanie pozytywnej dynamiki" pod względem równowagi płci w urzędzie.

PORTUGALIA POZWALA ZABIJAĆ

Parlament Portugalii przegłosował ustawę legalizującą eutanazję. Projekt – który poparło 136 z 230 posłów – zakłada, że eutanazji będzie mogła się poddać osoba dorosła. Konieczna będzie konsultacja lekarska, która potwierdzi, że osoba pragnąca dokonać wspomaganego samobójstwa, cierpi „w sposób chroniczny" i jest nieuleczalnie chora. Jeśli prezydent Rebelo de Sousa podpisze ustawę, Portugalia stanie się czwartym krajem w Europie, w którym odbieranie życia na życzenie pacjentów będzie legalne.

ZIGNOROWAŁ WŁASNE WYTYCZNE

Agencja Zdrowia Publicznego w Szwecji zaapelowała do mieszkańców o noszenie maseczek w komunikacji publicznej, przynajmniej w godzinach szczytu. Tymczasem szef tej agencji – Johan Carlson – został przyłapany przez dziennikarzy na dworcu kolejowym w Sztokholmie, jak paradował tam bez maseczki. Przyznał się, że zapomniał o zaleceniach urzędu, któremu szefuje.

LOCKDOWN PO IZRAELSKU

Przepisy sanitarne w Izraelu przewidują zakaz gromadzenia się w jednym miejscu więcej niż 10 osób. Tymczasem w Jerozolimie w procesji pogrzebowej ortodoksyjnego rabina Meszulama Dowida Sołowiejczyka udział wzięło kilkanaście tysięcy osób. Rzecznik policji mówił izraelskiej prasie, że policja „nie ma zamiaru ścierać się z 20 tys. ludzi, ponieważ nie jest w stanie tego zrobić".

JEDNA MASECZKA JUŻ NIE WYSTARCZY

W USA wykryto nowe, o wiele bardziej zakaźne szczepy koronawirusa (tak jak w innych częściach świata, np. tzw. wariant brytyjski), więc eksperci zaapelowali tam, by ludzie zwiększyli ochronę własną. Polecono im zakładać już nie jedną maseczkę, ale dwie naraz. Można też zakładać na chirurgiczną maseczkę maseczkę bawełnianą. Ciekawe, kiedy dojdziemy do zaleceń noszenia trzech albo czterech warstw? I czy limitem będzie w ogóle możliwość oddychania? ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Płotki ograły rekiny?

Takich scen giełdy nie widziały od lat. Chociaż wielu specjalistów podkreśla, jak ważni na giełdzie są inwestorzy indywidualni, to w starciu z rekinami Wall Street często stają się oni jedynie „dawcami kapitału". Zdarza się tak szczególnie wtedy, gdy płotki inwestują w wybraną spółkę, licząc na wzrost jej kursu, a potężne fundusze zarabiają, obstawiając spadki i często bardzo mocno dołując wartość wybranego papieru.

Na niektórych giełdach tzw. shorty są więc zabronione. „Nie możesz sprzedać domu, którego nie jesteś właścicielem. Nie możesz sprzedać samochodu, którego nie masz. Ale czy możesz sprzedać akcje, które do ciebie nie należą? To nonsens" – tak tego typu transakcje skomentował Elon Musk. Jeden z najbogatszych ludzi świata nazwał tzw. shorty „legalnym oszustwem".

W USA i w Polsce można jednak zarabiać na spadającej wartości spółek. Tak było w przypadku amerykańskiej spółki GameStop czy polskiego CD Projektu. Na obu krótkie pozycje zajmował m.in. fundusz hedgingowy Melvin Capital Management. Zirytowani działalnością wielkich funduszy drobni inwestorzy, wsparci m.in. przez Muska, doprowadzili więc do „wyciskania" krótkich pozycji. Kupując duże ilości akcji wybranych spółek, użytkownicy portalu Reddit doprowadzili do tak gwałtownego wzrostu kursów, że w końcu również grające na spadki fundusze musiały zacząć kupować, co dodatkowo podwyższyło kurs spółek będących celem tej operacji. Na walce dawidów z goliatami sporo zarobiło wiele płotek, a rekiny zostały mocno pokiereszowane. Melvin Capital Management stracił w styczniu aż 53 proc. kapitału. Po nosie dostał też Maplelane Capital (stracił 45 proc. kapitału). Rekiny dadzą jednak sobie radę. Gorzej z tymi płotkami, które drogo kupiły, aby tanio sprzedać. ©℗

eprasa.pl a50b2fd290

Niedziela
w Telewizji Republika

REPUBLIKA

W Punkt
9:06
zaprasza Katarzyna Gójska

Studio prasowe
10:06
zaprasza Adrian Stankowski

Salonik polityczny
11:00
zaprasza Rafał Ziemkiewicz

Polityczna kawa
12:00
zaprasza Tomasz Sakiewicz

oglądaj również na www.tvrepublika.pl

eprasa.pl a50b2fd290

FOT. ADOBE STOCK

Jacek Przybylski

Starcie gigantów

Pandemia sprawiła, że Polacy dużo chętniej robią zakupy przez Internet. Wydatki na e-zakupy mają szybko rosnąć również w tym i w przyszłym roku. Na kawałek polskiego tortu mają więc ochotę globalni gracze. Na nadchodzącym starciu gigantów zyskać mogą zarówno e-konsumenci, jak i e-sprzedawcy

eprasa.pl a50b2fd290

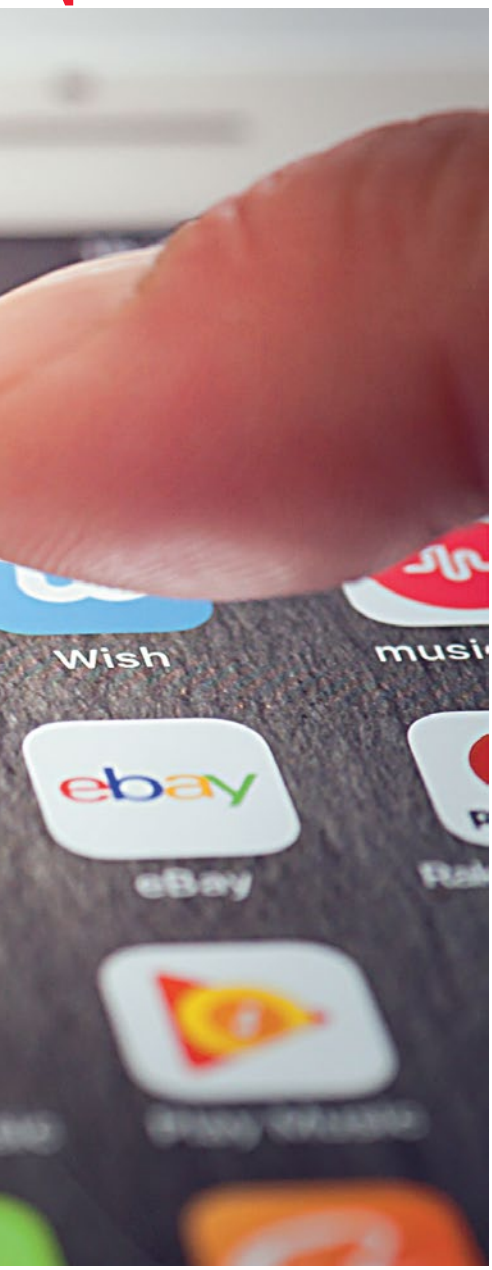

Udział sprzedaży internetowej w polskim handlu detalicznym wzrósł z 8 proc. w roku 2019 do 12 proc. w 2020 r., a w 2021 r. powinien osiągnąć 13,5 proc. – prognozują Analitycy Trigon DM.

Z raportu „E-commerce w Polsce. Gemius dla e-Commerce Polska" wynika z kolei, że już 73 proc. polskich internautów robi zakupy online. Jedna trzecia z e-kupujących korzysta zaś nie tylko z polskich, lecz także z zagranicznych serwisów e-commerce. Właśnie z takich powodów pogłoski o rychłym wejściu Amazona do Polski z pełną ofertą pojawiały się regularnie od co najmniej trzech lat. We wrześniu 2020 r. krążyły plotki, z których wynikało, że amerykański gigant zawrze umowę z Pocztą Polską i wystartuje w listopadzie, aby zdążyć ze startem przed zakupowym szaleństwem w czarny piątek i cyfrowy poniedziałek. Plotki te nabrały rumieńców, gdy okazało się, że współpracę z Amazonem zacieśnił polski król paczkomatów, czyli InPost.

Wygląda jednak na to, że pandemia opóźniła termin debiutu i dopiero pod koniec stycznia 2021 r. przedstawiciele największego sklepu internetowego świata oficjalnie poinformowali o rozpoczęciu prac nad uruchomieniem w Polsce platformy Amazon.pl. Szykuje się więc wyjątkowo ostra wojna o portfele Polaków – jednocześnie o internetowych kupujących znad Wisły rywalizuje niemal 45 tys. mniejszych e-sklepów oraz tacy giganci jak AliExpress, eBay oraz Allegro, którego giełdowa wycena na wieść o wejściu do Polski potężnego konkurenta natychmiast mocno spadła.

GIGANT NA STERYDACH

Amerykański koncern wchodzi na polski rynek e-commerce mocno wzmocniony po rewelacyjnym roku 2020. Przed ogłoszeniem wyników giełdowi analitycy spodziewali się rekordowych zysków Amazona, ale rzeczywistość przekroczyła ich najśmielsze oczekiwania. Tylko w czwartym kwartale 2020 r. założony przez Jeffa Bezosa gigant osiągnął przychód przekraczający 125 mld (!) dol. oraz zysk w wysokości 7,2 mld dol. W całym 2020 r. przychód ze sprzedaży towarów i usług tej amerykańskiej platformy wyniósł 386 mld dol., a zysk netto przekroczył 21 mld dol.

W pandemii ludzie na całym świecie rzucili się bowiem na internetowe zakupy.

Jednakże pandemia koronawirusa opóźniła pełne wejście Amazona do Polski. Największy sklep internetowy świata nad Wisłą jest obecny od 2014 r. W dziewięciu centrach logistycznych oraz w biurze Amazon Web Services i Centrum Rozwoju Technologii Amazon w Gdańsku zatrudnia ponad 18 tys. osób. Dzięki temu jest największym amerykańskim pracodawcą w Polsce oraz trzecim co do wielkości amerykańskim inwestorem nad Wisłą. W 2021 r. Amazon planuje uruchomienie w Polsce kolejnego centrum logistycznego – w Świebodzinie w województwie lubuskim zatrudnienie znaleźć ma ponad tysiąc osób.

Imperium założone przez Jeffa Bezosa w 1994 r. warte jest według giełdowej wyceny ok. 1,7 bln dol., czyli równowartość 6,34 bln zł. To kwota kosmicznie trudna do wyobrażenia. Zauważmy więc, że gdyby Amazon był nie spółką, lecz krajem, to już w 2017 r. zajmowałby 58. miejsce na liście państw o najwyższym produkcie krajowym brutto.

W 2020 r. sam majątek twórcy Amazona – który z niewielkiej internetowej księgarni uczynił globalnego potentata – nie tylko przekroczył stan posiadania całej brytyjskiej monarchii, lecz także jest on już porównywalny z PKB poszczególnych krajów. Wartość majątku Bezosa wynosi mniej więcej tyle, ile wytwarza gospodarka całej Nowej Zelandii. Innymi słowy, jest on porównywalny z wartością wszystkich wydojonych krów, przystrzyżonych owiec, a także towarów i usług wytworzonych w ciągu jednego roku przez niemal 5 mln osób. Dzienne (!) zarobki Jeffa Bezosa były zaś porównywalne z kwotą, którą Australia rocznie (!) wydaje na swój system edukacji.

Jeszcze inny pomysł na wyobrażenie sobie fortuny Bezosa znalazł portal Business Insider: założyciel Amazona jest już tak bogaty, że gdy wydaje 2 mln dol., to można to porównać do sytuacji, w której przeciętny Amerykanin wydaje jednego dolara. Bezos w ciągu sekundy zarabia zaś więcej niż przeciętny amerykański pracownik przez cały tydzień. Jako 57-latek może już więc spokojnie myśleć o stopniowym przechodzeniu na emeryturę. Jak ogłosił Amazon w trzecim kwartale 2021 r., Bezosa na stanowisku prezesa zastąpi Andy Jassy, a twórca największego sklepu internetowego świata przejdzie do rady nadzorczej.

SZYBSZE DOSTAWY, NIŻSZE CENY

Wejście na polski rynek tak ogromnego gracza powinno zadziałać ożywczo na lokalnych konkurentów. Polscy konsumenci nie tylko będą więc mogli liczyć na większą ofertę detaliczną (Amazon pośredniczy w sprzedaży ponad 12 mln produktów), bardziej zaciętą rywalizację o jak najniższą cenę, lecz przede wszystkim zyskają szansę na dużo lepszą jakość obsługi. Co prawda Amazon od kilku lat prowadzi również polską wersję językową swojego niemieckiego serwisu, ale uruchomienie całkowicie polskojęzycznej platformy umożliwi

eprasa.pl a50b2fd290

pokazanie, jak powinien być traktowany konsument.

Zresztą od lat, choć Amazon nie podał jeszcze nawet konkretnej daty premiery, największe serwisy starają się jak najbardziej przypodobać klientom. Allegro, przygotowując się przez ostatnie lata do nadchodzącego starcia gigantów, wprowadziło m.in. świetną aplikację na smartfony, wygodną usługę dla kupujących Allegro Smart (z nielimitowaną liczbą dostaw do paczkomatów), Raty Allegro oraz tzw. Program Szybkich Dostaw (z danych platformy wynika bowiem, że oferty z obietnicą dostawy na następny dzień osiągają sprzedaż średnio większą o nawet 28 proc.).

Allegro chce więc zwiększyć możliwość dostarczania produktów do klientów jeszcze tego samego lub następnego dnia po złożeniu zamówienia. Na początku lutego Allegro podało, że jeszcze w 2021 r. planuje uruchomienie nowej usługi logistycznej dla firm, która obejmie kompleksową obsługę zamówień. Jednocześnie lider polskiego e-commerce zapowiedział, że w okolicach Grodziska Mazowieckiego zbuduje nowe centrum logistyczne, w którym do końca przyszłego roku zatrudnienie znaleźć ma aż 1,2 tys. osób. – Centrum logistyczne Allegro, powstające w nowoczesnym magazynie w centrum Polski, pomoże przejąć od firm najbardziej czasochłonne i pracochłonne czynności, takie jak: magazynowanie, pakowanie, wysyłkę i obsługę zwrotów. Dzięki skali i automatyzacji Allegro będzie w stanie zapewnić atrakcyjne warunki tej usługi. To pozwoli sprzedającym skupić się na zwiększaniu sprzedaży i optymalizowaniu ofert, a kupującym da dodatkową satysfakcję z szybkiej dostawy – zapowiedział Grzegorz Czapski, dyrektor ds. rozwoju w Allegro. Na korzyść Allegro może też działać patriotyzm konsumencki – zwłaszcza w czasach pandemii coraz więcej klientów woli wspierać polski biznes, który nie tylko zatrudnia w Polsce, lecz także nad Wisłą płaci swoje podatki.

PRZESYŁKA W KILKA GODZIN?

Również chiński AliExpress dwoi się i troi, aby np. skrócić terminy dostaw do polskich klientów. Czas ma bowiem kolosalne znaczenie dla tego rynku. Z badania „E-commerce w Polsce 2020" wynika bowiem, że dostawa do 24 godzin skłoniłaby do częstszego robienia zakupów w Internecie 44 proc. kupujących online, dostawa 12-godzinna – 86 proc., a dostawa w ciągu ośmiu godzin od zamówienia – aż 95 proc.

Amazon, aby przyspieszyć proces doręczania paczek, wprowadził zaś dostawy dronami. Dzięki zgodzie uzyskanej w zeszłym roku od Amerykańskiej Federalnej Agencji Lotnictwa koncern chce dostarczać towary o wadze do 2,3 kg za pomocą pojazdów bezzałogowych w ciągu maksymalnie 30 minut od momentu zakupu. Oczywiście, na razie na rynku amerykańskim, ale nie ma wielkich przeszkód, aby po jakimś czasie podobne technologie były wykorzystywane również na polskim rynku.

Na razie na wojnie trzech gigantów e-commerce zarabia czwarty gracz, czyli InPost, do którego paczkomatów trafiać mają paczki zakupione poprzez wszystkie trzy platformy. Najwięksi gracze już teraz planują jednak inwestycje we własne sieci automatów, które pozwolą im choć trochę uniezależnić się od firmy stworzonej przez Rafała Brzoskę.

300 MILIONÓW KLIENTÓW

Nie wiadomo, czy wejście Amazona zakończy się spektakularnym sukcesem, czy – jak było w przypadku serwisu eBay – biznesową klapą. Zainteresowanie gigantów polskim rynkiem może przynieść korzyści nie tylko konsumentom, lecz także polskim sprzedawcom. Wejście do Polski Amazona, który o nasz rynek będzie rywalizował z AliExpress, otwiera przed polskimi e-sprzedawcami ogromne możliwości ekspansji i poszerzenia rynku zbytu. W perspektywie kilku lat z pewnością będziemy więc obserwować znaczące zwiększenie sprzedaży transgranicznej.

Po styczniowej zapowiedzi o uruchomieniu platformy Amazon.pl polscy przedsiębiorcy, którzy chcą sprzedawać towary za pośrednictwem amerykańskiego sklepu, mogą już w nim rejestrować swoje konta i szykować się do wygodnej ekspansji na rynki europejskie czy nawet pozaeuropejskie. Teoretycznie rozpoczęcie współpracy z amerykańską platformą umożliwia dotarcie z ofertą do ponad 300 mln aktywnych klientów platformy, mieszkających w ponad 200 krajach czy terytoriach świata.

Jak poinformowała spółka Amazon w komunikacie prasowym, ponad połowa towarów sprzedawanych na jej platformach pochodzi od partnerów zewnętrznych.

Za pośrednictwem Amazona swoje towary sprzedaje na całym świecie 1,7 mln małych i średnich przedsiębiorców. Ponad 200 tys. zewnętrznych firm uzyskało zaś w 2019 r. za pośrednictwem Amazona roczne przychody na poziomie ponad 100 tys. dol. Polskie firmy, używając zaledwie jednego konta na Amazonie, mogą więc dostarczać towary do klientów w 28 krajach Europy. Polscy przedsiębiorcy mogą wyjść jeszcze dalej i – po rejestracji innych kont – walczyć o kupujących z Japonii, Australii, Turcji, Brazylii czy Bliskiego Wschodu. – Cieszymy się, że będziemy mogli za pośrednictwem platformy Amazon wzmocnić polskich przedsiębiorców, inwestując w narzędzia i usługi, które pomogą im się rozwijać – oznajmił Alex Ootes, wiceprezes Amazona ds. rozwoju w Unii Europejskiej. Oczywiście w zamian za to wsparcie i dostęp do milionów klientów przedsiębiorcy muszą być przygotowani do płacenia stosunkowo wysokich prowizji. Do Amazona wejdą jednak zapewne duże firmy z branży FMCG, które będą chciały uniezależnić swoje przychody od dyktatu największych sieci dyskontów.

Polskich sprzedawców pozyskać chce również chiński AliExpress. Eksperci podkreślają, że właściciele e-biznesów platformy takie jak Amazon, AliExpress czy Allegro powinni traktować jedynie jako kanały wspierające sprzedaż. – Rozpoczęcie sprzedaży na Amazonie to dobry krok w dywersyfikacji ryzyka, trzeba jednak pamiętać, że rozgrywającym jesteśmy tylko na swoim boisku. Jeśli właścicielom e-biznesów zależy na budowaniu rozpoznawalnej marki, prezentowaniu produktów w indywidualny sposób, eksponowaniu historii założycieli, to powinni inwestować przede wszystkim we własne kanały, takie jak własny sklep internetowy, który może działać niezależnie od marketplace'ów, pozostałe traktując jako wspierające sprzedaż – zauważa Artur Halik, head of sales w firmie Shoper. Zdaniem ekspertów doświadczenia związane ze współpracą z takim gigantem jak Amazon mogą trwale zmienić doświadczenia zakupowe polskich klientów i sposób prowadzenia e-biznesu przez polskich przedsiębiorców. Szefowie Amazona podkreślają bowiem, że najważniejsza dla sukcesu jest przyjazna i bezproblemowa obsługa klienta. Ta zasada świetnie sprawdza się w Ameryce, najwyższy czas rozpowszechnić ją również nad Wisłą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a50b2fd290

Uwolnić gospodarkę

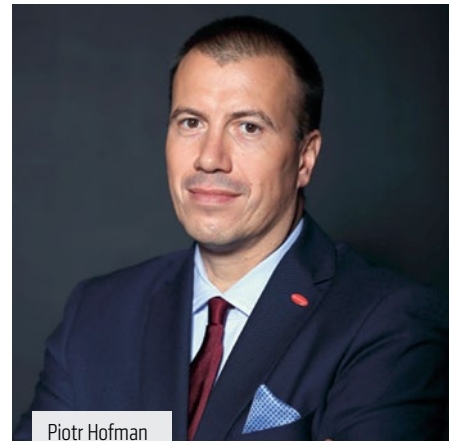
Piotr Hofman

Od marca ubiegłego roku nieustannie nasuwa się pytanie: Czy tłumacząc się wyższą racją – w tym wypadku bezpieczeństwem epidemicznym – rządzący mają prawo stawiać walkę z pandemią ponad wolność obywatelską? W tym wypadku mówimy o wolności prowadzenia działalności gospodarczej. Opisanej i zdefiniowanej w Konstytucji RP.

Nie tylko Polska zmaga się od ponad roku z COVID-19. To problem światowy. Od strony medycznej zadziałać tu może jedna, tożsama dla wszystkich krajów broń w postaci leku. Czym innym są jednak problemy ekonomiczny, gospodarczy i społeczny. Słuszne remedium stosowane w jednym z dotkniętych kryzysem państw nie musi być właściwe w innym. Dlatego z niecierpliwością czekamy na wypracowywanie modeli najlepszych dla Polski zamiast kopiowania tego, co robią inni. Tymczasem najczęściej słyszymy, że przecież nie jest tak źle, że gdzie indziej jest o wiele gorzej, zastosowano większe restrykcje, a my jesteśmy bardziej liberalni. Takie stwierdzenia nie uzdrowią gospodarki. Potrzebne jest tu natomiast odważne, samodzielne rozwiązanie, które z jednej strony pokaże, że jesteśmy suwerennym, niezależnym od nikogo państwem, że sami ustalamy reguły. Z drugiej strony będzie to rozwiązanie, które w przełożeniu na warunki polskiej gospodarki rzeczywiście doprowadzi do realizacji oczekiwanych celów. Niestety, obecnie widzimy tylko żonglowanie statystykami i sondażami. Generowane są gigantyczne, trudne do oszacowania koszty, które będziemy musieli ponosić zapewne co najmniej przez dekadę. To koszty ekonomiczne i społeczne, dotyczące obniżenia jakości życia i regresu w całej gospodarce.

Skala i sposób zamrażania gospodarki przez rząd jest niezrozumiała. Czy istotnie zestawienie ich z konieczną ochroną zdrowia daje zaplanowany przez rządzących efekt? Raczej wątpliwe. Pamiętajmy, że sektor MŚP generuje co drugą złotówkę w polskim PKB. Jakie są skutki rządowych rozporządzeń, na mocy których zamknięto część biznesów, karząc przedsiębiorców grzywnami i mandatami, w dodatku na podstawie wątpliwych legislacyjnych podstaw? Jeden skutek jest oczywisty: odebrano polskim przedsiębiorcom możliwość pracy i zarobkowania. Nie mają oni możliwości zrealizowania podstawowego celu swojej działalności. Zlekceważono rolę i znaczenie polskich przedsiębiorców. Z takim podejściem nie mamy szans na bycie silnym i szybko rozwijającym się państwem.

Obecnie mamy ponad 100 dni zamknięcia branży HoReCa (hotelarsko-gastronomicznej). Zamknięcie tego sektora oznacza w bliskiej perspektywie zwolnienie tysięcy Polaków z pracy. To również uszczuplenie wpływów do budżetu spowodowane zamykaniem przedsiębiorstw. Czy słusznie zatem przedsiębiorcy zaczęli się buntować?

W państwie prawa powinny istnieć jasno określone zasady. Rządzący nie mogą tworzyć ad hoc nieprzemyślanych regulacji prawnych. Co najważniejsze, regulacje te często nie dają się uzasadnić ani wyższymi, ani nawet chwilowymi potrzebami, a prowadzą wręcz do ograniczenia fundamentalnych praw. Co najgorsze, postępujące w nich zmiany nie dają się w żaden sposób przewidzieć. Zamykanie całych branż na miesiące, z niedochowaniem terminu otwarcia, bez precyzyjnego wyjaśnienia, dlaczego niektórzy mogą legalnie działać, a inni muszą pozostać zamknięci, w dodatku (mimo zapewnień) bez finansowego wsparcia, budzi sprzeciw. Zdesperowani przedsiębiorcy w istocie nie otrzymali pomocy albo była ona minimalna. W dużej mierze zostali (mimo apeli rzecznika MŚP) pominięci w uprzywilejowanych kodach PKD. Huśtawka związana z otwieraniem i zamykaniem działalności to droga do upadku finansowego. Tak nie da się prowadzić biznesu, nikt nie jest w stanie w taki sposób funkcjonować. Przedsiębiorcy chcieliby przygotować sobie jakiś plan, strategię minimum na kilka miesięcy. W takich warunkach niech nie dziwi fakt, że wielu z nich powiedziało „dość" i mimo zakazu postanowiło otworzyć swoje działalności, w czym pomogło poparcie społeczeństwa. Pamiętajmy bowiem, że zbyt duże obostrzenia to również rosnące niezadowolenie społeczne, a brak przemyślanych przez rządzących działań tylko je pogłębia.

Co więc powinien teraz zrobić rząd? Oczywiście zacząć od stopniowego rozmrażania gospodarki. Środki wsparcia są swoistą kroplówką, która może chwilowo wesprzeć poszczególne branże. Jednakże w żadnym wymiarze nie są w stanie zastąpić możliwości normalnego prowadzenia biznesu. Według mnie należałoby położyć nacisk na dofinansowanie metod i rozwiązań poprawiających reżim sanitarny. Zresztą przedsiębiorcy sami deklarują, z pełnym zrozumieniem, że takich restrykcji sanitarnych będą przestrzegać. Można prowadzić biznes w modelu obostrzeń sanitarnych, nie można jednak tego biznesu zamykać na nieokreślny czas i bez jasnych strategii wyjścia z tej sytuacji. To droga donikąd.

Poza tym należałoby się opierać na twardych danych, najlepiej pochodzących z naszego kraju. Amerykańskie czy zachodnioeuropejskie czasopisma naukowe nie powinny być wyznacznikiem wprowadzania lockdownu w Polsce. Rząd powinien oprzeć się na głosie naszych naukowców: lekarzy i ekonomistów, jak np. apel w sprawie racjonalizacji polityki anty-COVID w Polsce z dnia 27 listopada 2020 r. – w odpowiedzi na konsultacje rządowe w sprawie nowych zasad bezpieczeństwa w związku z pandemią koronawirusa. Tylko taka współpraca pozwoli na prawidłowe zaplanowanie działań tak, aby gospodarka również ucierpiała najmniej. Poza tym niezbędny jest powrót do jasno określonych kryteriów wprowadzania restrykcji oraz czasu ich trwania. Taki plan, niestety niezrealizowany, był ogłoszony przez premiera w listopadzie. Dzisiaj przedsiębiorcy muszą walczyć o to, by móc prowadzić własny biznes. Dużo firm obawia się, że za chwilę nie będzie do czego wracać. Zamykanie i wykupywanie naszych rodzinnych przedsiębiorstw już staje się faktem. Jeśli szybko nie nastąpią odważne zmiany w podejściu do polskiego przedsiębiorcy, to nasza gospodarka nam tego nie wybaczy. A konsekwencje odczujemy wszyscy.

eprasa.pl a50b2fd290

Zaledwie kilka dni po objęciu urzędu nowy prezydent USA ogłosił program „Kupuj amerykańskie" FOT. DREW ANGERER/GETTY IMAGES

Bidenomika

Jakub Wozinski

Chociaż jeszcze niedawno ostro krytykował Donalda Trumpa za nacjonalistyczne podejście do gospodarki, to dziś sam wprowadza protekcjonistyczny program „Kupuj amerykańskie". Bidenowi marzy się jednak przede wszystkim własny Nowy Ład

Administracja Joe Bidena i Kamali Harris jest z pewnością najbardziej progresistowska w historii USA. Już od pierwszych godzin urzędowania nowy prezydent zaczął pospiesznie wprowadzać zmiany, usuwając m.in. wcześniejszy zakaz służby osób transseksualnych w amerykańskiej armii oraz uwalniając fundusze na finansowanie aborcji. Pod względem polityki obyczajowej i kulturowej Biden wypełnia więc ściśle postulaty skrajnie lewicowego skrzydła swojej partii, które już teraz ostrzy sobie zęby na myśl o tym, jak wiele wymarzonych reform będzie w stanie wprowadzić w ciągu najbliższych kilku lat.

W przypadku gospodarki rzecz przedstawia się już jednak dużo inaczej. Biden i Harris wygrali przede wszystkim dzięki ogromnemu wsparciu Big Tech, korporacji i banków, które raczej nie życzą sobie radykalnych zmian, o których marzą znani ze skrajnych poglądów Bernie Sanders czy Alexandria Ocasio-Cortez. Amerykański korporacyjny establishment nie ma nic przeciwko neomarksizmowi na uczelniach, w armii czy kulturze, lecz od urzędującego prezydenta oczekuje, że zapewni optymalne warunki do prowadzenia biznesu.

PROTEKCJONIZM DOBRY, BO LIBERALNY

W opinii wielu osób, które ostro krytykowały Trumpa za „populizm" i „gospodarczy nacjonalizm", objęcie władzy przez Bidena miało zapewnić powrót do dawnych zasad. Ku ich zdziwieniu zaledwie kilka dni po objęciu urzędu 79-letni prezydent ogłosił program „Kupuj amerykańskie", który przewiduje m.in. wprowadzenie nakazu, aby rząd kupował więcej amerykańskich produktów, a także zwiększenie liczby komponentów danego produktu, od której można uznać, że zasłużył na miano produktu wyprodukowanego w USA. Jeszcze niedawno cały liberalny świat grzmiał więc na Donalda Trumpa, że „odchodzi od wolnego handlu" i pcha świat w kierunku wojen handlowych. Dzisiaj okazuje się, że gdy praktycznie to samo czyni postępowy Joe Biden, media milczą jak zaklęte, pisząc o powrocie do normalności i uczuciu ulgi.

Mowa o wielkim odwrocie od protekcjonizmu byłaby w przypadku powrotu do władzy polityka z Partii Demokratycznej zdecydowanym nadużyciem. W czasie

eprasa.pl a50b2fd290

ośmiu lat rządów Baracka Obamy, u którego Biden pełnił funkcję wiceprezydenta, ochrona amerykańskiego przemysłu za pomocą ceł i różnego rodzaju limitów sięgała bowiem zenitu (policzono nawet, że w latach 2009–2017 żadne inne państwo na świecie nie czyniło równie intensywnych starań). Jedyna różnica polega więc na tym, że Donald Trump mówił o wszystkim głośno, a jego następca woli swoich działań nie eksponować i tworzy wokół nich inną otoczkę.

Joe Biden zapowiedział już, że w obliczu wyzwań stojących przed Stanami Zjednoczonymi w dobie pandemii koronawirusa będzie zmuszony podnieść podatki. Można jednak zakładać, że będzie starał się mocno odwlec podwyżkę podatku od zysków kapitałowych, gdyż ta najbardziej zabolałaby wyborców z „niebieskich stanów", czyli tych, w których tradycyjnie przewagę mają demokraci. W minionym roku na giełdzie dało się sporo zarobić, dlatego Biden będzie chciał dogodzić swoim wyborcom i będzie szukał większych wpływów głównie z innych podatków.

Wiele pierwszych decyzji nowego prezydenta ma zresztą wyraźnie charakter ekonomicznej zemsty na przeciwniku. Właśnie tak interpretowane są jego decyzje uderzające m.in. w Teksas, czyli jeden z mateczników wyborców Trumpa. Oprócz wycofania funduszy na kontynuację budowy gazociągu TX i zawieszenia dzierżawy terenów federalnych pod wydobycie ropy i gazu (uderzające w przemysł łupkowy) Biden wstrzymał także prace przy budowie słynnego muru na granicy z Meksykiem. Wzięte razem wszystkie te decyzje mogą przynieść likwidację nawet kilkudziesięciu tysięcy miejsc pracy. Oprócz tego w planach jest także wprowadzenie nowego podatku od posiadania broni w wysokości 200 dol. i nowego systemu licencjonowania.

Pragnąc z kolei wynagrodzić czarnym wyborcom oddany na siebie głos (wedle różnych szacunków ponad 80 proc. z nich wybrało polityka Partii Demokratycznej), Joe Biden zapowiedział także, że podniesie płacę minimalną do 15 dol. za godzinę. Zapowiedź ta wywołała całkiem sporo kontrowersji, a znany z libertariańskich poglądów senator Rand Paul zarzucił nawet prezydentowi, że musi wręcz nie cierpieć Afroamerykanów, gdyż to właśnie oni najbardziej ucierpią przez nową regulację, a pracę może stracić nawet 4 mln osób. Podana liczba jest oczywiście nieco przesadzona, jednakże tak gwałtowna podwyżka stawki może faktycznie doprowadzić do pogłębienia problemów na rynku pracy, który w ciągu ostatniego rynku przeszedł wielki wstrząs.

AMERYKAŃSKIE „500+"

Największy ciężar gatunkowy spośród wszystkich punktów nowej polityki gospodarczej Bidena ma jednak pierwsza ustawa o pomocy kryzysowej o łącznej wartości 1,9 bln dol. Podobną sumę wydawał w ubiegłym roku Donald Trump, lecz Biden zapowiedział, że już teraz szykuje jeszcze większy zastrzyk stymulacyjny dla gospodarki i właśnie z tym wiążą się największe obawy. Nowy prezydent zamierza wkrótce przedstawić wielki plan odbudowy „Build Back Better", który ma być niemal XXI-wiecznym odpowiednikiem Nowego Ładu. Wiekowy Biden chce wcielić się w rolę Franklina D. Roosevelta i przebudować Stany Zjednoczone zgodnie z wytycznymi idei zrównoważonego rozwoju i nowej koncepcji sprawiedliwości społecznej oraz rasowej. Docelowo cały program ma osiągnąć wartość aż 7,9 bln dol., a są to być może ostrożne szacunki. Stany Zjednoczone będą więc skazane na jeszcze wyższy deficyt, a przez to także na osłabienie kursu dolara.

Chociaż Biden niedawno ostro krytykował Trumpa za populistyczny protekcjonizm, to sam występuje dziś na tle plansz „Made in America", które nie pojawiały się wcześniej w trakcie kampanii prezydenckiej. Pokazuje to, że nowy rezydent Białego Domu zamierza jeszcze mocniej postawić na rodzimy przemysł, który za sprawą dewaluacji waluty ma być jeszcze bardziej konkurencyjny na światowych rynkach. Jak jednak pokazały najnowsze dane, ustalone przez Trumpa cele I etapu porozumienia handlowego z Chinami wciąż nie są wypełniane, a Pekin nie nabywa dóbr z USA w obiecanym wolumenie, dlatego przed Bidenem stoi nie lada wyzwanie. Wielki biznes jest wciąż niechętny idei masowej repatriacji produkcji do USA, a zapowiadane podwyżki podatków czy podwyżka płacy minimalnej raczej nie skłaniają do powrotów.

Ciekawym elementem zmian, które zaproponowała administracja Bidena, jest także system ulg dla rodziców dzieci, który w Polsce został już okrzyknięty odpowiednikiem programu „500+". Na każde dziecko poniżej szóstego roku życia ma przysługiwać 300 dol. miesięcznie, a na starsze 250 dol. Podstawowa różnica między polską a amerykańską wersją polega jednak na tym, że w tej drugiej występuje ona w formie ulgi podatkowej, a nie wypłacanego świadczenia.

Wielkim paradoksem amerykańskiego systemu politycznego jest to, że choć głosujące na Bidena niebieskie stany są w większości bogatsze, to w skali całego kraju wyborcy kandydata demokratów są zdecydowanie gorzej sytuowani majątkowo. Wśród osób zarabiających najmniej Biden zdobył ok. 56 proc. głosów i dlatego jest zakładnikiem ich roszczeń socjalnych. Nie jest przypadkiem, że jedną z jego głównych obietnic wyborczych było zapewnienie powszechnego, państwowego ubezpieczenia zdrowotnego. Tak hojnego programu nie da się zrealizować bez podwyżek podatków.

Największym wyzwaniem stojącym przed Bidenem będzie jednak konieczność poradzenia sobie z kryzysem gospodarczym. Mając za sobą praktycznie wszystkie liberalne media, może liczyć na spory komfort działania, lecz już dzisiaj widać, że postawienie amerykańskiego giganta na nogi będzie nie lada wyzwaniem. Pompowanie ogromnych środków pieniężnych w giełdę i gospodarkę spowodowało jak dotąd bardzo umiarkowane efekty. Kolejne zastrzyki stymulacyjne podniosły wycenę największych spółek do rekordowych wielkości, ale wyceny te nijak się mają do realnej kondycji wielu branż.

Wiele osób chciało widzieć w Donaldzie Trumpie prawdziwego wolnościowca, lecz jego rządy tylko w ograniczonym stopniu przyniosły realne zmniejszenie biurokracji czy znaczącą obniżkę podatków. Analogicznie trudno jest doszukiwać się w gospodarczym planie Joe Bidena znamion znaczącego zwrotu w stronę socjalizmu, choć z pewnością jego pierwsze rozporządzenia są o wiele bardziej radykalne niż w przypadku choćby Baracka Obamy. Pomimo wielu różnic ideowych pomiędzy obu głównymi partiami amerykański system polityczny charakteryzuje się dość precyzyjnie wypracowanym konsensusem, który nie dopuszcza wielkich odstępstw. Z tego właśnie powodu Joe Biden płynnie przejął sporą część programu gospodarczego swojego przeciwnika, choć zamierza być zdecydowanie bardziej rozrzutny i będzie musiał bardzo się natrudzić, aby przeciwstawić się radykałom ze swojej partii, którym marzą się ekonomiczne fantasmagorie w rodzaju nowoczesnej teorii pieniądza.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a50b2fd290

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Polska „w żadnym trybie”

Czy ktoś naprawdę jest zaskoczony, że sądy – wytykając niezgodność z konstytucją użytego przez władze rozwiązania – taśmowo odrzucają wnioski o ukaranie przedsiębiorców, którzy nie podporządkowali się decyzji rządu o zamknięciu swoich firm? Wytykając niezgodność z konstytucją, czyli użycie ustawy o stanie epidemii, zamiast przewidzianych na takie przypadki ustaw o stanach nadzwyczajnych. Jeśli kogoś to naprawdę dziwi, to niebawem może mieć więcej powodów do zdziwień, wkrótce bowiem – z uwagi na tę samą wadę prawną – sądy zaczną zapewne wydawać także wyroki zasądzające od Skarbu Państwa (czyli od nas, podatników) odszkodowania dla przedsiębiorców.

A przecież nie powinno to zaskakiwać ani trochę, bo nie my jedyni – i to już w pierwszej połowie 2020 r. – wskazywaliśmy, czym ta prawna prowizorka się skończy. W wywiadzie dla „Do Rzeczy” (z 4 maja 2020 r.) Andrzej Mikosz, prawnik, minister skarbu państwa w rządzie Kazimierza Marcinkiewicza, przypominając ułomności ustawy o odpowiedzialności państwa w przypadku ogłoszenia stanu nadzwyczajnego, gorąco radził, by ją natychmiast znowelizować i czym prędzej zastosować, zamiast pchać Polskę w kosztowny dla podatników ślepy zaułek stanu epidemii.

Na zadane mu wtedy pytanie…: „Rządzący argumentują, że nie wprowadzają stanu klęski żywiołowej, aby nie musieć po jego ustaniu wypłacać przedsiębiorcom wielomiliardowych odszkodowań, które zrujnowałyby budżet państwa. Chronić przed tym ma właśnie wariant pośredni, czyli stan epidemii” … **odpowiedział**: „To nieprawda. Konstytucja przewidziała możliwość miarkowania odszkodowań za naruszenie praw, wolności i własności obywateli oraz przedsiębiorców wyłącznie w przypadku wprowadzenia jednego ze stanów nadzwyczajnych. Mówi o tym przepis art. 228 ust. 4 konstytucji, który uprawnia Sejm i Senat do określenia zakresu i podstaw, a także trybu wyrównywania przez Skarb Państwa strat majątkowych. Takiego uprawnienia polski ustawodawca i rząd nie posiadają w przypadku innych stanów, czyli np. epidemii. Obserwujemy w tej chwili krótkotrwałą radość władzy, że dało się jej »obejść« temat odszkodowań, ale on nie zniknie. Na podstawie działań podjętych w Polsce to, czego się najbardziej boimy – czyli wystosowania roszczeń przez międzynarodowe korporacje przeciw naszemu państwu – może się za kilka lat wydarzyć. I takie odszkodowania zostaną najprawdopodobniej zasądzone”.

A jeśli nawet z jakiegoś powodu, np. wyborów prezydenckich, wiosną nie chciano skorzystać z ustaw o stanach nadzwyczajnych, to dlaczego nie naprawiono tego błędu po ich przeprowadzeniu i nie sięgnięto po nie jesienią? Bo podatnicy i tak wszystko będą musieli cierpliwie znieść i zapłacić? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Nie kijem, to pałką

Nie kijem go, to pałką – tak można opisać to, co Ministerstwo Rolnictwa z Grzegorzem Pudą na czele próbuje zrobić z hodowlami norek w Polsce. „Piątka dla zwierząt” rozbiła się wprawdzie (przynajmniej na razie) o koalicyjną rafę, ale Puda nie złożył broni i postanowił skorzystać z okazji, jaką daje pandemia, żeby hodowców zwierząt futerkowych zniszczyć. Dosłownie.

Historia z fermy na Pomorzu sprawia, że włosy stają na głowie, a nazwanie jej rozbojem w majestacie prawa to opis bardzo łagodny. Oto w hodowli o wielkości 6 tys. sztuk wykryto wirusa u czterech zwierząt (przebadano 20). Zgodnie z rozporządzeniem ministra Pudy oznacza to konieczność wybicia całego stada i rozmontowania infrastruktury. Ot, tak – bez dodatkowych badań (choć zastosowane testy PCR są skrajnie zawodne), bez weryfikacji, bez potwierdzenia, że wirus z norek w ogóle może się przenieść na człowieka, a co najważniejsze – bez odszkodowania. Taki bowiem wybieg prawny zastosowało Ministerstwo Rolnictwa, nakazując radykalne działania: odszkodowania są jedynie za wybijanie zwierząt ujętych w ustawie, a tu mamy rozporządzenie.

Historia fermy na Pomorzu sprawia, że nazwanie jej rozbojem to opis bardzo łagodny

Tego nie było jeszcze nigdy – nigdy w III RP nie zdarzyło się, żeby obowiązkowa likwidacja zwierząt łączyła się z brakiem odszkodowania dla ich właściciela. W tym przypadku straty oceniane są na 10 mln zł. Proszę sobie to wyobrazić: ktoś budował biznes przez lata, a teraz ma wszystko stracić z powodu jednego podpisu ministra. Zostaje z niczym. To jest, przepraszam, nie z niczym – zostają mu kredyty do spłacenia.

Jednego jestem pewien – tego bezprawia nie potwierdzą sądy. A jeśli zrobią to sądy w Polsce – w co nie wierzę – to na pewno nie trybunał strasburski. Jeżeli zaś ta tchórzliwa akcja miałaby dotknąć i innych polskich hodowców, to ostatecznie wywalczone w sądach odszkodowania mogą pójść w dziesiątki, jeśli nie setki milionów. Niestety, nie zapłaci ich pan Puda z własnej kieszeni, ale my wszyscy – podatnicy. ©℗

eprasa.pl a50b2fd290

TEST „DO RZECZY": SŁUCHAWKI JABRA ELITE 85T

Rewelacyjna jakość dźwięku, bardzo niska waga, opcja indukcyjnego ładowania, wbudowany system aktywnej redukcji hałasu z otoczenia (ANC) oraz możliwość bezprzewodowego podłączenia do dwóch urządzeń jednocześnie – to największe zalety najnowszego modelu bezprzewodowych dokanałowych słuchawek duńskiej firmy Jabra.

Smukłe i wyjątkowo lekkie bezprzewodowe słuchawki (każda waży zaledwie 7 g) dobrze trzymają się uszu, choć poprzedni model trudniej było wytrząsnąć na podłogę podczas gwałtownych ćwiczeń. Najważniejszą zaletą modelu Jabra Elite 85t jest rewelacyjna jak na pchełki jakość dźwięku. Duńskie słuchawki brzmią o wiele lepiej niż apple'owskie AirPodsy Pro: dźwięk jest wyrazisty, żywy i bardzo bogaty w detale. Basy są wystarczająco głębokie, ale nie przytłaczają pozostałych elementów sceny muzycznej. Wyjątkowo czyste jest średnie pasmo, ale wysokie tony też są dobrze słyszalne.

Testowany model świetnie radzi sobie również podczas rozmów telefonicznych. Rozmówcy są dobrze słyszalni. Nieźle słyszalny jest także użytkownik testowanych słuchawek, które nie zbierają zbyt wiele dźwięków z otoczenia.

Dodatkowo słuchawki Jabry mają wbudowany kilkustopniowy system aktywnej redukcji hałasu z otoczenia (active noise cancelling), który ogranicza niepożądane dźwięki z otoczenia (np. odkurzacza, głośno grającego telewizora etc.). Nie jest to poziom słuchawek, które wywołują uczucie kompletnego odcięcia od świata zewnętrznego, ale jest naprawdę nieźle. Na tyle nieźle, że naprawdę przydatna jest też opcja Hear Through, która pozwala błyskawicznie dopuścić do siebie wszystkie dźwięki z zewnątrz bez konieczności wyjmowania słuchawki z ucha (np. w czasie kontroli biletów).

Słuchawki na jednym ładowaniu działają pięć i pół godziny, a korzystając z etui-powerbanku czas słuchania bez konieczności szukania gniazdka elektrycznego można wydłużyć do 25 godzin. Etui ładuje się za pomocą złącza USB typu C (wreszcie!). Zaletą tego modelu jest również opcja ładowania bezprzewodowego.

Wady? Model 85t ma certyfikat IPX4, czyli oferuje niższy standard wodoszczelności niż starszy model Jabry (IP55) i niższy niż w przypadku niektórych produktów konkurencji. Szkoda również, że słuchawki za niemal tysiąc złotych obsługują tylko podstawowe kodeki, takie jak SBC oraz AAC (mocno brakuje kodeków aptX lub innych formatów audio wysokiej jakości). Minusem jest również to, że samodzielnie można używać wyłącznie prawej słuchawki (lewa bez prawej nie zadziała).

Mimo tych wad muszę przyznać, że Duńczycy stworzyli jedne z najlepszych bezprzewodowych słuchawek dokanałowych, które obecnie są dostępne na światowym rynku. Model 85t może więc poważnie zawstydzić droższą konkurencję spod znaku nadgryzionego jabłka. I nie tylko. Cena: 898 zł. ©℗

Jacek Przybylski

ŁADOWANIE NAPRAWDĘ BEZPRZEWODOWE

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Chińska firma Xiaomi zaprezentowała technologię Mi Air Charge. Pozwala ona na bezprzewodowe ładowanie urządzeń bez konieczności podłączania ich za pomocą kabla czy nawet kładzenia ich na podkładkach do bezprzewodowego ładowania. Mi Air Charge może doładować gadżety z mocą 5 W, choćby leżały one kilka metrów od ładowarki, i to nawet jeśli między ładowarką Mi Air Charge a ładowanymi gadżetami są przeszkody fizyczne. Jeśli ta technologia się sprawdzi, to istnieje szansa, że za kilka lat zupełnie pożegnamy się z kablami w salonach, sypialniach czy łazienkach.

ETUI NIE TYLKO DLA HIPOCHONDRYKÓW

Na targach elektronicznych w Los Angeles pokazano niezwykłe etui na smartfony. Niezwykłe dlatego, że zostało wyposażone w technologie do pomiaru tętna, ciśnienia krwi, EKG, temperatury, nasycenia krwi tlenem, zmienności oddechu etc. Gadżet informuje też o poziomie stresu i zmęczenia. Wyniki „badań" przeprowadzanych za pomocą etui Vmed zapisywane są w aplikacji, dzięki czemu można je potem pokazać lekarzowi podczas wizyty lub udostępnić medykom zdalnie podczas telewizyty. Niestety, nieznana jest jeszcze data premiery ani cena nowego gadżetu. ©℗

Jacek Przybylski

eprasa.pl a50b2fd290

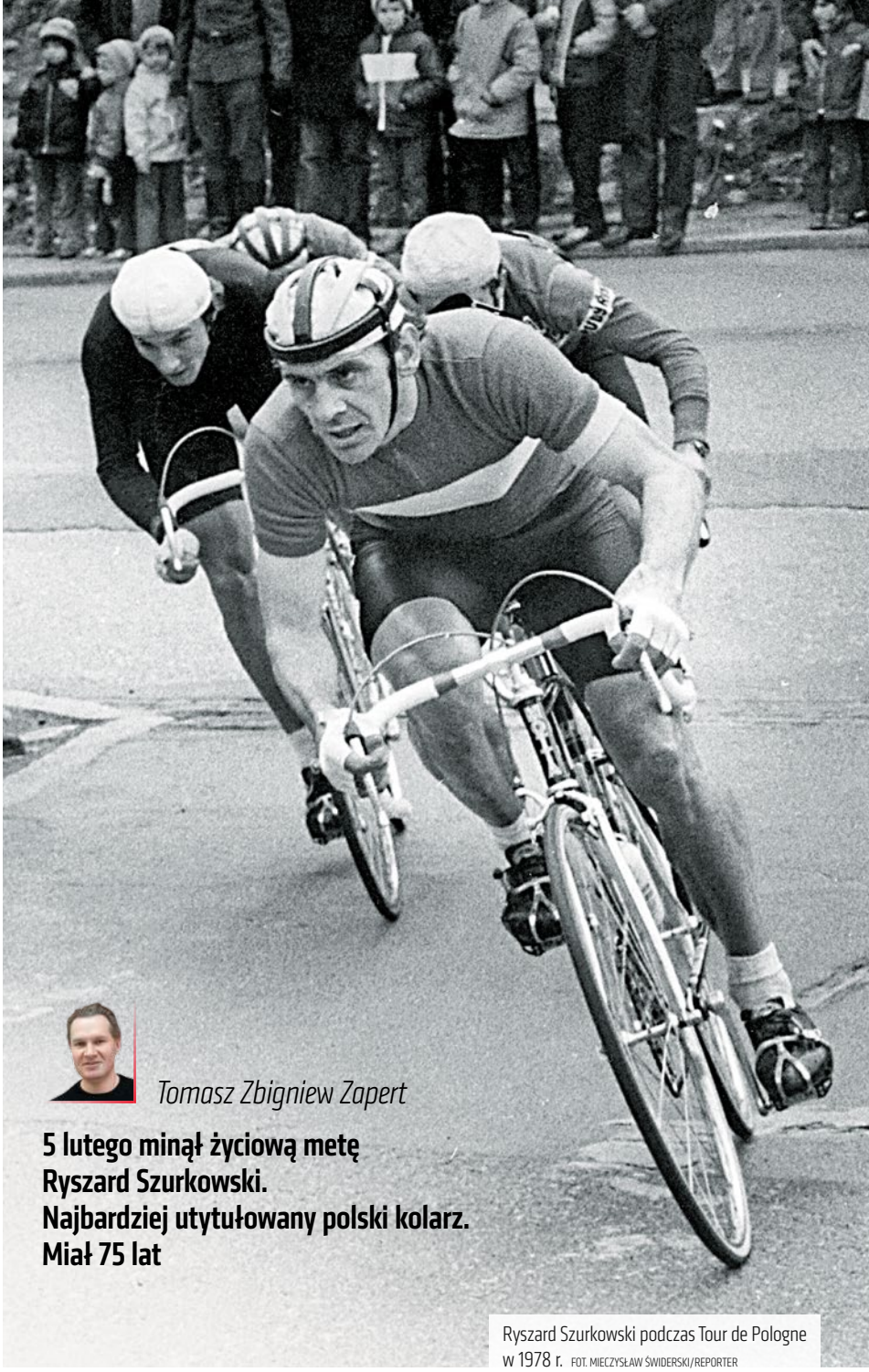

Tomasz Zbigniew Zapert

5 lutego minął życiową metę Ryszard Szurkowski. Najbardziej utytułowany polski kolarz. Miał 75 lat

Ryszard Szurkowski podczas Tour de Pologne w 1978 r. FOT. MIECZYSŁAW ŚWIDERSKI/REPORTER

Rowerem do sławy

Mam do niego stosunek bardzo osobisty. Byłem przedszkolakiem, gdy osiągnął sportowe apogeum. Znaczone dubeltowym (drużynowo i indywidualnie) mistrzostwem świata. Stał się moim pierwszym bożyszczem. Naśladowałem go, pedałując – na zielonym Pelikanie, wyposażonym w kijek trzymany przez babcię – po warszawskim osiedlu Za Żelazna Bramą.

Tego ekstraordynaryjnego sportowca kojarzę też z grą w... kapsle. Kredą wyznaczało się na chodniku czy innej powierzchni trasę, w rolach cyklistów obsadzając kapsle po oranżadzie lub piwie. Wypełnione plasteliną, stearyną tudzież kitem, z wklejonym wizerunkiem flagi (narysowanej albo pozyskanej z atlasu) oraz personaliami kolarza, pieczołowicie wyciętymi z gazety. Każdy z grających miał w teamie własnego Szurkowskiego.

Idolem od Bałtyku do Tatr został w roku 1970, triumfując – jako drugi Polak w dziejach, po Stanisławie Królaku – w Wyścigu Pokoju. Wyczyn ten powtórzył jeszcze trzykrotnie (1971, 1973, 1975). Kibice wsłuchiwali się w relacje sprawozdawców Polskiego Radia. Bohdan Tomaszewski i Bogdan Tuszyński komentowali poczynania na trasie, obserwując je z samochodu, motocykla bądź… helikoptera.

Na Zachodzie o prymat w zawodach kolarskich konkurowały profesjonalne grupy, w Wyścigu Pokoju bój toczyły „bratnie", jak wówczas to oficjalnie definiowano, ekipy: Związku Sowieckiego, NRD, Czechosłowacji i Polski. Współzawodnictwo ze wschodnim sąsiadem wzbudzało oczywiście emocje związane z podtekstem politycznym. Aby zagwarantować frekwencję, niekiedy zwożono na kolarski szlak aktywistów partyjnych lub młodzieżowych. Wiwatowali na cześć jadących, wymachując przy okazji otrzymanymi chorągiewkami krajów socjalistycznych, względnie dzierżąc w dłoniach transparenty z postępowymi treściami („Wycofać wojska amerykańskie z Wietnamu!", „Jankesi, zostawcie Kubę w spokoju!", „Zbrojeniem atomowych mówimy: Nie!"). Tłumy na mecie gwarantowały także szkoły. Jako uczeń podstawówki wędrowałem z klasą na Stadion Dziesięciolecia. Mimo długiego oczekiwania na finisz, byłem zadowolony. Wolałem to od matematyki. Ponadto zapewniałem sobie notę celująca z wychowania obywatelskiego. Propagando-

eprasa.pl a50b2fd290

wa strona widowiska nie zmniejszała jednak skali podziwu i uznania dla klasy zawodników. Sława Szurkowskiego stała się w Polsce niebotyczna. Dwa razy zwyciężał w plebiscycie „Przeglądu Sportowego" na najpopularniejszego sportowca roku.

MEDYTACJE WIEJSKIEGO LISTONOSZA

Hart ducha, determinacja, pracowitość, cierpliwość, intuicja, zapał, opanowanie, talent… Te cechy zagwarantowały mu miejsce w panteonie gwiazd sportu. Nie tylko krajowego. Zaczynał na dolnośląskiej prowincji. Rower stał się jego marzeniem już w dzieciństwie. Kieszonkowe i prezentowe kopertówki skrupulatnie wkładał do skarbonek. I tak uzbierał znaczną część kwoty na wymarzoną „kolarzówkę". Resztę dołożyli bliscy. Będąc 15-latkiem, przesiadł się z rozklekotanego roweru, używanego przez ojca i brata, na własny. Zarobił na nim pierwsze pieniądze, wspomagając podczas wakacji lokalnego doręczyciela poczty. Pokonywał kilkadziesiąt kilometrów dziennie – w słońcu i w deszczu, po asfalcie, kostce, kocich łbach, szutrach, piachach i bezdrożach – dostarczając listy. Zainteresował się nim wówczas miejscowy Ludowy Zespół Sportowy – to w nich wykluwały się u nas kolarskie indywidualności – ale pojawiło się wezwanie do wojska. Dwuletnia służba w Radomskiem mogła zniweczyć sportowe marzenia nastolatka. Szczęśliwie po przysiędze oficer zezwolił, aby rekrut z przepustki przywiózł rower. Mógł na nim jeździć w tzw. czasie wolnym, a więc po wizycie na poligonie, strzelnicy czy obieraniu kartofli. Fama o umundurowanym kolarzu dotarła do trenera tej dyscypliny, Ryszarda Swata. Za jego namową Szurkowski trafił do Radomiaka. Dał się tam poznać z jak najlepszej strony.

Pożegnawszy armię, Szurkowski wrócił do rodzinnego domu. Przyszłość na dwóch kółkach ponownie zaczęła wyglądać mglisto. Wtedy swoje trzy grosze dorzucił los. Rodzice wydelegowali Ryszarda do Wrocławia z paczką żywnościową dla studiującego tam brata. Co dwie głowy to nie jedna. Odszukali numer telefonu sekcji cyklistów Dolmelu. Klub przyjął nowicjusza w styczniu roku 1967.

Już po kilku treningach szkoleniowiec Mieczysław Żelaznowski uznał, że będą z młodego Szurkowskiego ludzie. Potwierdzały to kolejne miesiące. Doszlusował do krajowej czołówki, a niebawem zaczął startować – też z powodzeniem – za granicą. W końcu nadszedł rok 1969 i debiut w Wyścigu Pokoju. Zwieńczony drugą lokatą w klasyfikacji generalnej!

ULICZKA W BARCELONIE

Potem przyszła jazda z górki. Pod fachową opieką selekcjonera Henryka Łasaka szybko stał się liderem Biało-Czerwonych. Tragiczna śmierć trenera w wypadku samochodowym na Zakopiance tego nie zmieniła. Wprawdzie spekulowano o animozjach pomiędzy Szurkowskim a Stanisławem Szozdą, pretendującym do miana przodownika, lecz więcej było w tym plotek niźli prawdy. Wspierali się niczym muszkieterowie z powieści Aleksandra Dumasa. Czego egzemplifikację oglądaliśmy podczas globalnego czempionatu w stolicy Katalonii w 1973 r. Właśnie wsparcie Szozdy, a także Tadeusza Mytnika, pomogło Szurkowskiemu w skutecznej ucieczce do zwycięstwa. Kilka dni później, po wygranej zespołowej, po raz drugi wysłuchał „Mazurka Dąbrowskiego" w uliczce w Barcelonie, gdzie zorganizowano dekorację.

Z igrzysk olimpijskich (Monachium 1972 i Montreal 1976) przywiózł dwa srebrne medale drużynowe. Czy gdyby stanął tam na podium w zmaganiach indywidualnych PRL-owscy decydenci zezwolili by mu przejść na profesjonalizm? Otrzymywał takie propozycje. Widziano w nim godnego przeciwnika ówczesnego mistrza zawodowców, Eddy'ego Merckxa. Na pewno wzbogaciłby stan konta. Wygrane pośród amatorów przynosiły jedynie puchary, dyplomy i nagrody rzeczowe (zegarki, sprzęt RTV i AGD, namioty, motocykle).

Koła roweru Szurkowskiego wciąż obracały się w tempie zawrotnym, niemniej z sezonu na sezon brakowało mu motywacji do wytężonych treningów. Ustąpił w kadrze miejsca młodym zdolnym: Janowi Jankiewiczowi i Czesławowi Langowi. Ścigał się jeszcze tu i ówdzie (Francja), po czym zsiadł z siodełka i ukończył studia w Akademii Wychowania Fizycznego. Nie bardzo chyba umiał się odnaleźć poza peletonem. Wykorzystała to „władza ludowa" po 13 grudnia 1981 r., rozpaczliwie szukająca postaci publicznych gotowych ją legitymizować. Posłował w sejmie IX kadencji (wybrany z listy krajowej jako bezpartyjny). Wobec kryzysu naszego kolarstwa powierzono mu opiekę nad drużyną narodową. W 1985 r. doprowadził ją – z Lechem Piaseckim na pierwszym planie – do podwójnej wygranej w Wyścigu Pokoju. Rok później inauguracja miała miejsce w Kijowie, wkrótce po katastrofie w elektrowni jądrowej w Czarnobylu. Zachodnie ekipy się wycofały. Polakom nie pozwolono... Wicemistrzostwo olimpijskie zdobyte podczas igrzysk w Seulu (1988) przez czterech zawodników: Andrzeja Sypytkowskiego, Marka Leśniewskiego, Zenona Jaskułę i Joachima Halupczoka dowiodło, że Szurkowski sprostał nowemu wyzwaniu. Ciąg dalszy nie nastąpił, gdyż Polski Związek Kolarski nie zaakceptował planów selekcjonera. Ten złożył więc dymisję.

W III RP zakosztował biznesu – otworzył w Warszawie sklep z akcesoriami rowerowymi. Symptomatyczne, że znajdował się na warszawskim Kole. Szefował pionierskiej u nas grupie zawodowej cyklistów – Exbud. Kierował Polskim Związkiem Kolarskim. Popularyzował kolarstwo górskie. Zafascynował się tenisem. Nie udało mu się drugie podejście do ław sejmowych (z listy SDPL). Próby kontynuacji, czy też raczej wskrzeszenia Wyścigu Pokoju, zakończyły się fiaskiem. Bagaż ideologiczny imprezy okazał się zbyt ciężki dla ewentualnych sponsorów. Woleli wesprzeć czysty genealogicznie Tour de Pologne. Mistrz przeżył też dramat osobisty – syn Norbert zginął w zamachu na World Trade Center. W sierpniu 2020 roku zmarł jego drugi potomek – Wiktor.

Polskiego sportowca nr 2 zeszłego stulecia (za Ireną Szewińską) wnikliwie przedstawili w książkach Krzysztof Wyrzykowski i Marek Jóźwik, chociaż śmiem twierdzić, że najczulej pisali o nim chyba inni dziennikarze: Maciej Biega, Lech Cergowski oraz Wojciech Szkiela.

Szurkowski regularnie uczestniczył w zawodach oldbojów. Właśnie w trakcie jednego z nich, niespełna trzy lata temu w Kolonii, doszło do kraksy o tragicznych implikacjach. Skomplikowany uraz twarzowo-szczękowy udało się wyleczyć, w przeciwieństwie do uszkodzenia rdzenia kręgowego, którego skutkiem było czterokończynowe porażenie. Systematycznie i zapamiętale ćwiczył pod okiem rehabilitantów. Wierząc, że wstanie samodzielnie, a następnie usiądzie na rowerze. Nowotwór oraz zapalenie płuc nie pozwoliły na to.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a50b2fd290

Chorzy wysokiego ryzyka

Katarzyna Pinkosz

Głośnym echem odbijają się apele w mediach chorych onkologicznie i kardiologicznie o lepsze leczenie mimo pandemii. Chorzy na cukrzycę, często starsi i z wielochorobowością, wydają się przez system ochrony zdrowia nieco zapomniani. Jak dziś wygląda ich sytuacja?

1. NARAŻENI NA CIĘŻKI PRZEBIEG COVID

– Blisko jedna trzecia zmarłych w Polsce z powodu COVID-19 to były osoby chore na cukrzycę. Zwykle miały długoletnią, powikłaną chorobę – mówi Anna Śliwińska, prezes Polskiego Stowarzyszenia Diabetyków. – Diabetycy powinni chronić się przed zakażeniem koronawirusem, przebieg COVID-19 faktycznie może być u nich ciężki. Dotyczy to zwłaszcza osób starszych, mających powikłania, np. kardiologiczne, oraz otyłość – potwierdza prof. Leszek Czupryniak, kierujący Kliniką Diabetologii i Chorób Wewnętrznych WUM. Nie należy wpadać w panikę, trzeba jednak stosować się do zaleceń: izolacji społecznej, noszenia maseczek, higieny, a przede wszystkim starać się optymalnie leczyć cukrzycę i wszystkie towarzyszące choroby. – Zachęcamy do dbania o siebie, bo im cukrzyca jest bardziej wyrównana, tym mniejsze ryzyko powikłań. Ważne jest leczenie, ale też odpowiednia dieta i aktywność fizyczna – dodaje Anna Śliwińska.

Z uwagi na wysokie ryzyko ciężkiego przebiegu i zgonu Polskie Stowarzyszenie Diabetyków wraz z Polskim Towarzystwem Diabetologicznym i konsultantem krajowym zaapelowali do ministra zdrowia o umieszczenie chorych na cukrzycę w grupie 1B szczepień przeciw COVID-19. – Nasz pierwszy apel w tej sprawie nie powiódł się, niedawno wysłaliśmy więc kolejny list do ministra o to, żeby chorzy na cukrzycę zostali jak najszybciej zaszczepieni – podkreśla Anna Śliwińska.

2. TELEPORADY: POTRZEBNE, NIE ZAWSZE WYSTARCZAJĄCE

Teleporady są prostsze w przypadku chorych na cukrzycę typu 1, którzy stosują nowoczesne systemy do ciągłego monitorowania glikemii, pompy insulinowe: lekarz może mieć łatwy podgląd w wyniki pacjenta. Trudniej w przypadku chorych na cukrzycę typu 2, choć część pacjentów tę formę wizyt zaakceptowała. – Zwykle w poradniach diabetologicznych prowadzimy chorych, których dobrze znamy. Nie zawsze jest więc konieczna wizyta osobista ani zbadanie fizykalne pacjenta. W czasie rozmowy zwracam uwagę na wyniki badań, wartość glikemii, hemoglobiny glikowanej, pytam o samopoczucie. Wszystkie te informacje można przekazać przez telefon, ale lepiej byłoby, gdyby telewizyta odbywała się w formie wideorozmowy. Łatwiej mi wtedy byłoby stwierdzić, czy pacjentowi coś dolega, gdyż jestem w stanie zauważyć drobne różnice w jego wyglądzie czy zachowaniu – dodaje prof. Czupryniak.

Teleporady – szczególnie w formie rozmów przez telefon – nie zawsze jednak się sprawdzają, np. u pacjentów z nowo zdiagnozowaną cukrzycą, osób ze źle wyrównaną chorobą, a także starszych chorych, którzy nie potrafią w trakcie rozmowy przekazać wszystkich informacji lekarzowi.

3. WIĘCEJ CHORYCH I NIEZDIAGNOZOWANYCH

Raporty sprzed epidemii pokazywały, że w Polsce jest już ponad 3 mln chorych na cukrzycę, a co piąta osoba nie wie, że choruje. Z powodu lockdownu, zamknięcia w domach i ograniczenia aktywności fizycznej liczba chorych na cukrzycę na pewno wzrośnie. Z powodu pogorszenia dostępności do lekarzy wzrośnie też liczba osób niezdiagnozowanych. Można się spodziewać, że będzie przez to więcej powikłań, gdyż wysoki poziom cukru we krwi systematycznie uszkadza naczynia krwionośne. Powikłania sercowo-naczyniowe i nerkowe skracają życie chorego średnio o sześć lat, a jeśli miał zawał czy udar mózgu, to nawet o 12 lat. Częstym powikłaniem jest też zespół stopy cukrzycowej, w efekcie którego często dochodzi do amputacji nogi.

Niepokojące jeszcze przed epidemią COVID-19 było to, że Polska była jednym z europejskich liderów wzrostu zachorowań na cukrzycę typu 1. W ostatnich miesiącach zdarzały się przypadki późnego diagnozowania cukrzycy typu 1, co jest niebezpieczne dla życia.

4. DOSTĘP DO LEKÓW: WYRAŹNA POPRAWA

Możliwości leczenia cukrzycy w Polsce w ostatnich latach wyraźnie się poprawiły: w refundacji znalazły się nowe rodzaje insulin oraz flozyny i niektóre leki inkretynowe (analogi GLP-1). Te dwie ostatnie grupy leków zmniejszają ryzyko powikłań sercowo-naczyniowych u chorych na cukrzycę oraz – szczególnie analogi GLP-1 – ryzyko otyłości i hamują łaknienie. – Cieszymy się z refundacji tych nowych leków, a jeszcze bardziej cieszą się pacjenci, którym możemy takie leczenie zaproponować. Leki redukują masę ciała, a jednocześnie nie wywołują niedocukrzeń, które z kolei powodują, że chory na cukrzycę więcej je. Oczywiście, chcielibyśmy móc je stosować u większej grupy chorych – podkreśla prof. Leszek Czupryniak.

Dostęp do leków to jednak nie wszystko – równie ważne są porady dietetyczne, monitorowanie, jak pacjenci dają sobie radę z leczeniem. W polskiej ochronie zdrowia brakuje kompleksowości: to negatywnie odbija się na życiu chorych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

PARTNEREM RAPORTU JEST FIRMA

life. to the fullest.®

Abbott

eprasa.pl a50b2fd290

Bez kłucia, skutecznie i zdalnie

Ukłucie w opuszek palca, kropla krwi, pomiar glukometrem, odczyt… Codzienna rutyna chorych na cukrzycę. Metoda niewygodna, a gdy pomiar trzeba powtarzać co kilka godzin – boleśnie dokuczliwa. Życie wielu diabetyków zmieniły w ostatnich latach systemy do ciągłego monitorowania glikemii. – Technologia ta zrewolucjonizowała możliwości monitorowania glikemii u chorych na cukrzycę, to niebywałe osiągnięcie XXI w. – mówi prof. Dorota Zozulińska-Ziółkiewicz, prezes Polskiego Towarzystwa Diabetologicznego.

Systemy ciągłego monitorowania glikemii w czasie rzeczywistym są dedykowane głównie pacjentom korzystającym z osobistych pomp insulinowych. Znacząco szerzej stosowany jest system ciągłego monitorowania glikemii metodą skanowania, który pacjent może założyć sobie sam, a pomiar dokonywany jest przez zbliżenie czytnika lub smartfona do sensora. Odczytane wyniki pozwalają dostosowywać dawki insuliny oraz ocenić, jak posiłki czy wysiłek wpływają na zmienność glikemii. To rozwiązania umożliwiające zdalny dostęp lekarza do wyników pacjenta, a tym samym przeprowadzenie wartościowej wizyty zdalnej. W dobie COVID-19 podnosi to bezpieczeństwo chorych, a przecież chorzy na cukrzycę są w grupie zwiększonego ryzyka ciężkiego przebiegu tego zakażenia.

UTRATA BEZPIECZEŃSTWA

Jednak to niejedynie wygoda zastąpienia glukometru tymi systemami sprawia, że

FOT. ADOBE STOCK

To przełom, technologia XXI w. – mówią o systemach do ciągłego monitorowania glikemii diabetolodzy

lekarze nazywają je przełomem. – Systemy ciągłego monitorowania glikemii nie tylko pozwalają wskazać aktualną wartość glikemii, co było możliwe przy użyciu starszych metod, czyli klasycznych glukometrów, lecz także pokazują kierunek i tempo zmian glikemii. Więcej: systemy te pozwalają pacjentom szybciej reagować na zmiany glikemii, bo chory na cukrzycę widzi, w którym kierunku w najbliższym czasie glikemia będzie podążała, a zatem może wyprzedzać i wyhamowywać niekorzystne zjawiska glikemiczne, co nie byłoby możliwe, gdyby trendu glikemii nie widział – mówi prof. Zozulińska-Ziółkiewicz. – Oprócz tego systemy te mają niezwykłą wartość terapeutyczną. Mają nawet status narzędzia leczniczego, gdyż ich stosowanie prowadzi do poprawy wyrównania metabolicznego cukrzycy – dodaje.

W Polsce systemy ciągłego monitorowania glikemii w czasie rzeczywistym są refundowane tylko pacjentom przed 26. rokiem życia. Jeszcze szybciej refundacja kończy się dla pacjentów korzystających z systemu ciągłego monitorowania glikemii metodą skanowania. Kiedy młody człowiek z cukrzycą osiąga pełnoletność i chce dalej korzystać z monitorowania glikemii metodą skanowania, musi ponosić pełne koszty, na co wielu pacjentów nie stać. – Powrót pacjentów do glukometru często oznacza pogorszenie kontroli metabolicznej cukrzycy, a więc nie chodzi tu tylko o wygodę, ale przede wszystkim o wyrównanie cukrzycy i bezpieczeństwo chorych. Przez lata stosowania tych systemów, przy lepszych glikemiach i mniejszym ryzyku hipoglikemii, u pacjentów wyrabia się poczucie bezpieczeństwa, a jego utrata może być trudna psychicznie do zaakceptowania – mówi prof. Zozulińska-Ziółkiewicz.

OSIEM PALCÓW

System ciągłego monitorowania glikemii metodą skanowania z powodzeniem może być stosowany u pacjentek w ciąży. – Niewiele kobiet z tego korzysta ze względu na brak refundacji, natomiast zasadność zastosowania systemów ciągłego monitorowania glikemii u pacjentek w ciąży jest oczywiście olbrzymia – mówi prof. Krzysztof Czajkowski, ginekolog-położnik. – Sposób wyrównania glikemii decyduje o ryzyku powikłań ciąży oraz ryzyku powikłań u dziecka. Im kobieta jest lepiej monitorowana, tym to ryzyko jest mniejsze i tym większa szansa, że urodzi zdrowe dziecko – dodaje.

Wśród powikłań źle wyrównanej cukrzycy profesor wymienia nadciśnienie indukowane przez ciążę, które u kobiet z cukrzycą zdarza się dwukrotnie częściej niż u pozostałych, oraz ryzyko częstszych zakażeń. W przypadku płodu możliwym poważnym powikłaniem może być makrosomia, czyli mówiąc najprościej – otyłość dziecka będącego jeszcze w łonie matki. Lekarzom trudniej określić rzeczywisty rozmiar dziecka, a niedoszacowanie wagi może powodować komplikacje podczas porodu. – Badania długofalowe wykazały z kolei, że dzieci z makrosomią częściej w przyszłości są osobami otyłymi, mają nadciśnienie, choroby serca, a w rezultacie żyją krócej – mówi prof. Czajkowski.

– Prowadzę ciąże kobiet z cukrzycą od wielu lat i uważam, że konieczność codziennego kłucia się jest rzeczą okropną dla pacjentek. Łatwo się mówi, ale mamy osiem palców, które kłujemy, bo pomijamy kciuki, więc nawet jeśli kobieta sprawdza glikemię cztery razy dziennie (a czasem jest to 6–8 razy), to musi kłuć każdy palec co drugi dzień przez 9 czy 10 miesięcy. Sytuacja nie do pozazdroszczenia – dodaje prof. Czajkowski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Mateusz Woźniak, RW

eprasa.pl a50b2fd290

Epidemia większa niż COVID

Katarzyna Pinkosz

68 proc. mężczyzn i 53 proc. kobiet ma nadmierną masę ciała, polskie dzieci i młodzież tyją najszybciej w Europie. Lockdown spowodował, że ważymy o kilka kilogramów więcej. Otyłość przyczynia się do ponad 200 powikłań. Kiedy uda się nam pokonać tę epidemię?

Prognozy jeszcze sprzed epidemii COVID-19 pokazywały, że w 2025 r. nadwagę i otyłość będzie miało już trzy czwarte mężczyzn w Polsce i prawie 60 proc. kobiet. Lockdown i ograniczenia aktywności mogą spowodować, że te liczby będą jeszcze większe. – Aktywność fizyczna jest zdecydowanie mniejsza. Zarówno starsi, jak i młodsi są często „przykuci" do telewizorów i komputerów. Badania pokazały, że u przeciętnego Polaka przy pierwszym, wiosennym lockdownie wystąpił wzrost masy ciała o kilka kilogramów – mówi prof. Paweł Bogdański, kierownik Katedry Leczenia Otyłości, Zaburzeń Metabolicznych i Dietetyki Klinicznej Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu. Skutki kolejnego lockdownu, który nie wiadomo, jak i kiedy się skończy, znacznego ograniczenia aktywności fizycznej, są dziś jeszcze niemożliwe do oszacowania.

Nie tylko mniejsza aktywność fizyczna i częstsze podjadanie w domu przyczyniają się do tego, że nabywamy zbędnych kilogramów. Mają na to wpływ także wzrost ilości spożywanego alkoholu (co widać od początku pandemii), stres i jego „zajadanie", a także pogorszenie jakości i skrócenie długości snu. – Gdy śpimy mniej niż sześć godzin, wzrasta poziom hormonów stresu, insulinooporność, nasz metabolizm przekierowuje się na szlak oszczędzania energii. Zbyt krótki sen jest czynnikiem ryzyka nie tylko otyłości, lecz także cukrzycy. Bez wątpienia lockdown przyspieszył rozwój pandemii otyłości, która jeszcze przed okresem COVID-19 była ogromnym problemem – dodaje prof. Bogdański.

TO CHOROBA JAK CUKRZYCA, NADCIŚNIENIE

Otyłość to nie jest „defekt kosmetyczny", tylko ciężka, trudna do leczenia choroba, bez tendencji do samoistnego ustępowania, za to z tendencjami do nawrotów. – Musimy przestać mówić o „osobie z otyłością", a mówić o pacjencie „chorym na otyłość". To choroba jak nadciśnienie, cukrzyca czy niewydolność serca – mówi prof. Bogdański. A jednocześnie, jak obliczyli naukowcy, czynnik ryzyka aż 200 schorzeń, m.in. cukrzycy (u kobiety z BMI powyżej 35 ryzyko cukrzycy typu 2 wzrasta 90-krotnie), nadciśnienia, chorób serca, nerek, wielu nowotworów, problemów ortopedycznych, psychicznych (m.in. depresji). – Prawie połowa wszystkich przypadków nadciśnienia w Polsce to skutki otyłości. Spośród kilku milionów rozpoznawanych co roku w UE nowotworów 100 tys. jest skutkiem otyłości. Według raportu OECD średnia długość życia w Polsce do 2050 r. z powodu otyłości w Polsce ma skrócić się o blisko cztery lata – wylicza prof. Bogdański.

Eksperci przestrzegają przed myśleniem, że nie trzeba martwić się nadwagą u dziecka i nastolatka, bo z tego „wyrośnie" – nadmiar kilogramów w okresie dojrzewania oznacza aż 18-krotny wzrost ryzyka rozwoju otyłości w dorosłym życiu. To, jak niebezpieczna jest to choroba, uwidoczniła epidemia COVID, której statystyki od początku jednoznacznie pokazują, że osoby otyłe nie tylko częściej mają objawy, lecz także cięższy przebieg COVID. – Ryzyko hospitalizacji wzrasta o 113 proc., pobytu na oddziale intensywnej opieki medycznej o 74 proc., a zgonu o 48 proc. – zaznacza prof. Bogdański. To dlatego osoby chore na

eprasa.pl a50b2fd290

FOT. ADOBE STOCK

otyłość znalazły się w grupie 2 szczepień przeciw COVID-19, podobnie jak chorzy po zawale serca, z cukrzycą, nadciśnieniem.

KUPUJESZ SŁODKIE NAPOJE...

Otyłość to choroba przewlekła, dlatego do zastopowania jej epidemii potrzebne są działania przez lata, nie mniejsze niż walka z COVID-19. – Musimy zrobić wszystko, by zatrzymać epidemię otyłości, ponieważ żaden system ochrony zdrowia nie poradzi sobie z jej skutkami. – Jednym z ze sposobów wskazywanych przez WHO jest tworzenie rozwiązań stymulujących zmianę nawyków żywieniowych, jak np. opłaty nakładane na produkty, o których wiemy, że źle służą zdrowiu. Państwo współodpowiedzialne za swoich obywateli powinno demotywować ich do podejmowania decyzji zagrażających życiu i zdrowiu, stąd mandaty za łamanie zasad kodeksu drogowego, akcyza nakładana na alkohol i papierosy, a teraz opłata cukrowa, która ma zmobilizować do zmiany nawyków żywieniowych – przekonuje dr n. ekonom. Małgorzata Gałązka-Sobotka, dyrektor Instytutu Zarządzania w Ochronie Zdrowia Uczelni Łazarskiego.

To właśnie z tego powodu eksperci medyczni optowali za wprowadzeniem od stycznia 2021 r. opłaty cukrowej (zwanej powszechnie podatkiem cukrowym) od słodzonych napojów. – Podatek cukrowy funkcjonuje już w prawie 20 krajach. Sprawdził się, jeśli chodzi o zmniejszenie sprzedaży słodzonych napojów. Ma też dużą rolę edukacyjną, ludzie nie kupują aż tak dużo słodkich napojów, dowiadują się też o ich szkodliwości – mówi prof. Leszek Czupryniak, kierownik Kliniki Chorób Wewnętrznych i Diabetologii WUM.

... TO PŁACISZ ZA WALKĘ Z OTYŁOŚCIĄ

Doktor Gałązka-Sobotka zaznacza, że celem wprowadzenia opłaty cukrowej jest spowodowanie, iż będziemy rzadziej kupowali słodzone napoje, a jednocześnie producenci obniżą w nich zawartość cukru. Ponieważ jednak zwyczaje konsumentów nie zmienią się tak szybko, według wstępnych szacunków już w tym roku opłata cukrowa ma przynieść ok. 3 mld zł. Ustawa o opłacie cukrowej wprowadziła ciekawe rozwiązanie, zgodnie z którym 96,5 proc. wpływów ma trafić do NFZ. – Ważne jest jednak to, żeby nie trafiły one do „wspólnego worka", tylko zostały przeznaczone na zapobieganie i leczenie problemów, z powodu których opłata cukrowa została wprowadzona, czyli otyłości oraz jej powikłań – podkreśla prof. Czupryniak. – Nie ma wątpliwości, że zgodnie z zapisami ustawy są to pieniądze „znaczone", które muszą być nakierowane na ten cel – potwierdza dr Gałązka-Sobotka.

Instytut Zarządzania Uczelni Łazarskiego, pod kierunkiem dr Małgorzaty Gałązki-Sobotki przygotował kompleksowy raport pokazujący, w jaki sposób spożytkować środki z opłaty cukrowej, by faktycznie przyczyniły się do zmniejszenia problemu otyłości. Profesor Leszek Czupryniak, który brał udział w konsultowaniu raportu, zaznacza, że rozwiązywanie tego problemu dotyczy osób na różnym etapie rozwoju choroby. Konieczne są więc edukacja i promocja zdrowego żywienia oraz aktywności fizycznej (zaczynając od szkoły i przedszkola). Z kolei dla osób, które już chorują na otyłość, trzeba stworzyć miejsca, gdzie ta choroba może być leczona. – Poradnie leczenia otyłości są niezbędne zarówno dla dzieci, jak i dorosłych. Konieczna jest również edukacja profesjonalistów medycznych, lekarzy, którzy muszą pamiętać, że otyłość jest chorobą i powinno się ją wpisywać do karty pacjenta jak niewydolność serca czy cukrzycę – podkreśla dr Gałązka-Sobotka.

Eksperci chcieliby, żeby część pieniędzy z opłaty cukrowej była też przeznaczona na nowoczesną farmakoterapię. – Jeśli ktoś ma 20 kg nadwagi, to trudno mu będzie obniżyć masę ciała bez pomocy leków, a są już dostępne takie, które są skuteczne w leczeniu otyłości – dodaje prof. Czupryniak. W raporcie Uczelni Łazarskiego mowa jest też o stworzeniu kompleksowej opieki specjalistycznej nad pacjentem z otyłością, również wymagającym leczenia bariatrycznego, a także o leczeniu bezpośrednich powikłań otyłości, z których najczęstszym jest cukrzyca typu 2. – Od lat postulujemy tworzenie diabetologicznych centrów edukacyjnych w każdym mieście powiatowym. Konieczna jest też poprawa opieki nad pacjentami ze stopą cukrzycową, gdyż liczba amputacji stóp w Polsce rośnie. Warto też wprowadzić badania przesiewowe w kierunku powikłań okulistycznych – wylicza prof. Czupryniak.

Diabetolodzy chcieliby też, żeby nowoczesne leki stosowane w cukrzycy typu 2, przyczyniające się do redukcji masy ciała (analogi GLP-1 i flozyny), były refundowane już na wcześniejszych etapach leczenia. – Obecnie warunkiem refundacji jest bardzo źle wyrównana cukrzyca (poziom hemoglobiny glikowanej powyżej 8 proc.; zabiegamy, żeby go obniżyć do 7 proc.). W przypadku analogów GLP-1 drugim warunkiem refundacji jest BMI powyżej 35; są to mocno otyłe osoby, a warto by było stosować te leki na wcześniejszych etapach, nie czekając, aż rozwinie się tak duża otyłość. Efektywnie redukują one masę ciała – przekonuje prof. Czupryniak. Pieniądze z opłaty cukrowej jest więc na co wydać. Nowością w polskim systemie ochrony zdrowia jest to, że mają one być przeznaczone na rozwiązanie ściśle określonych problemów. Podobny pomysł niestety nie sprawdził się wcześniej z akcyzą na papierosy (część pieniędzy miała być przeznaczona na tworzenie poradni antynikotynowych, kampanie edukacyjne ograniczające palenie tytoniu i leczenie nowotworów). Czy pomysł uda się zrealizować w przypadku opłaty cukrowej? Eksperci podkreślają, że jej wejście w życie, zwłaszcza w tak trudnym okresie jak pandemia COVID-19, jest pewnego rodzaju umową społeczną. – To pewnego rodzaju eksperyment, który ma udowodnić, że fiskalne restrykcje nakładane na producentów i konsumentów oraz powstające przy okazji celowe budżety będą skuteczniej rozwiązywać problemy zdrowotne. O sukcesie będą świadczyły wskaźniki sprzedaży produktów obłożonych opłatą cukrową, liczba firm, które zmienią składy swoich produktów, ale także rzetelne przeznaczanie środków z opłaty cukrowej na cele wskazane w ustawie, w szczególności walkę z nadwagą i otyłością. Będzie to sprawdzian, czy państwo potrafi dotrzymywać obietnic – podkreśla dr Gałązka-Sobotka.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a50b2fd290

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Olkienicki gniew szlachty

Olkieniki, maleńkie miasteczko na Litwie, zagubione między lasami, przy dzisiejszej drodze z Wilna do Druskiennik, stało się późną jesienią 1700 r. widownią krwawych wydarzeń, które wstrząsnęły Wielkim Księstwem Litewskim na progu wielkiej wojny północnej. Otóż 10 listopada szlachta litewska zawiązała tutaj konfederację przeciwko rodowi Sapiehów, który pod koniec stulecia wzmógł się na siłach do tego stopnia, że rządził Litwą niczym potężna, mafijna rodzina. Podskarbi Benedykt Sapieha i jego brat, hetman wielki Kazimierz Jan, terroryzowali szlachtę i inne rody magnackie, w tym Radziwiłłów, Ogińskich i Wiśniowieckich. „Kogo nie podporządkowali sobie korupcją czy groźbami, tego zmuszali siłą do posłuszeństwa lub przynajmniej milczenia. Wobec opornych nie wahali się użyć wojsk [...]. Najczęstszą formą gwałtu było umieszczanie wojsk w dobrach »nieposłusznych« i zamykanie im tym samym ust, a nierzadko doprowadzanie majątków do ruiny" – pisał o nich Zbigniew Wójcik.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Czarę goryczy przelał napad czeladzi Sapiehów na orszak książąt Wiśniowieckich, który przeciągnął na stronę szlachty tych bogatych magnatów. A także rozpoczęcie działań wojennych przez króla Augusta II Sasa, który zamierzając uderzyć na Szwedów, rozkazał hetmanowi Sapieże przeprowadzić zaciągi wojska, a szlachcie litewskiej – przygotowanie się do wojny. Wykorzystując królewskie uniwersały, przywódcy opozycji antysapieżyńskiej, Michał Kociełł, Ludwik Pociej, Grzegorz Ogiński i wielu innych, zebrali w Olkienikach ponad 10 tys. szlachty i zawiązali konfederację zmierzającą do usunięcia rodu Sapiehów z nieprawnie zawłaszczonych dóbr i urzędów. Hetman Kazimierz Jan podszedł wówczas z wojskiem pod miasteczko i 18 listopada został pokonany w trwającej kilka godzin bitwie. Ostatecznie dowodzący opozycją Michał Serwacy Wiśniowiecki zdołał oskrzydlić przeciwników i zmusić ich do ucieczki. Odwrót osłaniał koniuszy Michał Franciszek Sapieha, syn hetmana, który dostał się wraz z wieloma stronnikami ojca do niewoli. Ich los dopełnił się w nocy 19 listopada, w Olkienikach.

Trzysta lat temu miasteczko było o wiele większe niż obecnie. Poza kościołem pw. Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny znajdowały się tam klasztor i kościół Franciszkanów, cerkiew, zapewne bożnica, a rynek zabudowany był ciasno drewnianymi domami. Michał Sapieha i inni jeńcy mieli pozostać nietykalni, co gwarantował słowem Grzegorz Ogiński; zostali zatem umieszczeni pod strażą Kozaków Wiśniowieckiego w celach klasztoru.

Przez cały okres, kiedy Sapiehowie trzęśli Wielkim Księstwem Litewskim, dopuszczali się zbrodni, zajazdów i pospolitych mordów. Mieli więc wśród szlachty wielu zaciekłych przeciwników. Jednym z nich był ks. Krzysztof Białłozor, kanonik wileński, nienawidzący Sapiehów za śmierć brata Karola, którego dwa lata wcześniej hetman wielki kazał ściąć w Wilnie. W nocy po bitwie, kiedy szlachta piła po zwycięstwie, Białłozor i inni przywódcy zaczęli podjudzać ją do zabicia jeńców. Rano ogromne tłumy uzbrojonych panów braci rzuciły się na klasztor, rozpędzając strażników Wiśniowieckiego. Michał Sapieha przeczuwał, co się stanie, więc kiedy ks. Białłozor wpadł do jego celi przez wybite okno, ukląkł i poprosił o spowiedź. „Ot, masz absolucją!" – wykrzyknął kanonik i uderzył go w twarz.

Nieszczęśników usiłował jeszcze ratować biskup wileński Konstanty Brzostowski, sam tak bardzo skonfliktowany z Kazimierzem Janem Sapiehą, że kilka lat wcześniej rzucił na niego klątwę kościelną. Jednak posłuchu nie uzyskał; konfederaci przewrócili jego karocę, roznieśli w drzazgi tak, że musiał uciekać do kościoła. Michał Sapieha także wydostał się na ulicę i został tam rozsiekany szablami przez rozwścieczony tłum. Ten sam los spotkał Michała Wojnę, starostę bracławskiego, Mirskiego, chorążego bracławskiego, rotmistrza Kurowicza i innych, pomniejszych stronników sapieżyńskich. Tego dnia bowiem na rynku i uliczkach Olkienik szalał gniew i lała się krew. Doszło do tego, że pijana zwycięstwem i trunkami szlachta wyszukiwała między sobą stronników hetmana, przyprowadzała ich do trupa koniuszego i kazała kłuć lub rąbać ciało, aby udowodnić, że są wrogami jego rodu.

24 listopada w miasteczku uchwalono artykuły odbierające Sapiehom urzędy i godności. Ich dobra zostały zajęte przez wojsko, nad którym oddano komendę księciu Michałowi Wiśniowieckiemu. Być może także w Olkienikach uchwalono niezwykłe postanowienie wileńskie, w którym szlachta litewska wzywała Augusta II Sasa do zaprowadzenia rządów absolutystycznych. Do dziś nie wiadomo, czy była to uchwała konfederatów, paszkwil czy polityczna prowokacja dworu królewskiego. ©℗

eprasa.pl a50b2fd290

LECH TWARDZIEL I JEGO ŚNIADANIE MISTRZÓW

Mrożone mięso dłużej można przechowywać... Chyba to się sprawdza także w moim przypadku, bo gdy wchodzę zimą do wody, dostaję takiego powera, takiego kopa, że od razu czuję się znakomicie. Z tym że moje morsowanie różni się od tego, które zyskało ostatnio tak dużą popularność, bo ja pływam w zimnej wodzie – choć woda w okolicach zera stopni nie jest zimna, ma tylko trochę mniej plusów – na różnych dystansach. Wciąż startuję w mistrzostwach świata, w ubiegłym roku przywiozłem ze Słowenii dwa brązowe medale, przed 10 laty wywalczyłem trzy złote.

Oczywiście najważniejsze w morsowaniu nie są rekordy, ale wzmocnienie odporności. Woda wzmacnia mój organizm od zewnątrz, a od środka robi to... owsianka. Kiedy byłem małym brzdącem i chodziłem do babci, zapamiętałem wiszącą w kuchni makatkę z napisem: „Zimna woda zdrowia doda". Ale zapamiętałem również słowa babci, że na wszelkie bóle żołądkowe i w ogóle dobra dla zdrowia jest owsianka.

Jadam ją bardzo często, jest doskonała na śniadanie i dodaje energii na cały dzień. Uwielbiam w niej to, że chociaż podstawowy składnik jest zawsze ten sam, to poprzez odpowiedni dobór dodatków możemy sprawić, że za każdym razem będzie smakowała inaczej. Zimą lubię owsiankę na mleku, wiosną i latem często jadam na wodzie. Kiedy mam ochotę na słodkie – dodaję trochę miodu, kiedy na słone – solę owsiankę. Do tego możemy dorzucić mnóstwo zdrowych dodatków. Wspaniale smakuje z sezonowymi owocami: truskawkami, jagodami, jabłkami, gruszkami, żurawiną, nasionami, orzechami, rodzynkami, w zasadzie z czym tylko chcemy... Uwielbiam i szczerze polecam owsiankę z dodatkiem pomarańczy lub cytryny.

Obie metody konserwacji szczerze polecam. Morsuję już od ponad 60 lat, owsiankę jadam od dziecka, niedawno pękła mi osiemdziesiątka i czuję się świetnie. ©℗

oprac. raw
Lech Bednarek jest prekursorem morsowania w Polsce i Europie, medalistą mistrzostw Polski, Europy i świata w pływaniu w lodowatej wodzie, bohaterem książki „Spowiedź Twardziela. Lech Mors Bednarek".

FOT. RYSZARD DOMINOWSKI

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Rękawiczki

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Zdjęcie Bernie Sandersa w wełnianych rękawiczkach na ceremonii inauguracyjnej Joe Bidena stało się, jak wiadomo, hitem Internetu. Nie tylko sama fotografia senatora, na której polityk samotny, jakby wyobcowany i nieobecny, siedzi ze skrzyżowanymi rękami, eksponując dłonie w dzierganych rękawiczkach z jednym palcem. Hitem stały się niezliczone memy, które zdjęcie wygenerowało – Sanders w metrze, na Księżycu, na kanapie otoczony przyjaciółmi, jako Forrest Gump, jako duch...

Rzeczywiście sytuacja, zważywszy na okoliczności, była nietypowa: na transmitowanej na cały świat z wielką pompą uroczystości starszy skromny pan w niebieskiej maseczce siedzi skulony gdzieś z boku na składanym krzesełku, z dala od centrum wydarzeń, od eleganckiego tłumu. Sam ubrany sportowo, w kurtkę i solidne zamszowe buty. Osiemdziesięciolatkowi musiało być po prostu zimno, skoro tak się skulił, choć temperatura w Waszyngtonie tego dnia wynosiła 7 st. C. Ale w całej jego postawie było coś ludzkiego, ciepłego, ujmującego. I to zadziałało.

No i te rękawiczki. Urocze, dziecinne, na zimowy dzień. Można było przewidzieć, że wszyscy zapragną mieć takie same. – Naprawdę się boję, przecież nie jestem w stanie wyprodukować 18 tys. par takich rękawiczek – powiedziała Jennifer Ellis, nauczycielka z Vermontu, oceniając liczbę osób, które napisały do niej e-maile z prośbami o zrobienie im takich. – Wszyscy chcą je mieć, dosłownie wszyscy.

Jennifer Ellis, 42-letnia nauczycielka ze szkoły podstawowej, wiodła spokojne życie w miasteczku Essex Junction w stanie Vermont. Fanka demokratycznego senatora przesłała mu parę rękawiczek z wełny z recyklingu z podszewką z polaru. Powstawały w jej niewielkim, prowincjonalnym rękodzielniczym biznesie. Miały być nagrodą po porażce, którą Sanders poniósł w walce z Hillary Clinton w prawyborach roku 2016. Pani Ellis wiedziała tylko, że obdarowanemu prezent się spodobał, nic więcej.

Jednak w zeszłym roku, gdy Bernie próbował znowu swych sił w wyborach, dowiedziała się, że pożyczył swoje rękawiczki komuś, komu zmarzły ręce. – Wtedy wysłałam mu dodatkowe 10 par – powiedziała pani Ellis agencji France Press.

Czy mogła przewidzieć sukces, który spadł na nią tak nieoczekiwanie? Tymczasem senator, idąc za ciosem, postanowił nieoczekiwaną reklamę zdyskontować. On i jego team wypuścili serię bluz z fotografią z inauguracji. Idą jak woda, a dochód przeznaczany jest na cele charytatywne. ©℗

eprasa.pl a50b2fd290

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Solidarność plemników

Jechaliśmy z sąsiadem windą. Ledwo wsiedliśmy, zadzwonił jego telefon.

– Gdzie jesteś? – Usłyszałem konkretne pytanie. Zarówno forma, jak i treść wskazywały, że dzwoni żona.

– W windzie, więc może urwać połączenie. Zaraz będę w domu – powiedział i miał rację. Połączenie się zerwało. Natychmiast telefon zadzwonił ponownie. A potem jeszcze raz i jeszcze. I jeszcze. Facet już nie odbierał, wychodząc z założenia, że i tak zaraz się rozmówi. Ale ponieważ mieszkamy wysoko, znaleźliśmy czas na krótką pogawędkę wyrażającą coś, co można by określić mianem solidarności plemników.

– Moja żona ma niesamowitą umiejętność dzwonienia do mnie, kiedy akurat nie bardzo mogę rozmawiać – zagaiłem. Sąsiad od razu się ożywił. – Moja ma dokładnie tak samo. Godzinami nic nie robię i nie dzwoni, ale ledwo zaczynam ważną rozmowę, natychmiast się do mnie dobija.

– Moja wie, że nienawidzę rozmawiać, kiedy prowadzę samochód. Więc dzwoni zaraz potem, jak odpalę silnik. A już bombarduje mnie telefonami, kiedy jestem w nieznanym mieście, w chaosie ulicznym albo kiedy obok stoi policja, a funkcjonariusze groźnie na mnie patrzą – zrewanżowałem się swoją historią.

– No i kiedy robię zakupy. Właśnie płacę i pakuję rzeczy do torby, a za mną stoi kolejka do kasy. Właśnie wtedy – pokiwał głową.

– Albo kiedy jestem w urzędzie. Rzadko chodzę do urzędu, ale jak już jestem, to dzwoni i pyta, kiedy pójdę do urzędu – wywnętrzyłem się

– Proszę nie zapominać o aptekach. I innych miejscach, gdzie nie wolno używać telefonu – dorzucił. – Tak, oczywiście – zgodziłem się.

Zamilkliśmy na chwilę, szukając w głowach kolejnych przykładów telefonicznego nadzoru. Przypomnieliśmy sobie o pogrzebach (on) i rozmowach z Ważnym Politykiem Sprawującym Urząd (ja). A potem zastanowiliśmy się, skąd nasze żony posiadają tę niezwykłą umiejętność. Czy to wrodzone? Czy gdzieś się tego nauczyły? Ktoś je wykształcił? A może to owa kobieca intuicja? No i skąd ten nawyk kontrolowania? I dlaczego się mu pokornie poddajemy, a co więcej, sami nie kontrolujemy? Wszak niby żyjemy w społeczeństwie patriarchalnym i powinniśmy rządzić.

Nawet jazda na 15. piętro musi się jednak kiedyś skończyć, więc nasze fundamentalne rozważania się urwały. Jeśli tliły się w nas jakieś zarzewia buntu lub choć tajnego mężowskiego spisku, to przygasły, gdy doszliśmy do naszego zakątku klatki schodowej.

– Proszę pozdrowić żonę! – pożegnałem sąsiada przy jego drzwiach. – Pan niech koniecznie kłania się swojej! – rzucił, znikając w domu. ©℗

MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Eskapizm deklaratywny

Gdyby w jednym miejscu zebrać osoby ze świata kultury, sztuki i mediów – zapowiadające w ostatnich latach wyjazd z Polski – spokojnie dałoby się z nich utworzyć rząd na uchodźstwie. Albo przynajmniej niewielkie państewko na egzotycznej wyspie. Eskapizm deklaratywny, bo chyba tak należy nazwać to zjawisko, nie jest oczywiście rzeczą wybitnie polską, ale co jakiś czas – przypadkowo zbiega się on ze zwycięstwem republikanów w USA albo Zjednoczonej Prawicy w Polsce – rzesze tych, którym generalnie w życiu powodzi się o kilka poziomów lepiej od przeciętnego obywatela, nieprzeciętnie na to życie narzekają.

Z Zanzibaru najlepiej wspiera się Strajk Kobiet. Bo kto lubi wspierać na mrozie?

Coś im w tym kraju nie leży, powietrze jest niedostatecznie świeże, jakaś jego część boleśnie i nieustannie uwiera. Ostatnio (który to już raz?), wątek eskapizmu postanowił eksplorować Maciej Stuhr. „Może trzeba rzucić kraj, wyjechać w cholerę, żyć gdzie indziej, przestać się zamartwiać tym, co się dzieje w Polsce?" – stwierdził w wywiadzie dla „Wprost". „Bo czy nie szkoda życia na to? Właśnie takie miałem myśli po przebudzeniu, choć pewnie one zaraz mi przejdą" – dodał, popadając w melancholijną zadumę. Niestety z jakiś względów zawsze brakuje tej kropki nad i – zaczyna się i kończy na deklaracjach. Miło jednak w tę depresyjną polską zimę uciekać myślami do krain szczęśliwości, gdzie nie ma koronawirusa, niepokojów społecznych, rządy są sprawiedliwe, trawniki bez psich kup, a telewizja nie kłamie.

Niestety z wielu podobnych rozmów z tzw. znanymi wynika, że choć niewidzialna siła ciągnie ich ku tym światom, to przynajmniej od 2015 r. nadal ich nie odnaleźli. Holandia może ciekawa, ale zamieszki na ulicach. Francja może kulturalna, ale jeszcze przed zmierzchem zaczyna się godzina policyjna. Niemcy może poukładani. Ale czy aby aż tak pragniemy porządku, żeby po przeprowadzce wychodzić z domu tylko do pracy i lekarza? Gdzieś jest lepiej, ale tylko nieliczni szczęśliwi owo „gdzieś" odnaleźli. Na przykład była dziennikarka TVN Kinga Rusin, która skryła się na tajemniczym atolu na Oceanie Indyjskim. I stamtąd pozdrawia rodaków na Instagramie, gra z Orkiestrą w towarzystwie tubylców z przyklejonymi serduszkami. Wreszcie oddycha pełną piersią. Alternatywnie, jak większość polskich celebrytów, można na chwilę odpocząć od tego kraju i udać się na wakacje do Zanzibaru. Stamtąd najlepiej wspiera się Strajk Kobiet. Bo kto lubi wspierać na mrozie? W sumie to ja tych ludzi coraz lepiej rozumiem. ©℗

eprasa.pl a50b2fd290

ANDRZEJ NOWAK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Pensjonarki i matrosy

Pewne zjawiska jednak się w historii powtarzają. Na szczęście, tak jak to opisał już Marks (porównując Napoleona III do Napoleona I), gdy oryginał był tragedią, powtórki z historii mają zazwyczaj charakter farsy. Mogą jednak okazać się pouczające. Jeśli tylko ktoś chce uczyć się historii, a nie wyłącznie ją tworzyć – jak chciał tego zresztą ten sam Marks. Może mamy właśnie do czynienia z taką powtórką?

Media wspierające tzw. strajk kobiet starają się pokazać jego siłę i młodość. Na pewno nie uczestniczą czynnie w owym „strajku" wszystkie kobiety ani nawet ich większość. Właściwie – znikoma mniejszość. Może kilka czy kilkanaście tysięcy na blisko 15 mln dorosłych kobiet w Polsce.

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

Wspiera je w „boju" kilka tysięcy osób, które niekoniecznie chcą być utożsamiane z mężczyznami (niektóre z nich określają się dosłownie tak: „Nie jestem kobietą, ale mam macicę"). Ale jednak niewątpliwie protestujące i ich liderki wyrażają emocje i przyciągają pewnego rodzaju sympatie czy nadzieje większej grupy, najczęściej młodych dziewcząt czy też tych osób, które chciałyby być wciąż młodziutkie i choć przez chwilę „niebinarne", oryginalne (obecnie najbardziej stadną w istocie „oryginalnością").

Skąd w tej grupie sympatia do wulgarności, do przemocy – do „zostawiania śladów" po protestach – do czego nawołuje przecież ich liderka? Skąd w młodym pokoleniu taka skłonność do ulegania czarowi „wyzwolicielskiej mocy" (jak tłumaczą to profesorki i doktorki wspierające strajk z komfortowego zacisza swoich instytutów i rad wydziałów), najbardziej chamskich przekleństw i zachowań, które stały się symbolami tego ruchu?

Kiedy stawiałem sobie te pytania, wpadły mi w ręce wspomnienia Jadwigi Siekierskiej (1903–1984), działaczki komunistycznej, która jako 13-latka zafascynowała się bolszewicką krzepą, siłą chama. Warto przytoczyć jej relację (z tomu „Kartki z przeszłości", Warszawa 1960): „Pensjonarki pragnęły zwycięstwa bolszewików, właśnie na przekór ciotkom, wujkom, dziadkom, złorzeczącym od rana do wieczora »barbarzyńcom«, »antychrystom«, »czerwonym diabłom«. […] Większość z nas czekała na przyjście bolszewików jak na wielką przygodę. Potrzeba romantyki, szukanie mocnych przeżyć, rozpalona wyobraźnia, młodzieńcza ciekawość – wszystko to pchało nas w »objęcia bolszewizmu«. […] Gdy pensjonarki wydoroślały, zróżnicowały się ich losy. W okresie wojny domowej niejedna z moich koleżanek wróciła na łono drobnomieszczańskiej rodziny. […] Jesienią 1917 roku z przyspieszonym biciem serca czekały jednak na przyjście »antychrystów«".

To właśnie czekanie na dziarskiego bolszewika, barbarzyńcę, najlepiej w postaci marynarza – matrosa z „Aurory" czy z pancernika „Potiomkin" – imponującego swą siłą pogardy dla starego ładu. Owa siła objawia się w ostentacyjnej szpetocie, w przekleństwie na ustach, gromkim krzyku nienawiści, gotowości do „zostawiania śladów" – to jest niszczenia, opluwania, bezczeszczenia tego, co dla „ciotek, wujków, dziadków", czyli ogólnie – dla „dziadersów", jest jeszcze świętością, czymś wartym uszanowania. Pensjonarka wspomina dalej: „Z czerwoną kokardą na piersi »bratiszki« – tak ich nazywano – wyglądali groźnie, zawadiacko i wesoło. […] Burzono ustalone hierarchie służbowe, konwencje towarzyskie, obyczajowe. Szalona odwaga i płomienna wiara ludu odzianego w liche, marynarskie lub żołnierskie szynele, duma, że właśnie oni, maluczcy i poniżeni, »ruszają z posad bryłę świata« – wytwarzała atmosferę promieniowania rewolucyjności, porywającą młodzież".

Autorka tych słów doświadczyła potem rozkoszy tej rewolucyjności, w szeregach KPP, w redakcji stalinowskiej „Wielkiej Encyklopedii Sowieckiej", potem – w obozach pracy (jak większość kapepowców, którzy żyli w ojczyźnie swoich snów). Męża Stalin kazał rozstrzelać. Ale ideowa pensjonarka z wiary w rewolucję nie zrezygnowała. Budowała później komunizm w PRL jako profesorka estetyki marksistowsko-leninowskiej w Zakładzie Teorii Filmu Instytutu Sztuki PAN. Na pewno miała sporo wychowanek i wychowanków, a kolejne ich pokolenie uczy nas z wysokości dzisiejszych katedr PAN i uniwersytetów, jak odróżniać filmy i inne dzieła słuszne od niesłusznych.

Inne pensjonarki z roku 1917 miały mniej szczęścia – nie przeżyły następnych dwóch dekad emancypacji. Jeszcze inne – wróciły do Polski, do „drobnomieszczańskich rodzin" i przekonań swoich okropnych ciotek, wujków i dziadków. Może z rumieńcem wspominały młodzieńcze zauroczenie brutalnym chamstwem, a może jednak z pewnym zawstydzeniem?

Co będzie z pensjonarkami roku 2020/2021? Jak długo trwała będzie ich chęć, by stać się jak kobieta-matros tego czasu, być jak „siestriszka", z hasłami j…ć oraz w……ć na wyzwolonych wargach? I jakie „ślady" zostaną po tej emancypacji? Takie jak w Rosji po 1917 r.? Miejmy nadzieję, że jednak ta powtórka ograniczy się do farsy. ©℗

eprasa.pl a50b2fd290

GOTÓWKA?

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Mój dziadek uczył tak: Trzymanie pieniędzy w pieniądzach to pomysł najgorszy. A jeszcze gorszy to trzymać te pieniądze w banku. Bank służy do transakcji, a nie do składowania pieniędzy.

Kiedyś te jego opinie mogły nie być oczywiste, ale dziś oprocentowanie na lokatach jest minusowe, bo dostajesz mniejszy procent, niż wynosi inflacja! To jaki jest sens trzymania forsy w banku? ŻADEN.

Ci Polacy, którzy jakieś pieniądze mają, czują to zjawisko doskonale – forsa w formie zapisów bankowych to na czas kryzysu rozwiązanie niedobre. Kryzys narasta, władza pieniądze drukuje, pożycza i rozwadnia – trzeba uciekać z forsy w towar, w nieruchomości, w złoto. Ludzie więc wypłacają forsę z banków, i DOBRZE, bo władza zabierze ci szybciej z banku niż z szuflady. A zaraz potem ludzie starają się te wypłacone papierki zamienić na coś niepapierowego, bo władza papierki może zdewaluować lub zlikwidować, lub cokolwiek. Papier to tylko papier i on wcale nie jest wart tyle, ile na nim napisali…

***

Jest kryzys pełną gębą, lockdown i tak dalej, a jednocześnie w Polsce boom budowlany – ludzie kupują mieszkania, domy, nieruchomości, budują, byle szybciej wydać papierowe nic niewarte, zanim się reszta zorientuje, że papierowe są nic niewarte. Inflacji nie ma pomimo sypania pieniądza na rynek w różnych tarczach? Nie ma, bo do powstania inflacji oprócz dodruku konieczna jest cyrkulacja pieniądza, a ona została sztucznie zatrzymana – lockdown. Gdy odblokują świat, ruszy cyrkulacja pieniądza i ruszy inflacja, a w zasadzie... wtedy ją wszyscy zobaczą, bo ona już jest, tylko nie każdy widzi.

***

Ci, którzy teraz gorączkowo uciekają z banku i od papierowego pieniądza, czują pewne rzeczy instynktownie. Ekonomia to nic trudnego. Studia ekonomiczne nie są potrzebne, by rozumieć ekonomię twoją lub państwa. Na studiach NIE uczą ekonomii, lecz oszukiwania i kreatywnej księgowości – to może być trudne, ale ekonomia jako taka to jest po prostu portfel w kieszeni i albo masz forsę, albo nie masz.

Na studiach uczą, że kiedy nie ma pieniędzy, premier powinien pożyczyć lub wydrukować, lub przewalutować, lub jakoś pogmerać w rachunkach. Zamiast wytwarzania konkretnych dóbr, które są coś warte i które można sprzedać, robi się szacher-macher i UDAJE, że znów są pieniądze. Gmeranie w rachunkach nie poprawia zawartości portfela. Poprawia samopoczucie i tworzy pozory, ale w portfelu nadal jest to samo. Obecnie w portfelu RP mamy zadłużenie i nic więcej. Bo nie produkowaliśmy w lockdownie, a jednocześnie wydawaliśmy kupę forsy drukowanej na szybko. Co to oznacza, gdy państwo polskie jest zadłużone, czyli ma minus w narodowym portfelu? To oznacza, że każdy papierowy pieniądz NBP, który posiadasz, jest wart minus, a nie tyle, ile napisano na banknocie. Już tłumaczę… Masz w portfelu 100 zł, a jednocześnie wisisz sąsiadowi 120, to ile masz w portfelu? Masz ZA MAŁO o 20 zł, czyli masz MINUS 20. Każdy banknot z nadrukiem NBP jest dziś wart jakiś MINUS, a nie to, co na nim napisali. Jaki konkretnie jest ten minus, nie wiemy, bo nam tego ani Morawiecki, ani prezes NBP nie chcą ujawnić, ale banknoty RP to są papiery dłużne, a nie wartościowe. (Bardziej knoty niż bank.)

Dlatego Polacy uciekają od papierowego pieniądza. On wciąż w transakcji codziennej jest coś wart, bo jeszcze nie wszyscy ludzie zorientowali się, że jest wart minus. Więc nadal kupisz chleb i nadal twoje 10 zł potraktują jako wartościowe, ale… Jeżeli masz więcej papieru do stracenia, to go lepiej zamień natychmiast na coś trwalszego niż papier.

***

Minister finansów denerwuje się, że Polacy trzymają pieniądze w skarpetach, mówi, że gotówka nic nie wnosi do gospodarki, i zaleca, by ją wszyscy wpłacili do banków, bo wtedy banki będą miały forsę na udzielanie kredytów. (Czyli minister chce, byśmy się zadłużali.) Gdy minister coś radzi, to ja jestem pewien, że powinienem robić na odwrót. Prezes NBP z kolei zawiadomił zaraz potem, że państwo polskie absolutnie nie ma planu odejścia od gotówki i że gotówka będzie zawsze, bo jest wartością. Gdy polityk o czymś zapewnia, to ja wiem, że jest na odwrót.

Ale... Przecież to są przedstawiciele narodu, więc dlaczego mieliby działać na szkodę narodu? Błąd w myśleniu! Nasi „przedstawiciele narodu" nie reprezentują narodu. Oni należą do klasy politycznej i reprezentują interes własny tej klasy, a nie społeczeństwa. Rządowi nie chodzi o dobro narodu, lecz o utrzymanie rządów nad narodem. Mogłoby być inaczej. Niestety w sytuacji, gdy ktoś jest politykiem zawodowym o nieograniczonej liczbie kadencji, wówczas ktoś taki zaczyna reprezentować interes swojej branży. Dba o interes rządu i biurokracji, bo jest z zawodu politykiem.

Gdybyśmy wprowadzili limit kadencji posłów – podobnie jak ograniczamy liczbę kadencji prezydenta – wówczas można by zakładać, że poseł reprezentuje interes narodu lub wyborców, bo przyszedł do Sejmu tylko na tę jedną kadencję i więcej nigdy nie będzie posłem, czyli po czterech latach będzie musiał wrócić do normalnego życia. A gdyby jeszcze zajęcie posła nie było w ogóle wynagradzane (czyli poseł pracuje za darmo po godzinach, a utrzymuje się z normalnej pracy jak każdy inny obywatel), wówczas można by uznać, że poseł rzeczywiście reprezentuje interes narodu, z którego pochodzi i z którego nie wyszedł w zawód polityka.

Konkluzja:

Inflacji na razie nie widać, ale już jest. Politycy (w interesie swoim, a nie naszym) zachęcają do trzymania forsy w banku, czyli trzeba robić na odwrót. A w co uciekać z forsą wykonaną z papieru? Dziadek mnie nauczył tak: towar + ziemia + złoto. A do tego dziel ziarno na trzy kupki: na chleb, na siew i na zapas. Czyli na spożycie bieżące, na inwestycje i trzecia kupka na wszelki wypadek. Gdyby chleb myszy zjadły albo wysiane ziarno nie wzeszło – wtedy masz jeszcze tę trzecią kupkę zapasową. A jak i to nie pomoże, no to… zostałeś w samych skarpetkach i one są ostatecznie i nieodwołalnie puste. Co zdarzyło mi się kilka razy w życiu, a mimo to żyję! Więc nie desperuj, tylko działaj roztropnie. DZIAŁAJ, WALCZ, BUDUJ. ©℗

eprasa.pl a50b2fd290

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY"

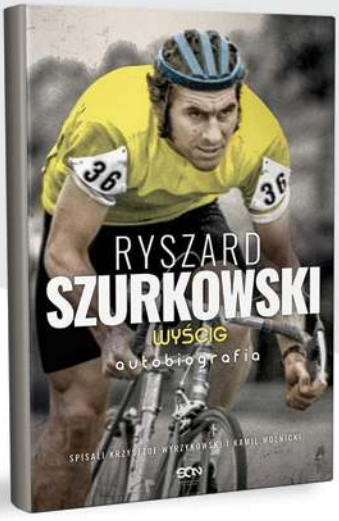

+

W PREZENCIĘ
KSIĄŻKA

AUTOBIOGRAFIA
„RYSZARD SZURKOWSKI. WYŚCIG"
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

~~365~~ ZŁ

169,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 196 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%)
- Nie przegapisz żadnego wydania
- Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami
- Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: PRENUMERATA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl a50b2fd290

30 SEKUND do nagród

BŁYSKAWICZNA LOTERIA

8 x TOYOTA
Corolla Hybrid

28 x HULAJNOGA
Mi Electric Scooter

28 x DRON
DJI Mavic Mini

200 000 x **mała kawa** lub **napój Dynamic**

Zagraj na stronie **www.blyskawicznaloteria.lotos.pl**

Loteria dla osób, które ukończyły 18 lat i mieszkają na terenie Polski. Promocja trwa od 20.10.2020 do 18.11.2020 oraz od 04.02.2021 do 01.03.2021. Zachowaj kupon z kodem. Lista stacji objętych loterią oraz regulamin Błyskawicznej Loterii LOTOS dostępne na blyskawicznaloteria.lotos.pl. Organizator: Grzegrzółka&Ko Sp. z o.o.

LOTOS

eprasa.pl a50b2fd290